ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XVII. — OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXVIII.

TOM IV. — ZESZYT I.

Październik.

WARSZAWA.

1892.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29 Senatorska, 29

SPIS RZECZY.

str.

I. **O dogmat.** Przez *W. M. Kozłowskiego* 1

II. **Z beletrystyki Zachodu.** III. Przez *N. T.* 13

III. **Zmysły i wrażenia zmysłowe u zwierząt niższych, w świetle nowszych badań.** (Dokończenie). Przez Dr. *Józefa Nusbauma* 24

IV. **Pierwsza miłość Zygmunta Krasińskiego (1833—1838).** (Dokończenie). Przez *Ferdynanda Hösicka* 42

V. **Odkrywcy Ameryki (przypuszczalni i istotni).** Przez *Stefana Stetkiewicza* 72

VI. **Z pieśni XXII Iliady.** Zgon Hektora. Tłómaczył *Stanisław Mleczko* 104

VII. **Reprezentacya stanowa w rozwoju historycznym** (od XV do XVIII wieku). (Dokończenie). Przez *A. Rembowskiego* 111

VIII. **Prądy w najnowszéj literaturze niemieckiéj.** III. Dramat i teatr. (Dokończenie). Przez Dr. *Maxa Kocha* . . 125

IX. **Konwersya listów zastawnych.** Przez *J. Kirszrota-Prawnickiego* 145

X. **Z piśmiennictwa ekonomicznego.** Przez Dr. *Stanisława Kłobukowskiego* 160

XI. **Rozbiory i sprawozdania:**

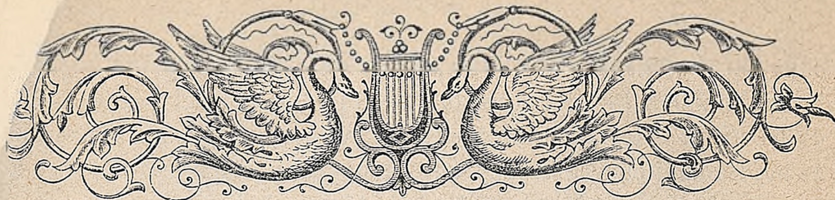
Wincenty hr. Łoś: 1) „Jędrek“, powieść; 2) „Zięciowie domu Kohn et Comp.“, powieść współczesna w dwóch tomach; 3) „Z różnych pułków“, nowele i opowiadania dwa tomy; 4) „Tajemnica piątego pułku węgierskich huzarów“, powieść. Ocenił *P. Chmielowski.* 171

Gaston Boissier: La fin du paganisme. Etude sur les dernières luttes religieuses en Occident au quatrième siècle. Paris, 1891. Ocenił *Wł. M. K.* 178

XII. **Nowości naukowe i literackie** 183

XIII. **Nekrologia** 191

Druk ukończono d. 10 Października 1892 r.



O DOGMAT.

Znamieniem moralnem naszego pokolenia inteligentnego jest niemoc. Temperamentu inteligentnych warstw społeczeństw dzisiejszych może wystarczyć na burdę uliczną, na powieść w stylu naturalistów, ale nie na dramat, nie na tragedyę. Skąd to pochodzi? Każde zjawisko społeczne jest wynikiem tak wielu czynników, że zbyt śmiałem byłoby wskazywać jednę określoną, jako jedyną jego przyczynę; wszelako jeśli słusznem jest, że zawsze są takie czynniki, które przeważny wpływ na zjawisko wywierają, kiedy drugie tylko sprzyjają, lub nie, jego powstaniu, i jeśli się zgodzimy te czynniki dominujące nazwać przyczyną, inne zaś warunkami powstania danego zjawiska społecznego, to dla tego, o którem mowa, t. j. dla upadku poziomu charakteru w najnowszych czasach, możemy wytknąć przyczynę tyle powszechną, ile powszechnem jest same zjawisko. Największy z naszych obecnie żyjących powieściopisarzy zupełnie poprawnie postawił i rozwiązał to zadanie, malując typ człowieka bez dogmatu, typ, który jakkolwiek razi nas w tem wykończeniu artystycznem, jakie mu nadał poeta, doprowadzając do najwyższej potęgi cechy charakterystyczne bohatera, stanowi nie mniej tło psychologiczne naszych własnych charakterów [1]). Każdy z nas bez trudności

[1]) Powieść p. Sienkiewicza nie miała szczęścia pod względem oceny jej głównego typu. P. Chmielowski doskonale określił psychologiczną stronę tego typu, nadając sprawozdaniu swemu tytuł „Choroba woli“; zaprzeczył jednak tak powszechności tego typu, jakoteż związku pomiędzy brakiem dogmatu, a brakiem

odkryje w sobie cząstkę Płoszowskiego — mniejszą lub większą - będzie to zależało od indywidualności i od szczerości jednostki; każdy pozna w Płoszowskim niektóre swoje rysy. A któż zaprzeczy, że najbardziéj charakterystyczną cechą téj postaci jest zupełny brak tego, co może uczynić człowieka bohatérem, bohatérem dramatu, bohatérem w historyi, bohatérem w życiu prywatném... Płoszowski jest w całém znaczeniu tego słowa „wytworem okoliczności" (*creature of circumstances*); sobą, wolą swoją on nie jest nigdy; nietylko że nie ma woli, ale zdaje się nie posiadać świadomości, na coby się mogła przydać ta władza. Całe życie jego składa się z zachcianek; nigdzie nie czuje się potrzeby chcenia. Dlaczego? Bo nie ma tego, w imię czego można chcieć; nie ma tego, co możemy wraz z autorem powieści nazwać dogmatem.

Czyż nie jest ten brak woli chorobą całego naszego pokolenia i czy nie też same przyczyny ją powodują?

Jakikolwiek będzie nasz sąd metafizyczny o zagadnieniu wolności woli, nie możemy w psychologiczném przedstawieniu rzeczy obejść się bez wyobrażeń pewnych sił, ze współudziału których wynika nasze postępowanie. Jedną z tych sił, siłą pociągającą, są zachcenia, pragnienia lub żądze nasze; drugą — siłą wstrzymującą lub poruszającą, ale niezależną od tych zachceń, regulującą je — jest wola [1]).

---

woli. Związek ten staram się wykazać w tekście: co zaś do pierwszego, to zdaje mi się, że p. Ch. nie uwzględnił różnicy usposobienia, z jakiém występowało na widownię dziejową realistycznie nastrojone pokolenie, a tego, które musiało się późniéj (t. j. ku czasowi, w którym odbywa się powieść p. Sienkiewicza) wyrobić tak wśród wrażliwszych jednostek tego samego pokolenia, jakoteż szczególniéj wśród w ślad za nim idących pokoleń młodszych, pod wpływem atmosfery duchowéj, którą wytworzyły doktryny realistyczne, zastosowane na wszystkich polach umysłowości. Powierzchowność i znajomość tylko ze słyszenia wyników wiedzy ścisłéj jest również charakterystyczną cechą dla przedstawicieli tego pokolenia, jak śmiałość zastosowania onych, (a kto o tém wątpi, niech przeczyta, wydawane od 1870 r. książki przyrodnicze (!). Płoszowski pod tym względem nie stanowi wyjątku.

[1]) „Locke'a wyrzeczeniem jest, iż nie powinniśmy pytać, czy nasza wola jest wolną, lecz czyli *my* wolni jesteśmy. Wolnością bowiem nazywamy możność postępowania zgodnego z naszą wolą, lub innemi słowy świadomość, że przy wykonaniu pewnego czynu moglibyśmy byli obrać dowolnie inną drogę. Jeśli, analizując daléj, zapytamy: co powoduje wolę naszą? to zdaje mi się, że najwyższe zasady wolności, do których ta analiza doprowadzić nas może, spoczywają na dwóch faktach: najprzód, że wola nasza jest władzą odmienną od namiętności naszych—i powtóre, że nie jest rzeczą bierną, któréj siła i kierunek zależałyby wyłącznie od przyciągania lub odpychania przyjemnych, lub nieprzyjemnych wrażeń." (Lecky. „Gesch. der Aufklärung in Europa", str. XX). Jest-to stanowisko zupeł-

Nie idziemy za każdym pociągiem żądzy, ale i nie każde pragnienie połamować umiemy; oczywiście, że siła, z którą przezwyciężamy zachcianki lub wstręty nasze, jest przedewszystkiém zależną od stopnia przeświadczenia naszego o konieczności tego oporu; wiemy dalej z codziennego doświadczenia, że siła ta wzmaga się w miarę jéj częstszego zastosowania, w miarę tego, jak nabiéramy ufności w to, że władzę taką istotnie posiadamy.

Rzeczą jest również zrozumiałą, że im w większym stopniu sprzeciwiać się będzie wola żądzom i pragnieniom, do tém większéj potęgi mogą one urość, tak samo jak poziom, do którego podnieść się może woda w stawie, zależny jest od wysokości grobli. Wystawmy sobie mechanizm, w którym jedne sprężyny są przyczyną ruchów, inne wstrzymują te ruchy; jeśli sprężyny hamujące będą zbyt słabe, nie będziemy w stanie nakręcić do pożądanego napięcia sprężyn, poruszających mechanizm; przeciwnie, im oporniejsze będą pierwsze, tém większą energię włożyć możemy w mechanizm, tém potężniejszy będzie ruch, gdy nastąpi, tém większe napięcie, dopóki ruch wstrzymany.

Człowiek bez woli podobny jest do obluzowanego mechanizmu, w którym wszystkie sprężyny wiszą bezładnie. Najpotężniejsze wpływy nie mogą wstrząsnąć nim głęboko, najsilniejsze bodźce wywołują w nim tylko poczucie własnéj niemocy. Bo na to, aby jakieś uczucie, jakaś namiętność urosła do pewnéj potęgi, powinna być przez pewien czas hamowaną; dając jéj upust natychmiast po ukazaniu się pierwszych zawiązków, pozbawiamy siebie jedynego przystępnego nam szczęścia — silnych uczuć. W ten sposób wyrzekając się woli i władzy nad sobą w imię użycia, pozbawiamy siebie nawet możności użycia.

Człowiek silny, z potężną wolą, może uledz w walce z namiętnościami; lecz ten upadek będzie upadkiem tytana z Olympu; namiętności powinny w nim urość do ogromnego napięcia, ażeby wolę silną przełamać; będzie czuł jak bohatér, a nawet w upadku swoim budzi sym-

---

nie wystarczające do celów praktycznych; historyk, oceniający postępowanie ludzi, krytyk literatury, wyjaśniający charakter postaci poetyckich stanie zawsze na niém i cokolwiekbądź zarzuci metafizyka przeciw takiemu pojmowaniu „wolności“, znajdzie w niém trwałą podstawę dla sądów swoich. Zauważmy przytém, że nadanie woli znaczenia czynnika regulującego staje najmniéj w sprzeczności z rzeczywistym przebiegiem zjawisk i usuwa główny zarzut deterministów, skierowany przeciwko wyobrażeniu o woli, jako samorzutnym (t. j. nieumotywowanym niczém) akcie.

patyę naszą, bo tam, gdzie jest walka, może być nawet zbrodnia, ale nie będzie upodlenia. Tu mamy postać tragiczną.

Człowiek bez woli jest przedewszystkiém zdechlakiem moralnym, a najczęściéj i fizycznym, bo brak kontroli nad sobą doprowadza ostatecznie i organizm fizyczny do zniszczenia. Walka tu nie może powstać, bo charakter ustępuje każdemu naciskowi, chociażby najsłabszemu. Człowiek taki, nawet gdy nie popełnia zbrodni, wzbudza wstręt lub najwyżéj politowanie, a zbrodniarze tego typu nie mają w sobie żadnéj tragiczności [1]). Nawet cierpienia Płoszowskiego, zamiast obudzić sympatyę dla niego, zwiększają tylko nasz wstręt

---

[1]) Do tego typu zbrodniarzy należy większa część tych, których spotykamy w powieściach naturalistycznych. Za przykład może służyć bohatér powieści Dostojewskiego: „Zbrodnia i kara“, który znalazł i u nas naśladowców. Wogóle bohatérowie tego pisarza, którego utwory, dzięki przekładom francuskim, zaczęły chciwie pochłaniać nasze czytelniczki, odznaczają się do tak patologicznéj formy doprowadzonym brakiem woli, że sprawiają wrażenie galeryi portretów z domu obłąkanych. Czytanie jego powieści jest tak męczące i nużące, że mało znam ludzi, którzyby mogli jednym ciągiem przeczytać którąkolwiek od początku do końca, Cóż pobudza do czytania tego, co ani przyjemności estetycznéj, ani oświeżenia moralnego nie daje? Bo przecie nauki (przypuszczając, że można byłoby się z tych utworów czegoś nauczyć) nikt od poezyi nie wymaga, ani w niéj nie szuka. Jest-to zapewne jedném z tych zagadkowych zboczeń, wskutek których chorego pociąga to, co może wzmocnić jego chorobę. Podobni do robactwa mogilnego zdechlacy moralni żywią się trupami duchów. Nie trzeba jednak pomijać drugiéj, może powszechniejszéj przyczyny powodzenia takich pisarzy, jak Dostojewski, Bourget i t. d. Jest nią moda. Jakże się ona wytwarza? Tak samo, jak moda na kapelusze, krawaty i t. d. W jakimś renomowanym sklepie ukazuje się nowy, potwornego kształtu kapelusz. Nik nie pyta, czy to wygodne? czy to ładne? Jedni śpieszą kupić dlatego, że to wystawione u X., drudzy dlatego, że Y. to nosi, trzeci dlatego, żeby nie różnić się od innych. Co spowodowało, że sklep renomowany wystawił ten kapelusz? Może obfite śniadanko, jakiém poczęstował kapelusznik właściciela sklepu, może inne jakieś względy mniéj interesowne; może chęć wydania się oryginalnym. Postawmy zamiast kapelusznika — pisarza, zamiast sklepu renomowanego — krytyka-reportera, a będziemy mieli dzieje wielu utworów literackich. Prostoduszni czytelnicy, którym nierównie więcéj się podobają „uczciwe powieści“ („*une pièce honnête*“, jak się wyraża Alf. Daudet; porównajmy doskonale pochwycone wrażenie takiéj uczciwéj sztuki na publiczność, opisane w ostatnim rozdziale Nababa), boją się uchodzić za nieuków pozbawionych smaku, za zacofańców, jeśli się nie będą na głos zachwycali brudnemi łachmanami i wstrętną siną nagością naturalizmu. Moda na książkę panuje w ten sposób, dopóki jéj nie zdetronizuje książka jeszcze gorsza, dopóki naturalizm nie ustąpi miejsca dekadentyzmowi, lub symbolizmowi. O sztukę idzie tu najmniéj. Nareszcie znajdują się czytelnicy, którzy szczerze wierzą w doskonałość wyśrubowanego pisarza, bo nic po za tém nie znają. Ilekroć zdarzało mi się rozmawiać z wielbicielami Zolów, a chociażby Bourgetów i innych pisarzy

i obrzydzenie. Jakaż przepaść pomiędzy temi cierpieniami a mękami Prometeusza, lub chociażby Makbeta!

Nic dziwnego, że pokolenie, które urosło wśród atmosfery duchowéj, przesiąkniętéj pojęciami o względności zasad moralnych z jednéj strony, o determinizmie, jeśli tak powiedziéć wolno, praktycznym — z drugiéj; pokolenie, które od dzieciństwa prawie słyszało, że najwyższém prawem postępowania jest interes osobisty, a wola i wybór zależy od przypadkowego rozkładu krwi w korze mózgowéj; pokolenie, które spotykało podobne twierdzenia w rozmaitych dziełach, zaczynając od najpoważniejszych pisarzy, wygłaszających je jak Buckle z boleścią utajoną, aby się nie sprzeniewierzyć temu, co za prawdę uważają, a kończąc na blagierach salonowych, którzy, jak Nordau, dążą do rozluźnienia więzów moralnych jedynie na to, aby utorować drogę użyciu — cóż dziwnego, że pokolenie takie nie nauczyło się władać tym organem, który wolą nazywamy? Nietylko że zbytecznym się wydawał, — bo w imię czego mianoby się hamować? — ale nawet o istnieniu jego zwątpić musiano; a trudno, ażebym panował nad sobą, skoro zgóry jestem przeświadczony, że takiéj władzy nie posiadam.

Bezwyznaniowość moralna musi koniecznie prowadzić do obniżenia typu duchowego, zupełnie niezależnie od moralnéj oceny tego typu: zbrodniarz z silną wolą jest wyższy od zbrodniarza bez woli, a może być nawet pociągającym estetycznie, jakkolwiek zarówno będą potępieni moralnie. Determinizm potęguje działanie téj bezwyznaniowości.

Gdybyśmy nie mieli żadnego innego powodu, już dla samego niesmaku, jaki w nas wywołują niektóre objawy wśród żyjącego pokolenia, powinniśmy wołać o dogmat moralny. Dlaczego o dogmat? Bo rozkaźnik moralny jest tylko wtedy obowiązującym dla woli, jest przepisem bezwzględnym, prawem niezachwianém, gdy od téj woli nie zależy. Poddając moralność pod widzimisię interesu indywidualnego, stawiając ją w zależności od myśli, uczucia i woli, zniweczylibyśmy i moralność i wolę. Możemy tworzyć najrozmaitsze teorye dla wytłómaczenia istniejących w nas poczuć moralnych, ale chciéć uzasadnić moralność na tych słabych próbach jéj zrozumienia, znaczy-

---

tego gatunku, swojskich lub obcych, zawsze przerażał mnie szczupły bagaż oczytania beletrystycznego tych wielbicieli. O niektórych prawdziwych mistrzach powieści wiedzieli zaledwie ze słyszenia, innych wcale nie znali. Nic więc dziwnego, że to jedyne, co znali, uważali za najlepsze.

łoby zamieniać szczere złoto bezpośrednio danego faktu na pajęczą tkaninę szychu rozumkowań.

Wprawdzie możnaby zapytać, czy dogmat nie da się zastąpić przez ideał? Czy zamiast rozkaźnika bezwarunkowego, pełniącego w naszém sumieniu czynność ostrzegającéj policyi, nie mógłby nas do tegoż samego doprowadzić celu ideał, poczęty ze swobody ducha naszego, wskazując prostą drogę, jaką iść powinniśmy? Ale światło ideału nie dla wszystkich jednakowo świeci, a wrażliwość na nie nie może obowiązywać. Nawet najbardziéj czujne na głos ideału umysły nie są niemi zawsze w jednakowym stopniu i tylko w rzadkich epokach dziejowych głos ten przemawia do wszystkich. Cóż nam wskaże drogę w tych chwilach zwątpienia, kiedy mgła powszedniości zasłania jasny blask ideału? co ją rozświetli tym, którzy go wcale nie widzą? Powinniśmy mieć rozkaźnik krótki a bezwzględny, tak jasny ażebyśmy go komentarzami zaciemnić nie mogli, tak kategoryczny, ażebyśmy go w sofizmata oplątać nie zdołali. Powinniśmy mieć dogmat.

A i czém jest ideał? Dobrze poszukawszy, znajdziemy w każdym z nich jakiś ukryty dogmat. Nie każde pragnienie, chociażby takie, które przez długi czas kieruje czynnościami naszemi, nazywamy ideałem. Ażeby pragnienie urosło do wysokości ideału, potrzeba by otrzymało sankcyę moralną, a więc spoczęło na dogmacie. Czy postawimy sobie ideał jakiejś doskonałości jednostkowéj, czy ideał społeczny, zawsze będziemy mieli nie jedno lecz dwa wierzenia, dogmatycznie przyjęte: pierwsze, że ideał ten jest wyższy od rzeczywistości; drugie — że doskonalenie się w kierunku tego ideału jest możliwe.

Zresztą, ze stanowiska wyżéj zaznaczonego, dla oceny wartości formalnéj charakteru jest rzeczą obojętną, czy człowiek ulega dobrym czy złym pobudkom; dość, że ulega; że nie stara się ocenić i wybrać, że nie jest panem siebie. W jednym i drugim wypadku nie ma gruntu dla wyrobienia woli. Pociąg do ideału nawet dla natur słabszych może stać się źródłem heroicznéj cnoty, cnoty unoszącéj się nad poziom obowiązku; dogmat moralny jest miarą przeciętnéj cnoty, oznaczającéj poziom, niżéj którego nie wolno upaść, a utrzymanie którego stanowi szkołę hartu dla ducha.

Myśli te nasunęła mi wydana świéżo broszura Pawła Desjardins p. t. *Le devoir présent* (Paris. Colin 1892). Jest to niewątpliwie znamieniem zbliżającego się odrodzenia moralnego Europy, jeśli we Francyi, z któréj przeważnie płynęły dotąd hasła rozkładowe, gdzie jak wszystkie prądy umysłowe tak i prąd negacyjny doprowadzony został do krańcowéj formy, dają się słyszéć głosy protestu, nawoły-

wanie do pracy pozytywnéj. A głosy takie odzywają się coraz częściéj, przemawiają coraz śmieléj.

Autor wspomnianéj broszury nie używa wprawdzie nigdzie wyrazu „dogmat;“ przeciwnie, chciałby on stworzyć rodzaj stowarzyszenia religijnego bez dogmatów wiary: „stowarzyszenie moralne i religijne, niezależnie od wszelkiego hasła metafizycznego“ (str. 49). Nieco wcześniéj, mówiąc o powściągliwości w wynurzaniu swego *credo*, pisze on „Nikt nie ma prawa zapytywać nas o wierzenia, zostające na uboczu od stosunków społecznych prócz żony, do któréj należymy w całości, prócz dzieci, którym daliśmy życie. Nie wychodźmy po za to koło; wiele mówić o religii nie jest dobrém. Ogółowi, naszym przyjaciołom udzielajmy tylko tę wiarę bardzo ogólną, bardzo wystarczającą, bardzo pewną (jakiekolwiek były by jéj podstawy głębsze), że żyjemy dla czegoś, że mamy jakieś przeznaczenie“ (str. 47).

Chętnie bym i ja zastąpił wyraz dogmat przez jakiś inny, bo już widzę pogardliwy uśmiech „postępowców,“ którzy przeczytawszy zaledwie tytuł przerzucają pośpiesznie karty zaliczając mnie w myśli do liczby wsteczników i zacofańców. Ale cóż robić skoro wyraz ten (i to zupełnie poprawnie) został zastosowany do scharakteryzowania pewnego typu; skoro istotnie każde twierdzenie, bezwarunkowo nie oczywiste samo przez się a nieulegające dowodzeniu, nazywa się dogmatem.

Aby jednak nie odstraszać nie uprzedzonego czytelnika, przypomnę mu, że nie koniecznie przyjęcie dogmatu prowadzi do zabobonu; że każda umiejętność ścisła spoczywa na pewnych twierdzeniach dogmatycznych; że nawet geometrya posiada nie oczywiste i nie dające się dowieść pewniki [1]).

Mniejsza zresztą o wyraz; nazwijmy to dogmatem, rozkaźnikiem bezwarunkowym lub jakkolwiek inaczéj, ale przyznajmy, że potrzebujemy jakiegoś twierdzenia bezwzględnego, kategorycznego, wyższego od tych względnych i warunkowych sądów, z których składa się cała wiedza nasza.

Łatwo też odgadnąć, że i religia p. Desjardins nie obchodzi się bez dogmatu; dogmatem tym jest wiara w przeznaczenie ludzkości.

---

[1]) Nie miejsce tu na rozwój i udowodnienie tych twierdzeń. Dość tu powiedzieć, że takie twierdzenia, jak niezmienność praw przyrody, są wyraźnie dogmatyczne, są postulatami koniecznymi do badania systematycznego, — bo gdybyśmy nie przyjęli téj niezmienności, utracilibyśmy grunt trwały, wszystko stałoby się dowolném i nieokreśloném, — ale wcale nie oczywiste logicznie.

Dogmat w życiu moralném jest tém, czém aksyomat w matematyce; pewnik matematyczny myśli się z koniecznością logiczną, jest „oczywisty;“ dogmat moralny myśli się również z koniecznością, ale konieczność jego jest inna: nie logicznéj lecz moralnéj natury. Dla umysłu analizującego (*raison raisonante*) nie jest on konieczny, nie jest oczywisty, jest takim tylko dla zmysłu moralnego. Skoro więc o tym ostatnim zapominamy, a bierzemy świat tylko ze stanowiska myśli analitycznéj, dogmat staje się dowolnym i niepotrzebnym. Takie jest stanowisko tych, których p. Desjardins nazywa [1]) „ujemnymi,“ a których chętniéj nazwalibyśmy ludźmi bez dogmatu. Dodatnimi są wszyscy, uznający przeznaczenie ludzkości, a więc „wszyscy prawdziwi chrześcianie i wszyscy prawdziwi żydzi, wierni duchowi swojéj religii; daléj poeci i filozofowie, którzy uczą lub śpiewają o ideałach moralnych,“ ...wreszcie „wszyscy ci, znakomici lub nieznani, których życie samo, niezależnie od wszelkiéj spekulacyi, jest stwierdzeniem możliwości i konieczności dobrego“ (str. 10).

„Rozdzielające nas (t. j. ujemnych a dodatnich) pytanie, czy żyjemy napróżno, nasuwa się każdemu, kto otwiéra usta lub porusza palcami, każdéj istocie świadoméj, która tylko dyszé. Że ci lub owi nie mówią o niém nigdy, że nawet nie myślą — nic to nie stanowi; ich życie mówi za nich i świadczy głośno.“ (str. 7—8).

Matematyk nie potrzebuje wielu pewników aby wysnuć gmach swój; tak samo dla uzasadnienia moralności nie potrzebujemy wielu dogmatów, dość jest jednego, tego np. który przyjmuje p. Desjardins. Ale odrzućmy go a cały gmach moralny runie; moralność zamieni się w zbiór twierdzeń warunkowych.

Wiedza, myśl mówi nam co jest i jak jest. Jak powinno być? to jest zasadnicze pytanie moralności. Możemy je zostawić bez odpowiedzi — a wtedy nie ma żadnéj moralności; powinno być to co chce mi się ażeby było. Moralność rozwiewa się w zachcianki; wola przestaje istniéć a razem z nią znika osobowość; człowiek zamienia się na ma-

---

[1]) W ślad za Edw. Rodem (*Les idées morales du temps present 1891*) autor ten ujemnymi nazywa tych, którzy dążą do zburzenia, dodatnimi — tych, którzy starają się budować. Pojęcia tych autorów oczywiście nie zupełnie się pokrywają nawzajem, tém bardziéj, że p. Desjardins do ujemnych zalicza i takich, co jak Renan, wahają się lub dopuszczają cień wątpliwości. Wreszcie wyrażenie „dążyć do zburzenia“ nie jest trafne; bardzo często dążą świadomie do zburzenia ci, którzy mają coś do postawienia na miejscu zburzonego, t. j. dodatni; przeciwnie „ujemni“ nie burzą lecz działają jak ferment rozkładowy; działanie ich jest mimowolne i najczęściéj nieświadome. Pierwszych można porównać do noża chirurga, drugich do zarazka gnilnego, gnieżdżącego się wszędzie, zkąd uleciało życie.

ryonetkę poruszającą się za pociągnięciem sznurka. Ale skoro jakkolwiek dodatnio odpowiemy na to pytanie, to już się zaliczamy do „dodatnich;“ już mamy dogmat, chociażby to był najogólniejszy, taki jaki wystawia p. Desjardins.

Hasło p. Desjardins nie jest nowe; pokrewne ono jest temu, z którem wystąpił Fichte na początku bieżącego stulecia, temu, które było podstawą religii Saint-Simona i Comta, tych niewątpliwie „dodatnich burzycieli,“ chociaż niektórzy z naszych pozytywistów potrafili przejąć się tylko ujemną stroną doktryny ostatniego. A łatwo pojąć donioslość tego hasła. Pociechą umysłów szlachetnych wśród cierpień tego życia, pobudką do walki z przeciwnościami jego, nadzieją, podtrzymującą ich wśród pracy i poświęcenia, jest myśl, że przyszłe pokolenia nie będą znosiły tych cierpień, walczyły z temi przeciwnościami. I to jest jedynym promieniem słońca zdolnym rzucić jakiś odblask szczęścia na szare tło powszedniości. Ale umysł analizujący czatuje, ażeby wydrzéć i tę jedynę pociechę ludzkości, rzucając zapytanie: co może ciebie obchodzić szczęście ludzi, którzy nastąpią w jakim 50-tém pokoleniu po twojéj śmierci? Cóż mnie wyprowadzi z tego zwątpienia, jeśli nie wiara w jakieś przeznaczenie ludzkości, w jakiś wielki ideał, ku spełnieniu którego ona dąży, niezależnie od tego co i jak czują pojedyńce pokolenia? Bo czyliż nie było by największą niesprawiedliwością dziejów, gdyby jedne pokolenia cierpiały i znosiły prywacye na to, aby dać szczęście innym? Dogmat społeczny p. Desjardina ratuje nas od zwątpień o przyszłość, ocala postęp, uprawnia świadome dążenie do niego i pracę dla przyszłych pokoleń.

Nie będę tu streszczał broszury tego autora. Sympatyczną w niéj jest głównie myśl powołania wszystkich, mających poczucie godności człowieka [1]), do przeciwdziałania dążnościom rozkładowym.

Przedewszystkiém miejmy odwagę nazywać rzeczy po imieniu. Od kilkunastu lat stało się u nas zwyczajem literackim pokonywać przeciwników wyrazami: „wstecznik“, „zacofaniec“ i t. p. Nie obawiajmy się tych wykrzykników i starajmy się zdać sobie sprawę z tego, kto jest rzeczywistym wstecznikiem w społeczeństwie, a przyjdziemy do przekonania, że rolę tę pełnią wszystkie prądy, które podkopują wiarę w ideały, gdyż na téj wierze spoczywa postęp ludzkości.

„Byłoby zbyt surowém, gdyby nas sądzono nie według tego, cośmy kochali, czegośmy pragnęli, lecz według smutnéj rzeczywisto-

---

[1]) „Naszą chorobą jest to, że czujemy się mniéj ludźmi niż przed sześćdziesięciu laty“ — powiada autor na str. 19.

ści tego, cośmy uczynili“ — powiada Desjardins. My, dzisiejsze pokolenia, przewracamy to zdanie w sposób prawdziwie niesłychany, bo z naszych słabości robimy prawo ogólne postępowania. Zamiast tego, żeby być szczerym przed sobą samym, ażeby powiedzieć: „postępuję źle, bo chce mi się tak postępować; bo nie mam siły walczyć ze złem, bo nie mam wiary w potrzebę téj walki; bo należę do pokolenia, któremu w ciągu szeregu lat wpajano, że wzbogacenie się i użycie nietylko jedyny godny cel życia, ale i prawdziwa cnota obywatelska; do pokolenia, przed którém ośmieszano ideały, a wszelkie szlachetniejsze popędy nazywano donkiszoteryą“, zamiast tego, robimy złe dobrém lub obojętném. Podobni do zbrodniarza, który wysadzał w powietrze okręty, ażeby ukraść marną premię asekuracyjną, wpajamy przez słabość swoją zasadę złego, chwiejność przekonań moralnych w całém społeczeństwie. Niszczymy cały gmach moralny, aby się nie przyznać do winy własnéj. I co jest w tém najbardziéj potwornego, to owa kolosalna nieproporcyonalność niepotrzebnego złego; owo bezmyślne lekceważenie najżywotniejszych warunków istnienia społeczeństwa.

Nazywajmy po imieniu żakowską fanfaronadę złem, która się ujawnia w pozowaniu na zblazowanego, w przybraniu takich nazw, jak „dekadenta“ i t. p. Zwróćmy główną uwagę na literaturę piękną, która zawsze jest szkołą ideałów, a któréj upadek jest najwierniejszym objawem, a zarazem przyczyną szerzenia się złego. Piętnujmy utwory, które cynicznie i bezmyślnie szerzą złe (jak te rozmaite przedpiekla, co się zaczynają płodzić w naszéj literaturze), lub spekulują na oryginalność i na zysk kosztem zdrowia moralnego całych pokoleń. Przestańmy być podobnymi do uczniów, którzy, krztusząc się od dymu, palą papiérosa z miną znawcy, aby naśladować starszych. Płaszczymy się przed każdą nowinką, przed najgłupszą modą, obawiając się najwięcéj narażenia się na śmieszność przez wygłaszanie szczerych przekonań. Tchórzostwo moralne posuwa się pod tym względem do tego stopnia, że nieraz uśmiechem odpowiadamy na to, co na policzek zasługuje. „Uśmiéchasz się pan na bezecność, powiedziałem raz przyjacielowi memu — pisze Desjardins; — on zrazu protestuje; po zastanowieniu zgadza się zdziwiony. Sam tego nie zauważył. Ludzie uczciwi tracą głowę wśród tego zepsucia otaczającego ich.“ „Kto chce poznać — pisze ten sam autor — jakie ognisko występku w nas płonie, niech uważa spojrzenia, rzucane przez ludzi poważnych, przez starców na przechodzącą uczciwą kobiétę. Co za wyraz drapieżny udało się nam pochwycić pod gorączkowém światłem lampy elektrycznéj! Ja-

kie spazmy pożądliwości! Jakie halucynacye użycia i złota! Materyał tragiczny obfituje tu, ale dla niskich tragedyi w stylu Balzaca, nie dla tych, które się odgrywają pod otwartém niebem pomiędzy bohatérami.“

Pociąg do złego, dlatego że złe, jest nienaturalny. Zblazowanie nie może nastąpić w człowieku, posiadającym zdrowe nerwy. Nie przesyt, lecz ten morfinizm moralny, o którym mówiłem, ten brak władzy nad sobą, są źródłem złego, a moda je podtrzymuje i potęguje. Dzięki jéj wpływowi, taki morfinik pozuje na wyższość wobec zdrowego moralnie człowieka; on ma „subtelniejsze“ nerwy; „wyrafinowany pociąg do złego“! Znieśmy modę na złe, przekonajmy chorego, że jest chory, a połowa sprawy już będzie zrobiona. Dobre chęci chorego dokonają reszty. Skoro tylko pacyent zacznie robić próby opanowania siebie, skoro uwierzy w możność takowego, już będzie na dobréj drodze.

Wprowadźmy modę dobrego!

„Pięćdziesięciu osób przekonanych i zdecydowanych, a związanych z sobą, wystarczyłoby na przeobrażenie moralności całéj Francyi“—powiada Desjardins. Czyż nie możemy tegoż powiedzieć o sobie? Ale jak trudno o te pięćdziesiąt osób!

Co może być wstrętniejszego nad zwyczaj zaczepiania kobiét na ulicy? Czy nie świadczy ten zwyczaj o takim stosunku do kobiét, jaki istnieje np. między myśliwym na niewolników a murzynem? Ale nic łatwiejszego nad wytępienie tego zwyczaju przy dobréj chęci. A jednak, gdy wśród pewnego kółka złożonego z ludzi, od których prędzéj, niż od kogokolwiek, można było się spodziéwać poparcia w przeciwdziałaniu temu nałogowi, zaproponowano energiczne przeciw niemu wystąpienie, propozycya ta nie spotkała współczucia. Nie chciano się potępić złego z obawy, aby się nie znaleść kiedyś pod jego grozą wydanego zgóry wyroku. Albo wspominając swoje własne grzechy, nie chciano wydać potępienia na swoje postępowanie.

Fatalne nieporozumienie! Tolerancya w tym wypadku jest grzechem, jak konsekwencya niedorzecznością. Bo można być pobłażliwym, gdy idzie o wykroczenie pojedyncze, ale przeniesienie téj pobłażliwości na zasadę ogólną znosi wszelką moralność. Również i konsekwencya jest na miejscu wtedy, gdy idzie o zastosowanie zasad ogólnych do naszego postępowania, nie zaś wtedy, gdy od postępowania przechodzimy do zasad. Jeśli nie chcemy być sądzeni według ubogiéj rzeczywistości słabostek naszych, nie róbmy z tych słabostek miary do oceny, nie poniżajmy ideału do poziomu rzeczywistości, nie

róbmy normy obowiązującéj z faktu, gdyż tak postępując znosimy moralność.

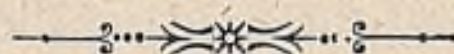
Ale nie traćmy wiary. Niech zamiast pięćdziesięciu znajdzie się pięciu takich, którzy zechcą nazywać białe — białém, a czarne — czarném; którzy ani dla usprawiedliwienia przyjaciela, ani dla siebie samego nie nazwą występku niewinną zabawą, książki bezczelnéj i cynicznéj — pożyteczną i zdrową, a początek będzie zrobiony. Dobre zacznie się szerzyć według tegoż prawa wzrastania lawinowego, jak się szerzyło dotąd złe, a wynikiem téj pracy „dodatnich“ będzie przynajmniéj zdrowie moralne podrastającego pokolenia.

W. M. Kozłowski.





Z BELETRYSTYKI ZACHODU.



III.

Robert Ludwik Stevenson i jego utwory z dziedziny powieściopisarstwa, krytyki, podróżnictwa, etc.

Nadzwyczajny rozgłos jaki się niespodziewanie dostaje w udziale temu lub owemu z pisarzy angielskich, często już podnoszony bywał przez krytykę miejscową i obcą. Ani rodowodu tych wyjątkowych reputacyi, ani sporadycznego ich pojawiania się, ani efemerycznego ich bytu, na żadnych wyrozumowanych podstawach oprzéć nie podobna. Zjawisko to najlepiéj porównać się daje do tych bałwanów morskich, o których opowiadają nam marynarze: z pośród spokojnych fal oceanu wznosi się naraz olbrzym, góra wodnista, zdolna skruszyć nie tylko wielkie okręty ale i najtwardsze skały, lecz po chwili opada niknąc bez śladu wśród nie zamąconego wód przestworza. Jedni tłómaczą te, jak grzyby, wyrastające wielkości kaprysem czytelników, drudzy ich optymizmem podejrzéwającym istotnie nieistniejące zalety; inni nakoniec przypisują je przewadze instynktów i wrażenności nad rozwagą i dobrym smakiem u coraz szerszego koła czytających. Nie naigrywajmy się jednak z tych fenomenów i nie potępiajmy ich ryczałtowo, bo jeśli niektóre z nich jak przed kilku laty Hugh Conway, wczoraj Rider Haggard a dzisiaj Marya Corelli nie utrzymali się i nie utrzymają na tych zaimprowizowanych wyżynach, to są natomiast inni, narzuceni krytyce przez wszechpotężną popularność, a którzy posiadają wszystkie wymagalne do tego warunki. Mamy tu szczególniéj na myśli dwóch najpoczytniejszych pisarzy dzisiejszych — Rudyarda Kiplinga i Roberta Lu-

dwika Stevensona. Nie długo zapewne czekać nam będzie trzeba na skreślenie literackiéj sylwetki pierwszego, bo zapomniéć o sobie nie pozwala; o drugim mamy już prawo mówić jako o luminarzu piśmiennictwa angielskiego, wypróbowanym od lat kilkunastu, namaszczonym i przez masy i przez arystarchów krytyki. Jeżeli postronnego spostrzegacza, nieobeznanego gruntownie z charakterem, nastrojem umysłowym i środowiskiem angielskiém, ta nadzwyczajna popularność Stevensona zadziwia, to zmuszony jest wszelako przyznać, że stanowisko na którém się znajduje, pisarz ten wywalczył sobie niestrudzoną pracą i wielostronnym talentem.

Robert L. Stevenson jest wnukiem i synem słynnych szkockich inżenierów morskich: porty i przystanie, prace hydrauliczne i morskie latarnie rozniosły ich imie po świecie. Robert, urodzony w 1850 r. zdawał się także do tego samego zawodu przeznaczonym: delikatny organizm fizyczny i wątłe zdrowie uczyniło mu go wszelako niemożliwym. Wychowany i wykształcony w Edynburgu, probuje adwokatury, rzuca się do kolonizacyi w Ameryce, ale od r. 1878 stale poświęca się piśmiennictwu. Znalazłszy z samego początku wielkie powodzenie na tém polu, skupił na niém wszystkie siły. Poezye i powieści, utwory dla młodzieży i dla dojrzałych umysłów, *essaye* literackie, fantazye i wybryki pióra stanowią, mimo kilkunastutomowéj objętości, dopiéro jedną stronę jego piśmienniczéj działalności. Druga obejmuje podróżopisarstwo. Od młodych lat wędrował on i wałęsał się po świecie, najprzód dla rozrywki, potém dla zdrowia i nie ma prawie zakątka téj i tamtéj półkuli na którymby swego koczowniczego namiotu nie rozpiął i którego by nie opisał bądź w szczegółowych wspomnieniach, bądź nie zużytkował jako ramy dla swych powieści. Żyje on w ogóle zdala od zabiegliwie się krzątającego około praktycznych celów społeczeństwa, a podoba sobie w artystyczném *far-niente.* Do koteryi literackich nie miesza się także i jeżeli zrobiono mu tam miejsce, uznano za doskonałego pisarza, za wzorowego stylistę, jeżeli oryginalność jego nie ulega wątpliwości, to nie ma w téj ocenie zapłaty za koleżeńskie uwielbienia, lecz hołd samoistnie pozyskany. Kokietuje chyba ze śmiercią i raz po raz z dalekich wysp lub wybrzeży wieść o jego ciężkiéj dochodzi chorobie; nie przeszkadza mu to jednak pracować, a w ciągu ostatniego roku pojawiły się w druku dwie nowe jego książki oraz dwie drugie napisane przy pomocy współpracowników. Powodzenie ich jest takie, że wydawca sześć jednocześnie drukuje edycyi. Imie autora jest już dostateczną rękojmią bajecznéj sprzedaży. Nie sądzimy tedy, żeby po szeregu pisarzy angielskich, których charakterystykę podaliśmy pod tą rubryką, nazwisko Stevensona nie

było tutaj na swojém miejscu i raczéj usprawiedliwićby się nam wypadało, że dopiéro teraz nim się zajmujemy.

Każdy nowy wydany przezeń utwór przyczynia się do uwydatnienia jego fizyognomii piśmienniczéj. A jest-to wysoce skomplikowana osobistość intelektualna. Udowadnia się to choćby na stronie powieściowéj jego twórczości. Porównano go do popularnego pisarza francuskiego Juliusza Verne'a, a jednocześnie do Edgara Poë. Niedawno pokazywano węzły duchowego powinowactwa, istniejące pomiędzy nim a jego wielkim ziomkiem i antenatem Walter Scott'em. Nie ma także wątpliwości, że ci, którzy znają fantastyczne powieści wielkiego pisarza amerykańskiego, Nathaniela Hawthorne, dostrzedz będą mogli styczne punkty między autorem „Eliksiru życia“, „Czerwonego Listu“, a przedewszystkiém „*Tanglewood Tales*“, a tą lub ową z powieści Stevensona. Jeżeli obraca się na takiéj szerokiéj przestrzeni i do grup tylu całkiem odrębnych pisarzy zapisany być może, to nie zaciéra wszelako bynajmniéj swéj oryginalności. Nie najmniejszą jéj stroną jest zapewne to, że z wyjątkiem jednéj powieści, „Książę Otto“, Stevenson nigdy nie zajmował się kobiétą i nigdy do osnowy żadnéj nie wplątał miłości. Przyzna czytelnik, że to kruk biały. Jako usprawiedliwienie przytoczyć może tę okoliczność, że pisał nieraz dla młodzieży i że nie jego jest winą, iż utwory jego dostały się w ręce starszego pokolenia i utorowały sobie wśród niego drogę. Znany jest wypadek, jaki się przytrafił Gladstonowi. Jako pierwszy minister, powrócił w nocy z męczącego posiedzenia parlamentu i na posadzce swego salonu podniósł książkę porzuconą tam przez swego wnuka: była to „Wyspa ze skarbem“. Zaczął ją przerzucać i jak sam się przyznał, nie porzucił mimo wygasłego ognia i dymiącéj się lampy dopóki z nadejściem ranka, nie doszedł do jéj końca. Osłonieni taką powagą, nie potrzebujemy się taić, że czytamy te awanturnicze przygody i czarodziejskie baśni z pochłaniającą, a bynajmniéj nie krytyczną oskomą. Nigdy do zmysłów, rzadko do serca, ale zawsze do wyobraźni czytelnika odwołuje się autor. Że nią zawładnąć potrafi, bajeczne powodzenie jego opowiadań świadczy. Są surowi krytycy, którzy lekceważą utwory, jedynie do ukołysania wyobraźni zmierzające. Należy porozumieć się co do ich znaczenia i wpływu etycznego. Umoralnia autor swych młodych czytelników, stawiając przed nimi obrazy wielkich, bohatérskich czynów, dokonanych przez ich rówieśników pod popędem szlachetnych pragnień, hartuje i zaprawia ich ducha do walki ze smokami niesprawiedliwości i zbrodni. Wolno mu prowadzić przez kręte manowce i zaklęte krużganki przy takim chwalebnym celu: artysta osłania pedagoga. A artysta to taki, żeby się

nieraz czuło pokusę nie żądać od niego niczego więcéj, jak bujania wraz z nim po fantastycznym świecie. Każdy, co czytał wyżéj wzmiankowaną „Wyspę ze skarbem“, podzieli tę opinię. W całym obfitym już repertuarze Juliusza Verne'a, mieszczącym w swoim rodzaju arcydzieła, nie ma równie zajmującéj. Są tacy, co z jéj okazyi wznowili porównania z nieśmiertelnym Robinsonem. Niepodobna streszczać tego rodzaju powieści: szczegóły są tu wszystkiém. Nie małego potrzeba talentu, ażeby otoczyć osobistość bohatéra, dwunastoletniego chłopaka, walczącego z piratami, odkrywającego ich spisek, ocalającego okręt, znajdującego skarb i t. d., taką atmosferą prawdopodobieństwa, ażeby się całość mogło przyjąć bez protestacyi. Tę samą uwagę uczynić można co do dwóch innych takiegoż nastroju powieści, z których jedna nosi tytuł *Kidnapped*, a druga *Master of Ballantrae*. Do obu krytyka angielska nie wahała się przywiązać epitetu: arcydzieła. Uważamy to za przesadę, ale nie ma wątpliwości, że raz ten rodzaj przyjąwszy jako uzasadniony, nie można znaleść lepszego sposobu wywiązania się z niego, jak dokonany przez Stevensona. Akcye obu tych powieści przeniósł on do XVIII wieku i na tém tle pseudohistoryczném snuje nić swego opowiadania bez najmniejszéj obawy, ażeby mu czytelnik zarzucił nieprawdopodobieństwo: oddalenie dziejowe oddaje mu te same przysługi, jakie w swoim czasie oddało Walter-Scottowi. Szczególniéj udatną wydaje się nam *Kidnapped*. Są to przygody Davida Balfoura, młodego chłopaka, dziedzica szlacheckiéj fortuny w Szkocyi, którego stryj, w chęci wydarcia mu takowéj, oddaje w jasyr i poleca sprzedać jako niewolnika na drugiéj półkuli. Zamiast tego opłakanego losu, inne niebezpieczeństwa spotykają młodego Balfoura. Wydostawszy się z okrętu jeszcze na wybrzeżach Szkocyi przy pomocy Allana Brack'a, partyzanta, biorącego udział w wojnie domowéj, sam bierze w niéj udział. Autor malowniczo i dosadnio opisał walkę szkockich klanów Campbellów z Appinami, Cluny z Macphersonami, i są tam sceny bohaterskiéj prostoty, tragicznego interesu, wśród wielce poetycznego rozgrywające się krajobrazu. Nie można się dziwić, że powieść ta rozpłomieniła szkocki patryotyzm i osobę autora postawiła wśród jego ziomków na piedestale. Dalszy ciąg powieści, gdzie David powraca niespodzianie do rodzinnéj strzechy, odzyskuje ojcowiznę, karząc przeniewierczego stryja, zadowolnią może pospolitych czytelników, ale samoistnéj wartości nie posiada. Udało się jednak autorowi tak popularną uczynić postać tego młodocianego bohatéra, że czytelnicy, a co jeszcze jest charakteryczniejszém, wydawcy nie pozwolili mu się z nim rozstać i zażądali dalszego ciągu. Stevenson nie znajduje się w tak trudném położeniu, jak ongi

felietonowéj pamięci Ponson du Terrail, który raz zabiwszy swego Rocambola, zmuszony go był wskrzesić, i nie dziwimy się, że zapowiada nam dalszy ciąg przygód i życia tego sympatycznego Szkota. Książeczka to, bo żadna praca Stevensona nie jest sążnistych rozmiarów, dopiéro zapowiedziana, rokuje z góry fantastyczny sukces dla księgarzy i procesy się już toczą o tłómaczenie i rozprzedaż powieści, któréj rękopis znajduje się jeszcze u autora!

Master of Ballantrae jest powieścią o dwóch braciach, lordach Durrisdear, z których jeden posiada pierwszorzędne zalety, a drugi jest wcieleniem wszystkich możliwych wad i przywar; ten żyje poświęceniem, ów nadużyciami, zdradą i zbrodnią. Takie elementarne przeciwstawienie charakterów i płynących z nich starć i katastrof straciłoby bezwątpienia wszelką ponętę dla wybredniejszych czytelników, gdyby autor, sam zdając sobie sprawę z wynikłéj stąd melodramatyczności, nie był jéj osłabił, kładąc całe opowiadanie w usta Mackellar'a, intendenta i domownika téj magnackiéj rodziny. Rzadko udało się pisarzowi nakreślić lepszą postać i bardziéj żyjącą. Bezgraniczne poświęcenie dla swojego pryncypała, połączone z nadzwyczajnym chłodem, rozwagą i praktycznością szkocką, jest istotnie doskonale przeprowadzone i najfantastyczniejsze awantury, gdy raz przeszły przez ten czyszczący alembik, od razu nabierają wiarogodności.

Nie widzimy potrzeby rozszerzać się nad szeregiem noweli i powiastek Stevensona, których jest kilka zbiorów, a z których najpopularniejszy nosi tytuł *The merry men*. Nie odznaczają się one, zdaniem naszém, żadnemi wyjątkowemi zaletami i gdyby słynne obecnie imię ich autora nie zapewniło im rozgłosu, nie byłyby zapewne wywarły żadnego głębszego wrażenia. Każdy pisarz posiada tego rodzaju rupiecie i jest błędem nadawać im przesadzone znaczenie. Wolimy za to poświęcić kilka uwag innemu działowi jego powieściopisarstwa, czysto fantastycznemu. Nie ma wątpliwości, że należy on do najtrudniejszych, a za dowód posłużyć może ta drobna garstka pisarzy, którzy sobie w téj dziedzinie niezaprzeczone zdobyli stanowisko. Im większy krąg zakreśliła dla siebie powieść współczesna, im zuchwaléj postanowiła stać się dla nas tém, czém epopea była dla młodzieńczych społeczeństw, tém mniéj w niéj miejsca zostało dla czysto fantastycznéj. Mogłoby to słusznie zadziwiać, gdybyśmy nie znali głębokich i wszechpotężnych wpływów realistycznego nastroju umysłu na twórczość piśmienniczą. Z trzech ras przewodniczącą odgrywających rolę, szczep anglo-germański góruje pod tym względem nad łacińskim i słowiańskim. Tylko pierwszy poszczycić się może Hoffmanem, Edga-

rem Poë i szeregiem pokrewnych im duchów. Trzeba, jak się zdaje, ukołysać w mgłach północy swą fantazyę, ażeby ją poprowadzić na szlaki nic ze światem rzeczywistym nie mające wspólnego. Szkocya posiada niezaprzeczenie wszystkie warunki, ażeby pisarzy do tego wyjątkowego dyapazonu nastroić i, jak obrazowo powiedział poeta, z różowych wrzosów, co tam ścielą się na bezbrzeżnych obszarach, sączy się płyn odurzający, a mieszając się z mgłą błękitną, wznoszącą się z *loch*'ów i jezior, dawać będzie jéj pisarzom skrzydła poetyckie nawet wtedy, gdy ich oddawna w innych krajach zabraknie.

Że Stevenson jest znakomitym twórcą fantastycznych powieści, zaprzeczyć nie można. Napisał on ich już sporo. Największéj sławy używa „Wypadek dziwny d-ra Jekyll i p. Hyde", oraz „Nowe nocy arabskie"; najgłębsze znaczenie ma „Książę Otto". Czytelnicy znają prawdopodobnie niektóre z nich: narobiły one w świecie literackim niemałego hałasu, i posypały się parodye, naśladownictwa, przedrzeźniania i karykatury, rozmaite dowody istotnéj wartości utworu, który te gąbkowate ciała wyłonił z siebie.

„Dziwny wypadek d-ra Jekyll" obraca się około dwoistości natury ludzkiéj. Dopóki ów doktór jest sam sobą, stanowi doskonały typ gentlemana, o szlachetnym charakterze i podniosłym umyśle, jest szanowany i kochany. Ale wystarcza mu wypić kilka kropel tajemniczego eliksiru, przyrządzanego w swéj chemicznéj pracowni, ażeby się zmienić fizycznie i moralnie, i przedzierzgnąć się natychmiastowo we wstrętną osobistość p. Hyde, o demonicznym wyglądzie, popełniającego okrucieństwa i morderstwa bez żadnego innego powodu, jak zaspokojenie chwilowego zwierzęco-dzikiego popędu. Samo się przez się rozumie, że autor nie odrazu dał nam poznać tajemnicę tych zmian i że umiał utrzymać czytelnika w zawieszonéj ciekawości aż do chwili, gdy się panu Hyde nie udało powrócić do swéj wyższéj, pierwotnéj postaci i gdy kończy swój dwoisty żywot samobójstwem. Sprowadzony do tych elementarnych rysów i pozbawiony swych artystycznych osłon, pomysł p. Stevensona nie uderza wyobraźni, chociaż niepodobna nie rozpoznać w nim podstawy etycznéj. Im bardziéj człowiek przyzwyczai się do dawania folgi swym instynktom i chuciom, tém trudniéj mu przychodzi następnie poskromić je i powrócić do czystych żywiołów swéj natury: taką myśl, niezaprzeczenie prawdziwą, odział autor w fantastyczną opowieść, którą można śmiało postawić na tym samym poziomie, co najznakomitsze utwory Edgara Poë.

W „Nowych nocach arabskich" fantazya Stevensona rozigrała się swobodnie. Jest tam jedna „noc", w któréj autor wprowadza nas

do „Klubu samobójców“, druga, w któréj opowiada losy nadzwyczajnego brylantu indyjskiego Rajahy, i o posiadanie którego ubiegając się, skądinąd najzacniejsi ludzie, gotowi są popełniać albo popełniają podłości. Łącznikiem pomiędzy temi opowiadaniami i innemi mniéj udatnemi, jak np. „Dynamit“, jest osobistość fantastyczna księcia Florestana, jakiegoś udzielnego księcia, zdala od swych poddanych, pozwalającego sobie najrozmaitszych wybryków i działającego jako opatrznościowy pośrednik. Najbardziéj pouczająca jest pierwsza powieść o „Klubie samobójców“; posiada ona w sobie właśnie wymagalną dozę grozy i straszności, ażeby zainteresowanego czytelnika o dreszcz chwilowy przyprawić. Punkt wyjścia, zgromadzenie wykolejonych istot, szukających wyjścia z walki życiowéj za pomocą samobójstwa, poddających się losowi, gdy na nich koléj przychodzi, wyzyskiwanych przez łotra, który im śmierć ułatwia, — jest istotnie oryginalny i nadaje się do dramatycznych perypetyi. Té, co chmurną fantazyę Stevensona rozjaśnia i co ją wyróżnia od wszystkich innych pokrewnéj natury utworów, jest nuta angielskiego *humour*'u. Niepodobna, gdy się raz dostrzeże owo żartobliwe usposobienie, leżące pod opowiadaniem starannie ukryte, a mimo tego przenikające okolną atmosferę swym aromatem, niepodobna, powiadamy, dać się wodzić fantazyi twórczéj autora. Ale z wyjątkiem naiwnych umysłów nikt zapewne do tego stopnia nie bierze na seryo tego rodzaju pomysłów, a skoro domieszka owéj lekkiéj, uśmiechniętéj ironii powiększa artystyczną wartość utworu, nie ma powodu wyrzucać jéj autorowi.

Wyżéj już zaznaczyliśmy wysoką wartość, jaką przypisujemy fantastycznéj powieści „Książę Otto“. Nietylko że w całéj dziedzinie powieściowéj nie znamy żadnego utworu, do któregoby ten był podobny, ale nawet wśród prac Stevensona stoi on odosobniony. Nie dla młodzieży to już powiastka, ale dla głębokich, dla myślących umysłów. Krytyka angielska, która pojawienie się w r. 1885 tego utworu powitała okrzykami zapału i która od téj pory Stevensona traktuje jako mistrza, jako pełnego i dojrzałego filozofa i artystę, nazwała „Księcia Otto“—filozofią małżeństwa. Autor, który, jak to już wyżéj się rzekło, o kwestyę miłości nie potrąca, a w niektórych swych szkicach i *essay*'ach, jak np. w wybornym zbiorze p. t. *Virginibus puerisque*, drwi niemiłosiernie z owego patologicznego stanu, znanego pod nazwą: „zakochania się“, tutaj dotknął jéj w wysoce oryginalny sposób i pomieścił miłość w małżeństwie w całkiem fantastycznych ramach. W jakiémś wymarzoném niemieckiém księstewku, które do rodziny sławetnego państwa Gerolstein należéć się zdaje, panuje młody książę Otto, kochający się w swéj żonie, księżniczce Seraficie, ale

podejrzéwający ją o obojętość. Istotnie, intrygi dworskie, ambicya polityczna i zabiegi wszechpotężnego ministra Gondremarcka, — w którym, nawiasem mówiąc, niektórzy podejrzéwali Bismarcka — zagłuszają w sercu księżny wszelkie żywsze uczucie dla męża, którego wartości moralnéj i wysokiego idealizmu nie rozumié. Nie chcemy wchodzić w szczegóły opowiadania, obfitującego w karykaturalne rysy i postaci, ale posiadającego także jednę wysoce oryginalną postać hrabiny Rosen. Są tam awantury nadzwyczajne i istotnie czarodziejską siłą baśń ta w organicznéj utrzymuje się całości. Celem, do jakiego autor niedojrzanie nas zbliżał, było udowodnienie, że miłość w obojętném uprzednio sercu rodzi się przez entuzyazm, przez uwielbienie dla moralnéj, dla psychicznéj wartości, dla szlachetności spotęgowanéj w słoneczne jakieś ognisko. Nietylko przez czyściec, ale przez prawdziwe piekło przebrnąć kazał autor swemu bohatérowi, ażeby mógł zakosztować owego rajskiego owocu podzielanéj miłości. Nie jesteśmy pewni, znając skądinąd usposobienie autora i ironiczny jego nastrój, czy należy brać jego tezę na seryo. Ponieważ jednak powątpiewanie samo wywołałoby zgrozę oburzenia u czytelniczek, wolimy nie kusić się o rozwiązanie najeżonego kolcami zagadnienia. Jesteśmy pewni wszelako, że każdy lubownik nadobnéj literatury z wysokiém zadowoleniem estetyczném utwór ten nietylko przeczyta, ale i odczyta ponownie.

Pisząc wiele do przeglądów i miesięczników, Stevenson zbiera co rok te artykuły i studya w snop wspólny i puszcza w świat widocznie przeświadczony, że każdy pyłek jego pióra posiada warunki trwałego bytu. Nie można powidziéć, żeby wszystkie te zbiory były jednolitéj wartości, ale są pomiędzy niemi przedziwne. Dotykając różnorodnych kwestyi, pisząc o miejscowościach, o ludziach, o książkach, o dziełach sztuki, autor daje wysoce ciekawy wizerunek swéj własnéj duchowéj natury. Jest on Szkotem, zagorzałym Szkotem. Cudzoziemcy, którzy zazwyczaj całe trzydzieści milionów obywateli Wielkiéj Brytanii sprowadzają do jednego mianownika i chrzczą wspólną nazwą Anglików, popełniają błąd nie do darowania. Na miejscu te różnice pochodzenia mają doniosłe znaczenie i nadają indywidualne piętno do zatarcia niepodobne. Black wczoraj, a obecnie Stevenson podnieśli nić szkockiéj tradycyi i obstają przy niéj. W obfitującym w ciekawe studya tomie „Wspomnienia i portrety“, albo w innym, dającym obrazowy opis Edynburga, autor przy każdéj sposobności na te etnograficzne i psychiczne odrębności nacisk kładzie. Jest szczególniéj interesujący szkic o „Cudzoziemcach w swoim własnym kraju“. Prawdziwy to panegiryk na cześć Szkocyi. Jéj mieszkańcy są nowożyt-

nymi Spartanami, ubogimi, skromnymi, pełnymi prostoty, o głęboko zakorzenionéj religii, o niezłomnym charcie ducha. Do tych zasadniczych stron charakteru dodaje jeszcze wybujały idealizm i zamiłowanie w naukowéj pracy, nie znane w innych krajach. Wprawdzie autor nie dodaje, że ubóstwo wyrodziło skąpstwo, religijność — bigoteryę, hart duchowy — upór i ciasnotę poglądów, ale nie można się takiéj dwustronnéj oceny spodziéwać od człowieka, który podróżując od lat wielu w obczyźnie, zatarł w swoim własnym charakterze ujemne spiczastości parafialne a zachował na dnie ducha idealne pojęcie swéj ojczyzny. Jak jasno zdaje sobie on sprawę z różnic istniejących pomiędzy Anglikami a Szkotami przekonać może choćby następująca cytata: „Szkot jest inaczéj wychowywany; inne prawa obowiązują u niego; inaczéj brzmi jego testament, inaczéj małżeństwo zawiéra i inaczéj się rozwodzi; oko jego nie przywykło ani do angielskiego krajobrazu ani do angielskich budowli; ucho jego słyszy zawsze różnicę dyalektu a choć się przyzwyczai do miększego południowego, nie zatraci nigdy przenigdy swego energicznego północnego, umysłowego piętna.“ Nie podobna bez wzruszenia czytać szkiców, gdzie kreśli rysy wybitne swych dziadów i rodziców, swych starych sług, kolegów młodości, albo gdzie śpiéwa hymn uwielbienia dla swojéj *alma mater*, uniwersytetu edynburskiego.

Tak silnie do swéj rodzinnéj przywiązany skiby, co moment potrąca o jéj narodowe wielkości i sławy. Nie znamy lepszego studyum krytycznego nad poetą-chłopem, Robertem Burns, jak to które Stevenson o nim napisał. Mieści się ono w wysoce interesującym tomie pod tyt. „Poufne studya nad ludźmi i nad książkami.“ Ale tenże sam zbiór studyów literackich dowodzi, że umysł autora nie uwiązł w ciasnych swego kraju obrębach, ale że wszedł w duchowe powinowactwo z wielu przedniejszymi umysłami innych narodów, dawniejszymi i nowoczesnymi. Nic ciekawszego jak pełne entuzyazmu studyum jego nad Wiktorem Hugo. Wielki poeta francuski jest, chciałoby się niemal powiedziéć, wyżéj ceniony obecnie u Anglików aniżeli wśród swych własnych rodaków. Znaną jest cześć religijna, jaką mu oddaje znakomity poeta Swinburne, a Stevenson pod tą samą staje chorągwią. Wysoki interes posiada ocena romantyzmu u Wiktora Hugo, który przeciwstawia romantyzmowi Walter-Scotta i nad którym tak samo ma on górować jak ów góruje nad Fieldingiem. Krytyk przedziwnie wykazał jak u W. Hugo stopniowo indywidualności znikają wśród syntetycznego obrazu całości i jak dawniejsza powieść przeradza się w epopeę. Siły ukryte, działające we wnętrzu społeczeństwa, owe chóry tragedyi greckiéj, występują coraz bardziéj na

piérwsze plany i dzięki ich udziałowi Wiktor Hugo ucieleśnia tutaj sztukę gotycką, tam znowu uzmysławia walkę człowieka z żywiołami natury, albo ze społeczną i legalną potęgą, albo nakoniec pokazuje jego namiętne darcie się do urzeczywistnienia ideału sprawiedliwości. Jest zaprawdę dowodem wysokiego, umysłowego poziomu takie głębokie wniknięcie w ducha obcego, innoplemiennego geniusza. Ale Stevenson obraca się we francuskim świecie w ogóle jak w swoim własnym. Zna dobrze dawnych francuskich poetów, jak o tém świadczą prace nad Villonem i Karolem Orleańskim; lubuje się tak samo nad starym Montaigne'm jak nad dzisiejszym Dumasem-ojcem, którego „Wicehrabiego de Bragelonne“ czytał, jak się przyznaje, nie mniéj jak pięć razy. Nawet z najnowszém pokoleniem literackiém Francyi wiążą go ścisłe węzły, jak świadczy dedykacya jednego z ostatnich jego tomów, *Across the plains*, Pawłowi Bourget, koryfeuszowi powieści psychologicznéj. „Mogę uwielbiać innych całą siłą mego ducha, z Tobą jednak żyć mi najlepiéj.“ Łatwo to zrozumiéć. Stevenson spędził niejedno lato w lesie Fontainebleau, w Barbizon'ie, téj słynnéj wiosce, stworzonéj przez genialną szkołę francuskich pejzażystów i doskonale naszkicował obie strony tego artystycznego życia: uganianie się za ideałem, a jednocześnie pstrokatą, paradoksalną bohemę. *Wer den Dichter will verstehen*, *muss in Dichters Lande gehen*, powiedział Goethe, a szkocki essayista prawdę tę stwierdza na sobie dowolnie.

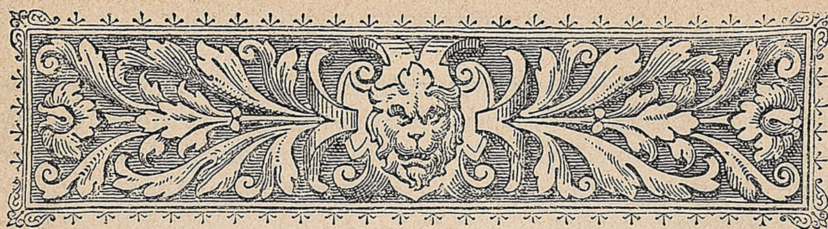
A Stevenson po rozmaitych krajach wędrował. Jego szkice podróżne i opisy dalekich wód i lądów stanowią trzecią stronę jego piśmienniczéj działalności. Istotnie kalejdoskopowa to mozajka. Jest tam tom pełnéj humoru podróży po Cewennach, jest inny opowiadający podróż czółnem po belgijskich i francuskich kanałach i rzekach; jest kilka tomów o amerykańskich osadach, pełnych kolorytu i drgających prawdą widocznie na uczynku pochwyconą. Trzeba by posiadać nadzwyczajną dozę optymizmu, aby po obrazach jakie nakreślił o kalifornijskiém życiu chciało się tam jeszcze dążyć po złoto. Ale nie starczyło mu niebawem Europy i Ameryki nawet. Ostatnie jego dzieło, jedno z najciekawszych, jakie nam dał, nosi tytuł: „Przypiski do historyi i ośm lat zatargów w Samoa.“ W Samoa też, na archipelagu Żeglarskim, wśród polinezyjskiego świata oceanu Spokojnego, rozpiął w ostatnich latach p. Stevenson swój koczowniczy namiot. Nic charakterystyczniéjszego jak obraz téj powstającéj cywilizacyi, którą nam kreśli, i tkaninę intryg niemieckich, którą przed czytelnikiem wysnuwa. Nieraz chciałoby się wierzyć, że jedynie sarkastyczny humor autora stworzył takie postaci jak królika Laupepu albo Mataafy. Sprawa ta, niestety, należy do rzeczywistości i oddźwiękła

we współczesnéj historyi i dyplomatycznych kółkach. Czytając jéj perypetye, mimowiednie rumienić się musi przedstawiciel tak zwanéj cywilizacyi i czuć się upokorzonym przed polinezyjskimi autochtonami. Niemiecki *Colonialmensch* napiętnowany został przez Stevensona czerwoném żelazem.

Możnaby wiele innych stron podnieść u tego arcyciekawego pisarza, u którego jedni podziwiają naiwność szkolnego chłopaka, czułość kobiécą, dojrzałość męża, a drudzy wychwalają sprężystość i energię męską, zaprawną humorem i źdźbłem cynizmu. Wszyscy oddać muszą hołd rozległéj jego nauce, która nie zatarła świeżości spostrzegawczéj oraz formie nieposzlakowanéj, świetnéj w swéj prostocie i swobodzie. Niedawno w artykule, który szeroko był czytany, Stevenson odpowiadał młodzieńcowi proszącemu go o rady na wstępie do literackiego zawodu i wskazał na niezaprzeczone przywileje takowego, na trudności, jakie leżą w jego naturze i na nagrody o jakie ubiegać się może. Ale ażeby w nim zdobyć sobie oficerską rangę, trzeba zdaniem Stevensona, brać zawód pisarski na seryo, i w każdym pyłku nawet nie zatracać świadomości wysokich ideałów. Rady te nie tylko teoretycznie udziela, ale swym własnym stwierdza przykładem.

N. T.

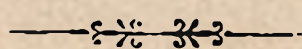




ZMYSŁY I WRAŻENIA ZMYSŁOWE

U ZWIERZĄT NIŻSZYCH,

w świetle nowszych badań.



(Dokończenie) *).

Przystąpmy teraz do rozpatrzenia zmysłów smaku i węchu. Właściwie oba te zmysły możnaby uważać tylko za modyfikacye zmysłu dotykowego; możnaby powiedzieć, że trzy te zmysły są jednym, ogólnym, przystosowanym do poznawania materyi nas otaczającéj, w stanie trzech rodzajów jéj skupień: stałego, płynnego i lotnego. Zmysłem dotyku poznajemy głównie własności ciał stałych; najwprawniejszym dotykiem nie odróżnimy przecie wody od spirytusu, lub od roztworu jakiéj soli mineralnéj, o ile naturalnie skóra nasza nie będzie przypadkowo zdrapana i płyn nie dostanie się do ranki, gdzie mógłby drażnić głębsze zakończenia nerwowe i sprawić szczypanie lub innego rodzaju ból nieokreślony; jeśli skóra jest normalna, nie odróżnimy własności dwóch płynów, jednakowo mniéj więcéj gęstych, ruchliwe bowiem cząsteczki ciał płynnych za mały przedstawiają opór dla dotykowych zakończeń skóry; w daleko wyższym stopniu stosuje się to jeszcze do gazów. Przeciwnie zaś, wiemy dobrze, jak dokładnie odróżniać możemy zmysłem smaku naturę różnych płynów, lub powonieniem—naturę gazów. Pomiędzy dotykiem i smakiem zachodzi jednak prócz tego inna jeszcze, głębsza różnica. A mianowicie, dotykiem możemy poznawać tylko własności fizyczne przedmiotów, zależne od ugrupowania wzajemnego cząsteczek, czyli molekułów; kryształu cukru i kryształu soli, gdyby miały jednakową po-

*) Ob. „Ateneum" zesz. wrześniowy r. b., str. 366.

stać, nie bylibyśmy w stanie odróżnić przez dotyk. Ciała atoli posiadają prócz fizycznych i własności swe chemiczne, zależne nie od układu molekułów, lecz od natury i ugrupowania atomów, wchodzących w składek każdéj cząsteczki fizycznéj.

Otóż za pomocą zmysłu smaku rozpoznawać możemy do pewnego stopnia różnice chemiczne ciał, t. j. uwarunkowane atomistyczną ich budową. I tak np. obszerna grupa związków chemicznych, mających pewne wspólne właściwości budowy i reakcyi, sprawia na nasz zmysł smakowy osobliwe zawsze wrażenie, które nazywamy smakiem kwaśnym (kwasy), inna grupa ciał, o innych własnościach chemicznych, wywołuje odmienne wrażenie smakowe (alkalie), jeszcze inne ciała sprawiają jeszcze inne wrażenie smakowe (sole słone, gorzkie); grupa związków, oznaczanych nazwą alkaloidów, jest w smaku gorzka i t. d.

Podczas gdy zmysł dotyku rozmieszczony jest na całéj powierzchni skóry naszéj, zmysł smaku ma ograniczone rozmieszczenie, a mianowicie umiejscowiony jest tylko w naszéj jamie ustnéj. Pozostaje to właśnie w związku z owym koniecznym warunkiem, jaki posiadać muszą ciała, aby odczuwane były przez nasz zmysł smakowy,— a mianowicie, jak powiedzieliśmy, muszą one być płynne, lub w płynach rozpuszczone. Otóż warunek ten może być wypełniony w jamie ustnéj, gdzie, dzięki obecności śluzu i śliny, wprowadzone do niéj ciała stałe mogą się rozpuścić. Dla człowieka i zwierząt wyższych zmysł smaku ma głównie tylko znaczenie do rozpoznawania własności pokarmów. Pierwotnie atoli funkcyonował on i w innych miejscach powierzchni ciała zwierząt, tak że te ostatnie poznawać mogły przy jego pomocy pewne własności otoczenia wogóle. Widzimy to u kręgowców, zamieszkujących wody, a mianowicie u niektórych ryb, według badań Blauego i innych. Organ smaku kręgowców, umieszczony na języku i podniebieniu, składa się z osobliwych tworów, zwanych pączkami smakowemi, które utworzone są przez komórki zewnętrzne, otaczające oraz wewnętrzne, właściwie smakowe, połączone z włóknami nerwu. U ryb, o których mowa, takie pączki smakowe znajdują się nietylko w jamie gębowéj, ale także na reszcie powierzchni ciała. Nie ulega najmniejszéj wątpliwości, że u ryb tych zmysł smakowy, w podobny sposób rozwinięty, ma znaczenie nietylko dla poznawania własności spożywanych pokarmów, lecz także i dla innych czynności, a przedewszystkiém dla odczuwania zmian, odbywających się w środowisku płynném, otaczającém ciało zwierzęcia.

Jeśli rozciągniemy ten pogląd i na zwierzęta bezkręgowe, zamieszkujące wody, to—jak słusznie twierdzi Jourdan — będziemy musieli

przyjść do wniosku, iż smak w połączeniu z dotykiem odgrywa u nich bardzo ważną rolę i w części zastępować może inne zmysły, np. zmysł powonienia, który jest tak ważny dla zwierząt niższych, a dla rozwoju którego nie ma w wodzie warunków odpowiednich. Wszyscy badacze—powiada Jourdan—którzy studyowali obyczaje życia owadów, przypisują zmysłowi powonienia ową zadziwiającą zdolność niektórych z nich (np. grabarzy), odczuwania ze znacznéj odległości rozkładającego się trupa; dlaczegóżby więc nie można przypisać smakowi krabów i innych skorupiaków zdolności uczuwania ciał, rozkładających się w wodzie?

W rzeczywistości, bardzo jest prawdopodobném, iż jeśli rozkładające się substancye mogą produkować gazy, działające na powonienie, to mogą one również oddzielać od siebie twarde lub płynne cząstki, działające na zmysł smaku. Nie będzie to wcale zbyt śmiałą hypotezą—powiada Jourdan — jeśli przyjmiemy, że cząstki stałe lub płynne, domieszane do otaczającéj wody, mogą ze znacznéj odległości działać na zwierzę żyjące i wywierać na zakończenia jego nerwu smakowego swoiste wrażenia. Pogląd taki prowadzi nas daléj do wniosku, iż u istot, zamieszkujących płynne środowisko, zmysł smaku jest bardzo szeroko rozpowszechniony i że funkcye jego stosują się nietylko do wyboru pokarmu, lecz także do poznawania natury otoczenia. U zwierząt, które zaczęły prowadzić życie w powietrzu sprężystém, zmysł smaku lokalizował się stopniowo i wreszcie zachował się tylko w początkowym oddziale przewodu pokarmowego, t. j. tam, gdzie dla czynności jego istniały konieczne warunki; pole jego działalności zmniejszało się coraz bardziéj w biegu rozwoju rodowego, tak że wreszcie u zwierząt najwyższych służy on już tylko do poznawania pewnych własności środków pokarmowych. Takiém jest przynajmniéj przypuszczenie dzielnego badacza zmysłów zwierzęcych, Jourdana, a wydaje się nam ono wielce prawdopodobném. Niestety, znajomość nasza zmysłu smakowego u zwierząt bezkręgowych jest bardzo dotąd niedokładna; dotychczas opieramy się w tym względzie jedynie prawie na metodzie morfologicznéj, eksperymentalnych zaś badań w tym kierunku wcale prawie nie dokonywano.

U pierwotniaków (*Protozoa*) trudno dopatrzéć się jakiegokolwiekbądź samodzielnego zmysłu smakowego, co zresztą dotyczy także i innych wrażeń zmysłowych téj naprostszéj grupy zwierząt. Wszelako protoplazma, składająca tu ciało komórki, jest podobnie, jak na bodźce mechaniczne, wrażliwą również na zmiany chemiczne środowiska, w którém istota żyje. Pollack i Romanes notują u polipów morskich osobliwe zjawisko, które przypisują obecności u tych zwie-

rząt zmysłu węchowego; prawdopodobniéj jednak w obec tego, co wyżéj bylo powiedziane, polipy, jako zamieszkujące środowisko płynne, posiadają nie zmysł powonienia, lecz smakowy. A mianowicie, według spostrzeżeń powyższych badaczy, ukwiały odczuwają w wodzie obecność pewnych pokarmów, np. rozmiażdżonych mięśni małżów i t. p.; jeśli bowiem na chwilkę umieścimy kąsek taki po nad ukwiałem (zwierzęta te nie mogą widzieć, gdyż nie posiadają oczów), zauważymy niebawem, jak zwierzę się wyciąga i prostuje swe ramiona; jeśli umieścimy w blizkości ukwiałów, towarzysko żyjących, jaką zwykłą ich substancyę pokarmową, zauważymy, jak jeden ukwiał po drugim otwiéra swą paszczę i wyciąga ramiona, przyczém ruchy ich pokazują, że ukwiały nie zdają sobie dokładnie sprawy z tego, w którém miejscu pokarm się znajduje. Prawdopodobnie pewne składowe części pokarmu, rozpuszczone w wodzie, drażnią zmysły smakowe ukwiałów. Co się zaś tyczy tego, w którém miejscu znajdują się odpowiednie zakończenia nerwowe na ciele ukwiału, Jourdan przypuszcza, że są one rozmieszczone na całéj skórze i że są niemi znane pręcikowate komórki skóry ukwiałów, zakończone sztywnemi rzęsami i pełniące jednocześnie czynność tak elementów dotykowych, jak i smakowych. Pomijając inne grupy zwierząt niższych, zaznaczymy, że u robaków obrączkowych, np. u pijawki lekarskiéj, zmysł smaku stanowczo jest rozwinięty.

Jakoż doświadczenie codzienne uczy, że pijawka lekarska wtedy tylko decyduje się naciąć skórę chorego i krew wysysać, jeśli skóra jest dobrze obmyta; widocznie zatém niemiły dla pijawki smak potu ludzkiego powstrzymuje ją od czynności wysysania; jeśli zaś z drugiéj strony pokryć skórę cienką warstewką krwi lub mléka, pijawka w tém miejscu natychmiast się przytwierdza swoją ssawką gębową; widocznie więc odróżnia ona smak pokarmów. Jeśli zważymy, że pijawki są zwierzętami wodnemi, a więc otoczonemi normalnie przez środowisko płynne, to obecność u nich zmysłu smakowego jeszcze bardziéj wyda nam się prawdopodobną. Oddawna znany jest w głowie pijawek złożony organ zmysłowy, który składa się z licznych zakończeń nerwowych dwojakiego rodzaju: jedne z nich uważane są za wielce pierwotny zmysł wzrokowy, drugie zaś przypominają bardzo z budowy swéj histologicznéj pączki smakowe na języku ssących; a mianowicie powyżéj ssawki gębowéj pijawki znajdujemy na skórze liczne kieliszkowate zagłębienia, na dnie których mieszczą się komórki pręcikowe, połączone na dolnych końcach z włóknami nerwowemi; podobieństwo budowy tych tworów (Leydig) do pączków smakowych wyższych

zwierząt czyni wielce prawdopodobném przypuszczenie, iż twory te są rzeczywiście organami smakowemi.

Co się tyczy obszernéj grupy stawonogów, do których należą żyjące w wodach skorupiaki (raki) i lądowe owady, pająki i t. p., to wychodząc z téjże zasady, któréj trzymaliśmy się wyżéj, *a priori* możemy przypuścić, że formy wodne opatrzone są tylko zmysłem smakowym, żyjące zaś w powietrzu atmosferyczném posiadać mogą oprócz smakowego, umieszczonego przy początku przewodu pokarmowego, także zmysł powonienia. Istniejące dotąd w nauce fakty przemawiają na korzyść tego przypuszczenia. Umieściwszy w wodzie akwaryum kawałek rozkładającego się mięsa lub innéj jakiéj substancyi organicznéj, łatwo spostrzeżemy, w jak prędkim czasie skorupiaki, zamieszkujące akwaryum, zbiegną się ze wszystkich stron do pokarmów; z drugiéj znów strony wiadomo, jakim znakomitym wabikiem jest mięso lub trup zwierzęcia dla owadów, zamieszkujących powietrze. Otóż bardzo jest prawdopodobném (a nawet trudno by było w inny sposób zjawisko to wytłómaczyć), że podobnie jak lotne cząstki pokarmu w powietrzu wabią owady, tak téż cząsteczki pokarmowe, rozpuszczone w wodzie, drażnią odpowiednie zakończenia nerwowe wodnych stawonogów; pierwszego rodzaju wrażenia są węchowe, drugiego zaś — przedstawiają niewątpliwie wrażenia smakowe. U skorupiaków znane są już od dawna t. z. „kolby węchowe“ Leydiga; są to prawdopodobnie zmysły smaku. Kolby takie mieszczą się np. na gałęzi zewnętrznéj oraz na stronie spodniéj małego różka raka rzecznego; na każdym członku znajdujemy tu dwa osobliwe pęczki włosków. Włosek składa się z części podstawowéj okrągławéj i wierzchołkowéj, brodawkowatéj; wnętrze włoska wypełnione jest tkanką, pozostającą w związku z włóknem nerwowém. W najnowszéj swojéj pracy Leydig twierdzi, że w ogólności trudno jest przeprowadzić ścisłą granicę histologiczną pomiędzy zakończeniami dotykowemi i smakowemi u skorupiaków. Co się tyczy owadów, zobaczymy niżéj, że zmysł powonienia rozwinięty jest u tych istot bardzo silnie; niezależnie atoli od tego, posiadają one także dosyś dobrze rozwinięty zmysł smaku. I tak, wiadomo, że gąsienice różnych motylów żywią się stale liśćmi jednego rodzaju; otóż jeśli umieścić gąsienicę na liściach, które nie stanowią normalnego jéj pokarmu, zwierzę probuje jeść, ale natychmiast przestaje i tak długo nie jé, dopóki właściwego pożywienia nie otrzyma; widocznie więc gąsienice odróżniają smak pokarmów. Zauważono daléj, że osy poszukują zawsze najdojrzalszych gron winnych i kosztują jedne po drugich, dopóki nie natrafiają na odpowiednie. Forel wykonywał doświadczenia z mrówkami, którym dawał do jedzenia miód

z domieszką chininy lub strychniny; mrówki zaczynały jeść, lecz gdy tylko kosztowały, opuszczały miód. Co się tyczy siedliska narządu smakowego u owadów, badacze nie są z sobą dotąd zupełnie zgodni. Według Leydiga np., znajduje się on u much na trąbce, według Meynerta, u mrówek jest on umieszczony na szczękach i t. zw. języku (*glossa*), według Forela na wierzchołku języka, wreszcie według Wolffa zakończenia nerwów smakowych znajdują się u wielu owadów na t. zw. podniebieniu i nadgębiu (*epipharynx*) i t. p., ostatecznie więc zawsze u wejścia do przewodu pokarmowego.

Mięczaki odznaczają się również zdolnością dokładnego odróżniania środków pokarmowych. Organ smaku nie mieści się jednak u mięczaków na t. zw. języku czyli tarce; Flemming, który w ostatnich latach badał bliżéj tę kwestyę, znajduje pączki smakowe na różkach różnych ślimaków oraz na brzegu płaszcza u wielu małżów (np. u *Pecten*).

Przystępując z kolei do zmysłu powonienia, zaznaczymy przedewszystkiém, że zmysł ten funkcyonalnie jest ściśle bardzo związany ze zmysłem smaku. Po większéj części wrażenia smakowe i węchowe tak się z sobą mieszają, iż częstokroć nie umiemy ich odróżnić. Wiadomo przecież, że rozmaite ciała mile woniejące podnoszą smak spożywanego pokarmu; ciasto lub krem z wanilią smakuje nam bardzo tylko dla tego, że cząsteczki wanilii unoszą się w powietrzu i przenikając wraz z niém do jamy nosa drażnią tam zakończenia nerwu węchowego. Wiadomo daléj, że przy silnym katarze nosa, smak spożywanych pokarmów wydaje nam się często mdłym, nieprzyjemnym; pochodzi to tylko ztąd, iż nie odbiéramy wtedy jednocześnie wrażeń węchowych. Zasługuje téż na uwagę fakt, że u niektórych kręgowców część organu powonienia oddziela się od reszty i wstępuje w związek z jamą gębową (organ Jakobsona); cel fizyologiczny tego urządzenia jest — dokładniejsze odbieranie wrażeń węchowych z pokarmu spożywanego. Wszystkie te i liczne inne podobne fakta dowodzą blizkiéj zależności fizyologicznéj obudwóch zmysłów. Fakt ten ma dla nas wielką doniosłość; przemawia on mianowicie w wysokim stopniu na korzyść przypuszczenia, iż oba te zmysły są filogenetycznie z sobą związane, iż powstały one w biegu rozwoju rodowego z jednego, wspólnego zmysłu i że ten ostatni, jak to już kilkakrotnie zaznaczyliśmy, zróżnicował się u zwierząt wodnych na zmysł smakowy, u żyjących zaś na lądzie — na zmysł smakowy specyalnie przystosowany do czynności odżywiania się oraz na węchowy, stosownie do różnicy środowiska, otaczającego istoty wodne i powietrzne. Bardzo ważnym dowodem słuszności takiego poglądu jest fakt, iż u ssących wo-

dnych, a mianowicie u wielorybów, zmysł powonienia jest nader tępy, a jak pokazuje budowa anatomiczna ich mózgu, brak mu płatów węchowych oraz nerwów węchowych; z tego już faktu wynika, że u przedstawicieli wodnych ssaków funkcya węchowa pozostaje na najniższym szczeblu rozwoju.

Pomijając pierwotniaki, jamochłony, szkarłupnie i niższe robaki, u których dotąd zmysł węchowy nie został znaleziony, przejdziemy odrazu do robaków obrączkowych, u których niewątpliwie istnieje. Zasługuje na uwagę, że przypuszczano istnienie zmysłu tego u pewnych pijawek lądowych, co zgadza się z wyżéj wyłuszczonym poglądem, iż tylko na lądzie żyjące zwierzęta są w ten zmysł uposażone. I tak, rozmaici podróżnicy, a zwłaszcza prof. Schmarda, opowiadają, że męczarnie, sprawiane podróżnym przez moskity, niczém są w obec tego, co czyha na nich na Ceylonie: w lasach i gęstwinach téj wyspy roją się drobne pijawki lądowe, zwane *Hirudo ceylanica*. Żyją one na ziołach różnych, pod suchemi liśćmi, kamieniami, na drzewach i t. p. i zdaleka już uczuwają obecność człowieka, gdyż ze wszystkich stron, z pod liści i skrytek wyłażą i zbiegają się, napastując zdobycz. Ponieważ wzrok u tych pijawek jest nadzwyczaj słabo rozwinięty, a oprócz tego zbiegają się one ku zdobyczy swojéj z pod liści i szczelin, skąd nie mogłyby w ogóle dostrzedz człowieka, oczywiście zatém kierują się one węchem; prawdopodobnie téż same zakończenia nerwowe na głowie, o których wspominaliśmy wyżéj, odgrywające rolę narządów smakowych u pijawek wodnych, pełnią czynność węchową u gatunków lądowych.

Z pośród wszystkich zwierząt bezkręgowych owady posiadają najlepiéj rozwinięty zmysł węchu. Wiadomo, z jak znacznéj odległości mucha plująca lub grobarz uczuwa woń mięsa; jeśli ukryjemy gdzieś w ogrodzie ciało jakiego małego, martwego ssaka, np. kreta lub myszy, wkrótce zauważymy, że liczne owady zlecą się dla rozpoczęcia wspólnéj uczty; wiadomo daléj każdemu, że dosyć jest umieścić w pokoju na wsi nieco miodu lub podobnéj substancyi przy otwartém oknie, aby mieć wkrótce wizytę os, zwabionych wonią jadła. Liczne owady poznają płeć inną swego gatunku za pomocą zmysłu węchowego; przekonano się (Forel, Milne-Edwards, Balbiani) mianowicie, że samce wielu motylów kierują się głównie zmysłem węchu przy poszukiwaniu samic. Wiadomo wreszcie, że owady kolonialne, np. mrówki, jak to wykazali Lubbock, Forel i liczni inni, kierują się zmysłem węchu w wędrówkach swych i oryentują się tym sposobem. A mianowicie, mrówki chodzą zwykle utartemi szlakami, a wypuszczając nieznaczne ilości kwasu mrówkowego, pozostawiają ślad wędrówek

swoich, który z łatwością mogą znów przy powrocie rozeznać; ten wonny kłębek Aryadny prowadzi je zawsze do celu; ale dosyć jest zeskrobać gdziekolwiek ziemię na szlaku takim, a zobaczymy niebawem, że mrówka doszedłszy do tego miejsca i zetknąwszy się ze świéżą ziemią, pozbawioną znanéj jéj woni, zaniepokoi się bardzo, zacznie się cofać, biegać to w tę to w ową stronę i jeśli przekroczy szczęśliwie przeszkodę i wpadnie na dalszy ciąg dawnego swego szlaku, pocznie szybko i pewnym krokiem podążać znów daléj naprzód. Forel twierdzi nawet, że mrówki dzięki zmysłowi powonienia mogą odróżniać przyjaciół od wrogów i poznawać różne inne własności otaczających je przedmiotów. Zachodzi teraz pytanie, gdzie mieści się zmysł powonienia u owadów? Większość badaczy, jak Hauser, Kräpelin, Lubbock, Forel, Plateau i inni przypuszczają, że siedliskiem zmysłu tego są różki. Liczne doświadczenia pokazują, że w bardzo wielu wypadkach przypuszczenie to jest zupełnie słuszne. Hauser np. czynił doświadczenia na różnych drobnych chrząszczach; jeśli zbliżał do nich pałeczkę szklaną, umoczoną uprzednio w kwasie karbolowym lub terpentynie, to osobniki, posiadające różki, uciekały natychmiast, te zaś, którym różki odcięto, nie czuły bynajmniéj woni i nie uciekały ani od karbolu ani téż od terpentyny. Autor ten zauważył również, że mucha plująca, pozbawiona sztucznie różków, nie odczuwa woni rozkładającego się mięsa, na którą w warunkach normalnych jest tak bardzo wraźliwa. Z innemi owadami (np. chrząszczem, szczypawką) doświadczenia podobne dały rezultaty mniéj zadawalniające. Prof. Graber wykonał również szereg doświadczeń nad powonieniem owadów [1]) i przekonał się, że w niektórych wypadkach usuwanie różków nie pozbawia owadów zdolności odbiérania wrażeń węchowych; Lubbock zaś twierdzi, że w tych wypadkach zmysł węchu mieści się na t. zw. głaszczkach (*palpus*). Pod względem anatomicznym badano w ostatnich czasach bardzo sumiennie zmysł węchu owadów, a mianowicie zakończenia nerwowe na różkach.

W ogólności, jak wykazały badania Hausera [2]), Kräpelina [3]), Sazepina i innych, różki owadów są tworami bardzo skomplikowanemi pod względem mnogości i różnorodności zakończeń nerwowych, mających w nich swe siedlisko. I tak odróżniamy na różkach kilka ro-

---

[1]) V. Graber, „Grundversuche über die Wirkung und die Aufnahmestellen chemischer Reize bei den Thieren," „Biolog.-Centralblat" 1885.

[2]) Hauser, „Physiologische und histologische Untersuchungen über die Geruchsorgane der Insekten." „Zeltschrift für wissenschaftliche Zoologie." 1880.

[3]) Kräpelin, „Ueber die Geruchsorgane der Gliederthiere." Ibidem. 1883.

dzai narządów zmysłowych, połączonych z włóknami nerwowemi, jak np. zwykłe włoski dotykowe, włoski spłaszczone, dołki, opatrzone na dnie drobnemi włoskami, stożkowate wzniesienia z nerwowém włóknem pośrodku, organy w postaci korków od wina szampańskiego, złożone z zagłębienia opatrzonego na dnie wznoszącą się listewką kolistą i t. d. i t. d. Za zmysły węchowe uważane są stożki, otwarte u góry i zawierające w swém wnętrzu komórki zmysłowe, które połączone są u spodu z włóknami nerwowemi, u góry zaś zakończone są pręcikami węchowemi (Hauser). Rozmaitość organów zmysłowych na różkach owadów pokazuje, że twory te są siedliskiem nie tylko zmysłu dotyku i powonienia, ale być może i wielu innych nieznanych nam zmysłów. Pod względem ilościowym organy zmysłowe na różkach są równie zadziwiające, jak pod względem jakościowym. Tak np. zwyczajna osa posiada na każdym różku swoim nie mniéj jak 13,000 dołków i 700 stożków, pszczoła — 20,000 dołków i 200 stożków, chrabąszcz posiada aż 35,000—39,000 dołków zmysłowych (Hauser) na każdym różku!

Jeśli w ogólności organy zmysłowe zwierząt odznaczają się misternością budowy swojéj, to szczytu pod tym względem dosięga zmysł słuchu i wzroku. Ucho, do rozpatrzenia którego przystąpimy z kolei, badane w całym łańcuchu zwierzęcym, zdradza wszędzie pewne wspólne zasadnicze cechy budowy. Dźwięk powstaje, jak wiadomo, dla tego, iż cząsteczki danego ciała wprowadzone zostają w szybkie drgania; te ostatnie udzielają się powietrzu, w którém powstają w skutek tego t. zw. fale dźwiękowe; fale zaś uderzają o delikatną, elastyczną błonę, rozpiętą w głębi naszego przewodu słuchowego zewnętrznego, a zwaną bębenkiem. W ten sposób i błona bębenka wprowadzoną zostaje przez ruch cząsteczek powietrza w drgania odpowiednie, które przenoszą się z kolei za pośrednictwem szeregu drobnych kosteczek do ścianki miękiego, błoniastego worka t. zw. błędnika; dzięki szczególnemu układowi tych kosteczek drgania nie tylko zachowują swój charakter, ale nadto wzmacniają się. Błędnik wypełniony jest cieczą, a w téj cieczy pogrążone są zakończenia słuchowego nerwu. Otóż, przez drgania kostek słuchowych oraz ścianki błoniastéj błędnika (z którą ostatnia z szeregu kostek, jest zespolona, a mianowicie t. zw. strzemię osadzone jest w części ścianki błędnika, zwanéj okienkiem owalném) wprowadzoną zostaje w drgania ciecz, wypełniająca błędnik, a tém samém także drgania udzielają się zakończeniom nerwowym w cieczy pogrążonym, które doprowadzają już do świadomości naszéj wrażenia specyalnego charakteru, zwane dźwiękowemi. Błędnik błoniasty jest tworem bardzo złożonym, składa się on z kilku oddziałów, pomiędzy którémi najważniejszy jest t. zw. ślimak. W błę-

dniku znajdują się w kilku miejscach zakończenia nerwowe, a mianowicie komórki, opatrzone na wierzchołku drobnemi włoskami (słuchowemi), i połączone u podstawy z włóknem nerwu; w niektórych miejscach na włoskach słuchowych spoczywają drobne kamyki, złożone z węglanu wapna (t. zw. otolity) i zawarte w substancyi galaretowatéj; kamyki te, wprowadzone w ruch drgający, drażnią tém snadniéj włoski komórek słuchowych, potęgując wrażenie dźwiękowe. W ślimaku ucha naszego zakończenia nerwowe mieszczą się na iście misternym organie, odkrytym przez hrabiego Cortiego i na jego cześć nazwanym organem Cortiego. Organ ten przedstawia jakby mikroskopowy przyrząd muzyczny, złożony z przeszło czterech tysięcy włókien, jakby strun, które od nasady ku wierzchołkowi ślimaka, leżąc obok siebie są kolejno coraz dłuższe, lecz coraz węższe. Istnieje przypuszczenie, iż struny te są nastrojone na różne tony muzyczne, i że „fale dźwiękowe grają na tym organie, podobnie jak palce muzyka na klawiszach fortepianu“ (Lubbock). Helmholtz przypuszcza, że włókna Cortiego uszeregowane są w siedm powszechnie używanych oktaw, tak że na każdy półton przypada 33⅓, a na każdą oktawę 400 włókien. Podobnie jak na skrzypcach, zawieszonych nad fortepianem, zaczynają drgać i współdźwięczyć struny, które w danéj chwili nastrojone są na takie same tony, jakie wydają klawisze fortepianu, tak téż i struny czyli włókna organu Cortiego, odpowiadają współbrzmieniem na tony, które wydobywane z instrumentu muzycznego, doprowadzone zostają przez fale powietrza do naszego ucha. Drgające zaś włókna organu Cortiego drażnią włoski komórek słuchowych, obok nich umieszczonych i w ten sposób otrzymujemy wrażenie pewnego określonego tonu muzycznego. Zobaczymy, że ta teorya Helmholtza, dotycząca czynności słuchu u człowieka, znalazła ważne poparcie w pracach Hensena nad słuchem pewnych skorupiaków.

U zwierząt bezkręgowych znajdujemy w zasadzie takie same, lecz tylko znacznie uproszczone, części składowe ucha. Wszędzie dostrzegamy pęcherzyki o ściankach bardzo elastycznych, wypełnione cieczą lub powietrzem, zawierające najczęściéj kamyki słuchowe, a niekiedy pozostające w związku z włóknami, zdolnemi do drgań; prócz tego wszędzie naturalnie istnieją komórki słuchowe, połączone na jednym końcu z włóknem nerwowem, na drugim opatrzone włoskami lub sztyfcikami słuchowemi.

O obecności jakichkowiek bądź narządów słuchowych u pierwotniaków nic absolutnie nie wiemy; prawdopodobnie są one zupełnie niewrażliwe na bodźce dźwiękowe, a co najwyżéj odczuwają, być może, fale dźwiękowe powietrza lub wody, jako proste wstrząśnienia otacza-

jącego ich środowiska. U jamochłonnych, a zwłaszcza u meduz, znane są oddawna organy, uważane za narządy słuchu. Są to osobliwe pęcherzyki o cienkich, błoniastych ściankach, umieszczone na brzegu krążka ciała meduzy; w jamie pęcherzyków znajdują się twarde kamyki, porównywane do otolitów czyli kamyków słuchowych innych zwierząt i uderzające o włoski szczególnych komórek, zwróconych do wnętrza jamy pęcherzyka i połączonych u podstawy z włóknami nerwowemi. Budowa anatomiczna tych tworów przemawia więc bardzo za ich czynnością słuchową, dotąd atoli nie przeprowadzono jeszcze w tym kierunku żadnych obserwacyi fizyologicznych. Daleko lepiéj rozwinięte uszy o budowie podobnego typu, znajdujemy u robaków i mięczaków. U tych ostatnich ucho przedstawia regularny i dosyć duży stosunkowo pęcherzyk błoniasty, położony w blizkości mózgu i wypełniony wewnątrz cieczą, w któréj zawieszony jest dosyć znacznych rozmiarów kamyk słuchowy, postaci kulistéj; pęcherzyk wysłany jest wewnątrz komórkami słuchowemi, zaopatrzonemi w długie włoski i połączonemi z włóknami nerwu słuchowego. Drgania dźwiękowe powietrza lub wody udzielają się bezpośrednio ściankom ciała zwierzęcia, a pośrednio i ściankom pęcherzyka słuchowego, umieszczonego zazwyczaj blizko powierzchni ciała; drgania ścianek pęcherzyka udzielają się cieczy, a kamyk, wprowadzony w drgania, uderza o włoski słuchowe, wywołując wrażenia dźwiękowe. Podobnie jak inne zmysły, tak téż i zmysł słuchu dosięga znacznego stopnia rozwoju w typie stawonogów. Że raki i niektóre owady słyszą, mamy na to dowody eksperymentalne. Fizyolog niemiecki prof. Hensen wykonał szereg nadzwyczaj ciekawych doświadczeń nad raczkiem morskim, zwanym krewetką. Przekonał się, że reaguje on na lekkie nawet szmery, co osobliwie wyraźnie zauważyć było można wtedy, gdy do wody dodano nieco strychniny. Ta ostatnia ma zdolność potęgowania odruchów u wszystkich zwierząt, t. j. ruchów, wykonywanych bezwiednie pod wpływem jakiegobądź bodźca zewnętrznego. Otóż, krewetki pod działaniem strychniny odpowiadały odruchami na najlżejsze bodźce dźwiękowe; wrażliwość ich zmysłu słuchowego była wtedy bardzo spotęgowana. U wyższych skorupiaków, np. u raka rzecznego lub u homara, organ słuchu mieści się u podstawy piérwszéj pary rożków; znajdujemy tu zagłębienie na skórze, opatrzone na dnie delikatnemi szczecinkami, które pozostają w związku z włóknami nerwu słuchowego; płyn wewnętrzny zastępuje tu woda, przenikająca przez otwór zewnętrzny do zagłębienia, a czynność kamyków słuchowych zastępuje piaseczek i inne twarde ciałka obce, przenikające wraz z wodą do jamy ucha. Gdy rak linieje i zrzuca stary naskórek, natenczas odna-

wia się także naskórek, wyścielający jamę zagłębienia usznego, a tém samém wydalony zostaje piaseczek.

Otóż zauważono, że rak, czując widocznie brak twardych części w uchu, sam się stara nabrać nieco świeżego piasku do wnętrza tegoż. Niektóre skorupiaki morskie, a mianowicie znany lasonóg (*Mysis*), posiadają uszy, umieszczone nie na głowie, lecz na tylnym końcu ciała, na wewnętrznéj pletwie ogonowéj. Ucho przedstawia tu pęcherzyk, zawierający wewnątrz dosyć wielki, wapienny (jak zwykle) kamyk słuchowy i wysłany komórkami słuchowemi. Dokoła pęcherzyka słuchowego, brzegiem cienkiéj, błoniastéj pletwy ogonowéj, wewnątrz któréj ucho jest ukryte, umieszczone są długie, sztywne szczeciny różnéj grubości i rozmaitéj długości. Hensen wpadł na myśl, że owe szczeciny mają, być może, takie same znaczenie, jak włókna w organie Cortiego ucha kręgowców, że są one nastrojone na różne tony, t. j. że są zdolne do wykonywania drgań różnéj szybkości. Ażeby się przekonać, czy domysł jego ma jakąś podstawę faktyczną, uczony nasz chwycił za skrzypce i zbliżywszy je do stolika mikroskopowego, na którym umieszczony był organ słuchu lasonoga, począł wygrywać gamę, a jakże wielkiém było zdziwienie jego, gdy patrząc w mikroskop, zauważył, iż w miarę jak wygrywał różne tony, coraz to inne grupy szczecin wprawiane zostawały w drgania nader szybkie, tak że nawet znikały w oczach badacza. Ciekawe to doświadczenie powtórzył Helmholtz i najzupełniéj potwierdził spostrzeżenia swego poprzednika. Co się tyczy słuchu owadów, to u wielu z nich ani anatomicznie, ani fizyologicznie nie został on dotąd wykryty; a nawet doświadczenia, wykonane przez Perrina, Dugésa, Forela i innych, pokazują, że liczne owady pozbawione są zdolności odbierania wrażeń dźwiękowych. Lubbock przypuszcza, iż owady słyszą pewne takie tony, które dla naszego ucha są zbyt wysokie; nie ma na to jednak dowodów. Forel wykonywał doświadczenia na pszczołach, przekonawsię, że są one zupełnie głuche na rozmaite szmery, w bliskości nich zachodzące, jeśli tylko eksperyment wykonany jest bardzo ostrożnie i jeśli przy wydobywaniu dźwiękow nie następuje zbyt silne mechaniczne wstrząśnienie powietrza. Niektóre jednak owady, a zwłaszcza t. zw. prostoskrzydłe, do których należy konik polny, świerszcz, szarańcza i t. p., opatrzone są organem słuchu dosyć zawiłéj budowy. Obecności słuchu u tych owadów możnaby się już z góry domyśléć wobec tego, iż posiadają one zdolność produkowania dźwięków; syk konika polnego, ćwierkanie świerszcza i t. p. dźwięki powstają w specyalnie do tego celu służących organach (konik polny np. pociera rodzaj smyczka, umieszczonego na udach tylnych kończyn o szereg wy-

stających żeberek na skrzydłach, świerszcz pociera jedno skrzydło o drugie i t. p.). Organy słuchu tych owadów zbadał znakomity, a przedwcześnie zmarły niedawno zoolog, V. Graber. U koników polnych, świerszczy i t. p. organ słuchu mieści się w goleni nóg przednich. Znajdujemy tu na powierzchni goleni owalne, cienkościenne tarcze, t. z. błony bębenkowe, a pod niemi wewnątrz goleni obszerne workowate rozszerzenia t. z. dychawek, t. j. rureczek, roznoszących wewnątrz ciała powietrze; na górnéj ściance tych rozszerzeń dychawkowych mieści się właściwy przyrząd słuchowy, złożony z szeregu licznych komórek, z których każda połączona jest z jednéj strony z włóknem nerwu słuchowego, z drugiéj zaś przechodzi w krótsze lub dłuższe włókna, zakończone t. zw. sztyfcikiem słuchowym, ukrytym wewewnątrz szczególnego cienkościennego woreczka. Cienkie ścianki rozszerzeń dychawkowych, wypełnionych powietrzem, łatwo podlegają drganiom, udzielając je umieszczonym w pobliżu sztyfcikom komórek słuchowych [1]).

Wreszcie pozostaje nam rozpatrzéć zmysł wzrokowy w szeregu zwierząt niższych, zmysł, za pomocą którego poznajemy dziedzinę świateł i barw, za pomocą którego odbierać możemy wrażenia bodźców, oddalonych od nas na olbrzymie nawet odległości. Cały wszechświat wypełniony jest, jak fizyka dzisiejsza przyjmuje, substancyą wielce rozrzedzoną, w granicach badań naszych nieważką, zwaną eterem. Drgania cząsteczek eteru, fale jego, rozbiegające się w kierunku promienistym od każdego źródła światła, wpadają do wnętrza naszego oka i tam napotykają osobliwe zakończenia nerwowe, które drażnią, wywołując u nas tym sposobem wrażenia wzrokowe. Oko człowieka i wogóle kręgowców składa się zawsze: 1) z części, łamiących promienie świetlne, któremi są soczewka, oraz osobliwa tkanka galaretowata t. zw. ciało szkliste, wypełniająca wnętrze gałki ocznéj; ten układ łamiących środków optycznych działa, jak obiektyw w ciemni fotograficznéj, t. j. rzuca na wewnętrzną tylną ściankę gałki ocznéj odwrócony i zmniejszony obraz przedmiotów, które widzimy; 2) z błony wraźliwéj na światło t. zw. siatkówki, wyściełającéj wnętrze gałki ocznéj; błonie téj towarzyszy warstwa ciemnych komórek barwnikowych, a najważniejszą część składową siatkówki, mającą wogóle budowę bardzo skomplikowaną, stanowią osobliwe zakończenia włókien nerwu wzrokowego, zwane pręcikami i czopkami, które zajmują zewnętrzną powierzchnię siatkówki, będąc zwrócone ku war-

---

[1]) V. Graber, „Die tympanalen Sinnesapparate der Orthopteren". Archiv für mikroskop. Anatomie. B. XX.

stwie barwnikowych komórek, otaczających z zewnątrz siatkówkę; 3) z części dodatkowych, służących do t. zw. akomodacyi czyli przystosowywania, które umożliwiają wytwarzanie się obrazów widzianych przedmiotów akurat w punkcie, gdzie znajduje się wrażliwa na światło błona, t. j. siatkówka; przyrządy akomodacyjne pozwalają nam widzieć wyraźnie przedmioty bliższe i dalsze i regulują prócz tego natężenie światła, wpadającego do oka.

U zwierząt bezkręgowych znajdujemy te same trzy grupy przyrządów w oku, lecz w rozmaitym stopniu rozwinięte, rozmaicie zróżnicowane, a prócz tego nie zawsze jednocześnie występujące. Są np. oczy, złożone z komórek, które na przednim końcu łamią światło, pośrodku zawierają barwnik, na tylnym zaś końcu łączą z włóknem nerwowém; tu więc pojedyńcze komórki pełnią trzy czynności, które w oku kręgowców wykonywane zostają przez trzy różne grupy komórek. W innych wypadkach różnicują się oddzielne komórki, łamiące światło w postaci soczewek lub ciała szklistego, oraz oddzielne komórki zmysłowe i barwnikowe, ale nie istnieją jeszcze żadne przyrządy akomodacyjne, a już to samo pokazuje nam, że oczy takie nie mogą wyraźnie i dokładnie widzieć. Środki łamiące światło przedstawiają również nie zawsze regularne soczewki, dające wyraźne obrazy; często złożone są one z nieregularnych, łamiących światło ciał, które dawać mogą nadzwyczajnie tylko niedokładne i mocno zmienione obrazy; i wtedy więc widzenie jest niezupełne.

Wobec tak wielkiéj różnorodności w budowie oczów istnieją téż znaczne różnice w jakości i stopniu wrażeń wzrokowych, a w szeregu zwierząt możemy wykazać liczne przejścia od prostéj zdolności odróżniania światła od ciemności do zdolności odróżniania barw i kształtów.

U przedstawicieli typu pierwotniaków nie może być mowy o organach wzrokowych, we właściwém, anatomiczném znaczeniu tego wyrazu. Niemniéj przeto sama protoplazma wrażliwą jest na bodźce świetlne, a prócz tego spotykamy u wielu pierwotniaków plamki barwnikowe, pochłaniające pewne promienie świetlne i warunkujące u istot tych pewną większą wrażliwość na światło. W niektórych, rzadkich bardzo wypadkach, jak np. u pierwotniaka *Gymnodinium polyphemus*, według badań Poucheta, znajdujemy w określoném miejscu, w protoplazmie komórki plamkę barwnikową, a w związku z nią ciałko przezroczyste, spoczywające na barwniku jak soczewka. Fakt ten jest bardzo ciekawy pod względem morfologicznym; pokazuje bowiem, że w ciele komórki, swobodnie żyjącéj, różnicować się mogą pewne części protoplazmy o określonéj czynności, którą u istot wielokomórkowych

spełniają całe grupy komórek w danym organie. U jamochłonnych, a mianowicie u meduz, oczy ułożone są na brzegu krążka ciała, podobnie jak organy słuchu. Oczy ich (np. u *Lizzia* i *Oceania* według badań braci Hertwigów) składają się z gałki, w któréj zagłębiona jest od przodu soczewka, łamiąca światło; sama zaś gałka składa się z komórek barwnikowych, oraz zmysłowych; te ostatnie zakończone są na obwodzie szczątkowym pręcikiem, u podstawy zaś łączą się z włóknem nerwowém. Organami wzroku opatrzone są również szkarłupnie, jak np. gwiazdy morskie lub jeżowce; u niektórych z tych ostatnich oczy występują w wielkiéj ilości i umieszczone są na całéj powierzchni ciała (np. u *Diadema setosum*, jeżowca oceanu Indyjskiego), gdzie przedstawiają się w postaci błękitnych plamek, z których każda złożona jest z licznych drobniutkich jakby oczek oddzielnych, posiadających rogówkę, ciałko łamiące światło, barwnikowe komórki i zakończenie włókna nerwowego (bracia Sarasin). U mięczaków i robaków oczy dosięgają niekiedy bardzo wysokiego stopnia rozwoju; oko robaka *Alciope* przedstawia zadziwiającą komplikacyę budowy; jest ono gałką dosyć znacznéj wielkości, opatrzoną dużą soczewką na przedniéj powierzchni, ciałem szklistém, siatkówką, wyściełającą wewnętrzną powierzchnię gałki i złożoną z warstwy pręcików (jak w oku kręgowców), warstwy barwnika, włókien i t. d. Takiéjże złożonéj organizacyi dosięgają oczy wielu mięczaków, umieszczone na tylnych rożkach, albo pomiędzy czułkami, niekiedy u podstawy tychże, na grzbiecie, lub głębiéj nieco tuż obok mózgu. Niektóre mięczaki (pewne małże) posiadają do pewnego stopnia t. zw. oczy złożone, przedstawiające charakterystyczną i wielce ciekawą osobliwość stawonogów.

Sposób widzenia za pomocą oczów złożonych jest jedném z najtrudniejszych zagadnień fizyologii porównawczéj, a w ogólności kwestya ta przedstawia wielki bardzo interes naukowy i wielokrotnie w ostatnich czasach była omawiana. Zobaczmy atoli przedewszystkiém, jak są zbudowane oczy złożone stawonogów, np. owadów lub raków. Spoglądając z powierzchni na oko złożone, widzimy, że składa się ono z licznych bardzo, wielokątnych drobniutkich, regularnych tafelek, ściśle w każdém oku obok siebie skupionych; tafelki te, t. zw. „fasetki“, są rogówkami pojedyńczych oczek oka złożonego. Liczba tych fasetek bywa bardzo wielka; u muchy pokojowéj np. każde z dwojga oczów złożonych zawiera do 4,000 fasetek, czyli tyleż pojedyńczych oczek; oko gza—7,000, oko motyla trupiéj główki—12,000, oczy niektórych chrząszczyków (*Mordella*) — 25,000. Wynika więc z tego, że np. chrząszczyki ostatnio wspomniane posiadają w sumie (t. j. razem w oku prawém i lewém) aż 50,000 oczek pojedyńczych!

Już ten jeden fakt wielce jest ciekawy, ale ważniejszém jest jeszcze pytanie, jak przedstawia się owadowi świat zewnętrzny, na który spogląda on kilkunastu lub kilkudziesięciu tysiącami oczek naraz!

Powiedzieliśmy, że na powierzchni oka złożonego, widać oddzielne „fasetki"; każda z tych ostatnich przedstawia lokalne, wypukłe zgrubienie naskórka i jest jakby rogówką oczka; pod każdą rogówką mieści się t. zw. stożek krystaliczny, ciało przezroczyste, łamiące światło, stożkowate, powstające z kilku zrastających się z sobą komórek; pod stożkiem znajdujemy w każdém oczku t. zw. retinulę, to jest część nerwową, złożoną również z kilku komórek (najczęściéj z siedmiu), otaczających dokoła szczególny pręcik środkowy i połączonych u góry ze stożkiem krystalicznym u podstawy z włóknem nerwu wzrokowego; wreszcie każde oczko pojedyncze posiada swoje własne komórki barwnikowe, oddzielające je od sąsiednich oczek. Z takich to pojedyńczych oczek (*ommatidia*) składa się oko złożone.

Co się tyczy sposobu widzenia za pomocą oczów złożonych, istnieją w nauce dwie teorye w tym względzie, ale dotąd żadna z nich nie osiągnęła jeszcze stanowczego zwycięstwa, jakkolwiek jedna jest znacznie prawdopodobniejszą od drugiéj, jak to zaraz zobaczymy. Jedni zoologowie, na czele których stoi zdolny badacz amerykański, prof. Patten [1]), przyjmują, że stożki krystaliczne nie są przyrządami dioptrycznemi, t. j. łamiącemi światło, lecz że rolę soczewek spełniają tylko rogówki; Patten uważa stożki krystaliczne pojedyńczych oczek za przyrząd, w którym rozgałęziają się ostateczne zakończenia włókien nerwu wzrokowego (w postaci sieci) i w którym te ostatnie odbierają wrażenia wzrokowe. Twierdzi on, że po za rogówkami pojedyńczych oczek tworzą się zmniejszone i odwrócone obrazki widzianego przedmiotu na rozmaitych głębokościach wewnątrz stożka (zależnie od odległości przedmiotu od oka) i spotykając tam zakończenia nerwowe, zostają odczuwane przez nie; wszystkie te obrazki zléwają się w świadomości zwierzęcia w jedną całość, podobnie jak dwa obrazy, padające jednocześnie na siatkówkę prawego i lewego oka kręgowca, przechodzą do świadomości tegoż, jako jedna całość. Patten więc przypuszcza, że owady widzą bardzo wyraźnie i dokładnie; nie potrzebny byłby przytém żaden specyalny przyrząd akomodacyjny, obrazki bowiem widzianego przedmiotu, tworząc się na jakiéjkolwiek głębokości wewnątrz stożka (zależnie od odległości ich od oka), natrafiają wszę-

---

[1]) Patten, „Eyes of Molluscs and Arthropods", 1886, 1887.—Exner, „Die Frage der Functionsweise der Facettenaugen", „Biol. Centr.", 1881, 1882, oraz nowsza monografia tegoż autora, 1890.

dzie na niezliczoną liczbę zakończeń nerwowych, tworzących sieć wewnątrz całego stożka. Inni uczeni, na czele których stoi prof. Exner, twierdzą, że obrazy wytworzone przez rogówki oczek pojedyńczych, zostają po części zniszczone przez stożki krystaliczne, w których promienie świetlne ulegają ponownemu załamaniu, wskutek czego zwierzę otrzymuje tylko wrażenie niektórych pojedyńczych, świetlnych punktów przedmiotu, na które patrzy i że tym sposobem widzenie jest tu bardzo niedokładne i niewyraźne. Pod tym względem zapatrywania Exnera zbliżone są do teoryi mozaikowego widzenia, wygłoszonéj już przed wielu laty przez Johannesa Müllera. Znakomity ten biolog twierdził, że ponieważ każde oczko złożonego oka otoczone jest i odgraniczone od innych przez pochwę barwnikową, przez każdy stożek przechodzą tylko promienie środkowe, po za każdym więc stożkiem tworzy się tylko jeden punkt świetlny, pochodzący od tego punktu otoczenia, z którego wychodzący promień wpada w sam środek danego oczka. Tym sposobem na siatkówkach oka odźwierciadla się tylko pewna ilość pojedyńczych punktów widzianego przedmiotu, nie zaś dokładny obraz tegoż, który, jak w oku kręgowców, byłby ścisłém powtórzeniem wszystkich punktów przedmiotu. Müller nazywa taki rodzaj widzenia—mozaikowém.

Tym sposobem, gdy według jednych, jak Claparède'a, Thompsona i Pattena, owady posiadają doskonały wzrok i odróżniają dobrze postać przedmiotów,—według innych natomiast, jak Grenachera, Forela, Exnera i t. d., oczy złożone pozwalają owadom tylko bardzo niewyraźnie i niejasno poznawać przedmioty otaczające. Tylko na drodze doświadczalnéj rozstrzygnąć można, która z tych dwóch krańcowych teoryi jest bliższą prawdy, dotychczasowe zaś badania przemawiają bardzo przekonywająco za słusznością ostatniéj, t. j. sprzeciwiają się zapatrywaniu Pattena.

Forel i Plateau studyowali szczegółowo zdolność widzenia u owadów; obserwacye w przyrodzie oraz doświadczenia przekonały badaczy tych, że owady nie umieją dokładnie odróżniać postaci przedmiotów, a widzą natomiast bardzo dobrze tylko ruch ich, t. j. zmianę położenia. Forel np. obserwował wielokrotnie, jak osy, uganiające się za muchami, które przysiadywały na ścianie domu, rzucały się często bardzo na czarne główki gwoździ, w ścianie sterczących, biorąc je za muchy i dopiéro przez dotyk poznawały pomyłkę swoją. Zdolności słabéj poznawania kształtów dowiódł także Plateau przez szereg doświadczeń z t. zw. „labiryntem“, t. j. sztuczném pomieszczeniem, w którém ustawione były różne przeszkody, jakie owady w biegu swym musiały omijać. Słabe rozpoznawanie kształtów z jednéj strony,

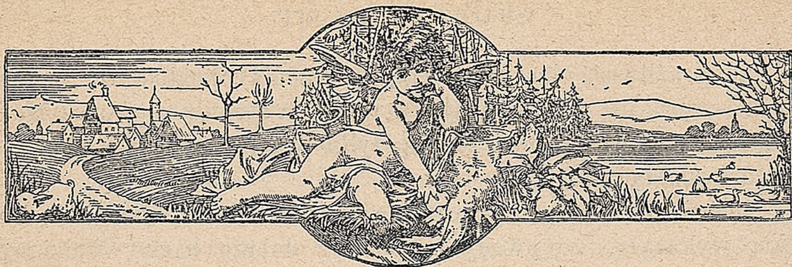
a wielka wrażliwość oka na zmiany położenia przedmiotów w przestrzeni—z drugiéj, przemawiają w wysokim stopniu za teoryą Müllera i Exnera, iż owady dostrzegają tylko pewne punkty przedmiotów, na które spoglądają.

Doświadczenia, przeprowadzone przez Pawła Berta i J. Lubbocka, wykazały, że owady odróżniają dobrze barwy widzianych przedmiotów. Lubbock pozwolił pszczole usadowić się na miodzie, umieszczonym na kawałku niebieskiego papieru, a następnie umieścił tafelkę szkła z miodem na papierze pomarańczowym (takiegoż kształtu i wielkości) w odległości trzech stóp. Pszczoła jadła miód, odlatywała następnie, a po pewnym czasie powracała, siadając zawsze na papiér niebieski. Po kilkakrotnych takich wędrówkach pszczoły, Lubbock zmienił na przemian położenie papiérków; pszczoła powróciwszy, udała się na dawne miejsce, ale spostrzegłszy papiér innéj barwy, wnet odleciała i wyszukała znów niebieski. „Każdy, kto byłby widział pszczołę—mówi Lubbock — przy téj okoliczności, nie wątpiłby ani na chwilę, iż uświadamiała ona sobie dobrze różnicę między temi dwiema barwami.“

Wreszcie zasługuje jeszcze na uwagę, że doświadczenia nad mrówkami doprowadziły Lubbocka do wniosku, iż owady te są wrażliwe nietylko na te wszystkie promienie widma słonecznego, na jakie jest wrażliwe nasze oko, ale także na promienie ultrafioletowe, których oko nasze wcale nie dostrzega, ale o obecności których sądzić możemy z wpływu chemicznego, wywieranego przez nie na pewne związki (np. sól tallium staje się pod wpływem tych promieni zieloną). Lubbock zauważył mianowicie, że mrówki zachowują się inaczéj pod wpływem promieni ultrafioletowych, inaczéj zaś pod wpływem ultraczerwonych, których to ostatnich nie dostrzegają one również, jak i my, i które wydają się im ciemnemi, kiedy względem ultrafioletowych zachowują się inaczéj, niż wobec ciemnych. „Prawdopodobném jest—wnioskuje Lubbock — iż promienie ultrafioletowe wywołują u mrówek wrażenie osobliwéj jakiéjś barwy (któréj my wyobrazić sobie nie możemy), barwy tak różnéj od innych, jak czerwona od żółtéj, lub fioletowa od zielonéj.“ Kwestya ta oczekuje jednak jeszcze gruntowniejszego opracowania naukowego.

Dr. Józef Nusbaum.





PIERWSZA MIŁOŚĆ
ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

(1833 — 1838).

(Dokończenie). *)

V.

W takim stanie uczuć, pod koniec lipca, udał się Zygmunt wraz z Danielewiczem i Sauvanem do Graeffenberga [1]) na hydropatyczną kuracyę w „szpitalu“ słynnego podówczas „mistrza zimnej wody“ Priessnitz'a, który go, w celu radykalnego wyleczenia, zatrzymał u siebie aż do ostatnich dni października.

Hydropatya, nie dająca mu „ani jednej chwili pokoju ni czasu,“ a będąca nieprzerwanem pasmem „gwałtownych wstrząśnień całego organizmu,“ strasznie go wyczerpywała z początku: czuł się wciąż wątłym, „zgłupiałym“ i znużonym, tak jak gdyby „noc całą po sardanapalsku strawił i potrzebował zasnąć;“ w nogach zaś takie osłabienie, jak gdyby szereg dni bezprzestannie chodził po kilka mil; w mózgu „niedołężność i ciężkość,“ do tego stopnia, że nawet myśli, jak należy, zebrać nie potrafił. Słowem, był „do niczego“ i jeżeli nie zwątpił

---

*) Patrz „Ateneum“ za m. wrzesień r. b., str. 204.

[1]) Jadąc do Graeffenberga, zatrzymał się Krasiński tydzień przeszło w Pradze czeskiej (zob. listy ztamtąd do Sołtana i Gaszyńskiego). W Pradze też rozłączyli się na czas jakiś z Konstantym, który później dopiero przyjechał do Graeffenberga, zamieszkawszy jednakże nie razem z Zygmuntem, jak Sauvan, w zakładzie d-ra Priessnitz'a, lecz we Freiwaldau, poblizkiem miasteczku.

o wszystkiém, to jedynie dzięki perswazyom samego Priessnitz'a i innych kuracyuszów — Salvanusa nie wyłączając — twierdzących jednogłośnie, że „tak być powinno," że trzeba przejść przez długą chorobę i gorączkę, by wrócić do zdrowia [1]).

Pod wpływem owych „gwałtownych wstrząśnień całego organizmu" i tego znużenia fizycznego, na które się tylokrotnie w listach do przyjaciół uskarża, znużenia, które, jak stwierdza psychologia doświadczalna [2]), stokroć niebezpieczniejszym jest „uczuć mordercą," aniżeli przestrzeń i czas, zaczął Krasiński, nie zauważywszy nawet, jakiéj podlega metamorfozie, ostygać gwałtownie: miłość jego, tak do niedawna rozpaczająca, taka — możnaby mniemać — niepocieszona i tęskna, zaczęła się ulatniać nieznacznie, „znikać z duszy," a wszystko to bez wiedzy poety, który z procesu psychologicznego, jaki się we wnętrzu jego odbywał, bynajmniéj sprawy sobie nie zdawał. Choć można by go o to posądzić, wnioskując z listu do Adama hr. Sołtana z d. 25 Sierpnia 1836 r. [3]), listu, w którym stanowczą przyznaje wyższość przyjaźni nad miłością. Bo „przyjaźń jedna nie więdnieje. Jest to zapewne do miłości, jak sosna lub cyprys do róży, ale też wiecznie zielone." Słowa te, wypowiedziane z głębi przekonania, świadczą najwymowniéj, że róża jego pierwszéj miłości zaczynała powoli — tu w Graeffenbergu – przekwitać, że najpiękniejsze jéj liście — iluzye — więdły i opadały jedne po drugich.

Jednocześnie nasuwały mu się myśli w rodzaju téj: „A w duszy kobiéty saméj co się dziać musi, kiedy czuje, że ten, co dawniéj ją bóstwem przezywał, dziś stroni od niéj... [4]). Kreśląc słowa powyższe, nie mógł nie pomyśléć o pani Bobrowéj, tak samo, jak nie mógł w téjże chwili nie zadać sobie pytania: coby uczynił, widząc, że miłość w nim „więdnieje" powoli, że nie jest już ani tak gorącą, ani tak namiętną jak dawniéj. Co by uczynił? Odpowiedź łatwa do przewidzenia. Nie zapomniał by ani na sekundę o długu moralnym, jaki względem kochanki zaciągnął, i dla tego, chociażby mu nawet przyszło zobojętnieć kiedy, starałby się wystudzone uczucie „czyli raczéj głębię serca zastąpić serca po-

---

[1]) Zob. Listy t. I, 20 okt., 1836 oraz t. II, 15 aug. 1836.

[2]) Zob. Höffding, „Psychologia Doświadczalna" t. I. str. 102—103; 148—149, oraz t. III, str. 7—8 w rozdziale p. t. „Fizyologia i biologia uczucia: Uczucie i warunki życiowe." Ob. również *Notre coeur* Maupassanta i *Le Disciple* Bourgeta, powieści, których bohaterowie, świadomi praw, rządzących duszą ludzką, w znużeniu wywołaném forsownemi spacerami, aż do wyczerpania sił, znajdują skuteczne lekarstwo na miłość.

[3]) Listy t. II, str. 43.

[4]) Graeffenberg 25 Augusta, 1836 (do Sołtana).

wierzchnią.“ Na powierzchni bowiem „szumi egoizm jak piana,“ w głębi zaś „żyje szlachetność i poświęcenie, jak perły i koralowe skały na dnie morskiém.“ Ile razy by uczuł, że „fale zewnętrzne ucichły,“ zstąpiłby głębiéj i, zanurzywszy się w wnętrzu swojém, przysłuchiwałby się głosom, co tam wołają; ponieważ „są to anielskie!“ One by go zawsze na dobrą wyprowadziły drogę i nie pozwoliły, „by *impressionabilitas* górę wzięła nad tém, co winno być niewzruszone, nieodmienne, jak fatum“ [1]).

Tymczasem, ponieważ jeszcze do niczego podobnego nie przyszło, ani, jak mniemał, zanosiło się na cośkolwiek, coby ukochanéj jego grozić mogło, nie uważał za niestosowne zwolnić trochę cugli owéj *impressionabilitas*, i nie widząc w tém nic zdrożnego, zaczął — jedynie *pour passer le temps* — pomagać Sauvanowi w „koperczakach z ładną hrabianką Reichenbach, prusaczką, bardzo do rzeczy, ale dobroduszną, jak wszystkie Niemki,“ którą tenże, nudząc się bardziéj jeszcze, aniżeli jego przyjaciel, i nie mając na razie nic lepszego do czynienia, „na wszystkie sposoby uwodził: to botaniką, to metafizyką, to zoologią, to polityką, to statystyką, to ekonomią polityczną. Taka rozmaitość broni zdaje się wróżyć zwycięztwo.“ Krasiński postanowił użyć jednego jeszcze środka: poezyi. W tym celu korzystając ze sposobności, że mu Gaszyński nadesłał tomik swoich wierszy francuskich, „czułych i pięknych“ zaczął je czytać „ślicznéj“ Adelaidzie Reichenbach i jéj ciotce, lektura zaś jego taki odniosła skutek, że się Niemki aż „rozpłakały.“ Nadto prosiły go, aby im utwory swego tak wielce utalentowanego przyjaciela odpisał na pamiątkę, co też on, jak przystało na usłużnego *caballero*, uskutecznił. Potrzebował na to wprawdzie całych sześciu tygodni czasu, „codzień jeden lub dwa tylko dodając,“ lecz jest to już szczegół podrzędny. Ważniejszą bez porównania była okoliczność, że mąż „pięknéj Adelaidy, stary Hof-Marschal“ pomorski [2]) „przyjechał tu w nadziei odmłodzenia“ siebie, i że choć „stary niedołęga,“ nie znał, co zazdrość, tak, iż nie miał naprzykład nic przeciwko temu, jeżeli żona jego, z ciotką, we dwie spędzały z Krasińskim i Sauvanem często popołudnia i wieczory całe „w poblizkiém miasteczku“ u Danielewicza, który im grał na fortepianie.

Odwiedziny te stanowiły jedyną na téj „planecie ołowianych nudów“ przyjemność. Przez cały też czas „dopóki trzysta osób jadało w sali graeffenberskiéj, dopóki świeciły gwiazdy lata, chadzali po téj drodze z piękną Adelaidą Reichenbach i jéj ciotką...“ Zdarzało się to

[1]) Zob. Listy do Gaszyńskiego, str. 99—100.

[2]) Zob. List do Sołtana, Graeffenberg 15 Augusta, 1836.

czasami i „późną nocą.“ Nieraz nawet powracał Krasiński sam tylko „z temi paniami.“ Wśród okolicy „cichéj, jak uśpione dziecię,“ nad którém, „jak mamka,“ czuwał księżyc, „cicho było i pięknie.“

Gdybyż o tém wiedziała pani Bobrowa!

Wróciwszy na początku listopada do Wiednia, gdzie ulegając życzeniu ojca, miał przezimować, choć dusza tęskniła za lazurowém niebem Włoch, „chory na ciele i na duszy,“ a przedewszystkiém na oczy, rozstrojony bardziéj jeszcze, aniżeli przed kuracyą w Graeffenbergu, znalazłszy się w tutejszym świecie polskim, kipiącym „plotkami, przekąsami, potwarzami, zazdrościami, głupstwami,“ i innemi, podobnemi do tych, przymiotami, „obserwował“ go i uczył się, jak powiada, „w szkole podłości i próżności, nie być nigdy podłym, a próżnym, jak można najrzadziéj.“ Obdarzony zmysłem spostrzegawczym, żadnéj nie prześlepiającym „śmieszności“ ludzkiéj, czy towarzyskiéj, wiedział doskonale, że wszyscy, jeśli są grzeczni dla niego, nadskakujący, to „nie dla Zygmunta, nie, broń Boże! tylko dla téj figury, co posiada coś i doszła do lat sposobnych do zawiérania intercyzy.“ Gdyby był chudym pachołkiem, kazaliby go wyrzucić przez okno [1]). Swoją drogą, nie przeszkadzało im to, zwłaszcza „wystrojonym matkom,“ mającym „piękne panny“ na wydaniu, „nękać go dwuznacznemi wyrazy,“ przeszłości jego dotyczącemi [2]). Musiał wtedy — powiada — „być bezczelnym, by nie zblędnąć, jak trup;“ serce mu się krajało, a odpowiadał zimno, obojętnie, udając, że nie rozumié.

„To strach, jak wszystko wiedzą na świecie!“ Przytaczano mu słowa, czyny jego własne; a jednak trzeba było przeczyć, i to z dyplomatycznym, konwencyonalnym na ustach uśmiechem. „Ale to śmiéch konających,“ to śmiéch człowieka, nieszczęśliwego przez to, że coraz bardziéj stawało mu się widocznéin i dotkliwém „jak dalece i nieodwołalnie imię téj, którą kochał, puścił na łup językom ludzkim.“ „Biada mi! hańba mi!“

Chwili jednéj nie było, czytamy w liście do Jaroszyńskiego, żebym nie marzył o szczęściu jéj, o chwale jéj, o dobru jéj, o piękności jéj, a skutek jaki? Rozważ sam, powiédz, czy to nie szyderstwo, nie zabójstwo, nie piekło? Co ja im zrobię tym wszystkim teraz! Mogęż usta paplaczy zamknąć na wieki? Co począć z dziewczynami i staremi babami? On by je „w proch rozetrzéć“ pragnął, a musi bawić dowcipem! Mężczyźni zaś? „Mężczyzna żaden się nie przesunie, żaden nie zacznie gadać, kiedym ja przytomny! Rozkosz zemsty nawet

---

1) Zob. Listy do Sołtana. Wiedeń 23 lutego 1837, str. 78.

2) Zob. Listy do Jaroszyńskiego, str. 21.

niedostępna dla mnie!“ Dopiéro, gdy wyszedł, a więc kiedy nikomu już nie mógł nakazać milczenia, zaczynali „gwarzyć i szarpać.“

Dlatego też ograniczył wizyty swoje do *minimum* i „stroniąc“ od tego towarzystwa, nacechowanego „drobnemi podłościami“, bywał jedynie w „smutnym“ domu ks. Konstantego Czartoryskiego i u księżnéj Lubomirskiéj, z którą radził, jak umożliwić przyjazd Maryi Sołtanównéj do ojca [1]), albo rozmawiał o Rzymie, o Włoszech, téj swojéj ziemi obiecanéj, na samą myśl o któréj ogarniała go nostalgia, melancholia, szczególniéj, gdy nadszedł karnawał, bale, maskarady, reduty.

Nie był na żadnéj. Wolał marzyć o karnawale rzymskim z roku 1835, a pisząc do Sołtana, pytał stęskniony: co porabia krzyż na Kolizeum? Co białe nagrobki pod piramidą Cestiusza? „Czy droga moja Cecylia Metella wdzięczy się księżycowi Kampanii, jak dawniéj? Czy też ona pamięta o mnie?“ I wyobrażał sobie, że spaceruje po *due Marcelli*, że pali fajkę, rozciągniony w ulubioném swém „senatorskiém krześle“ kamienném. W nocy zaś, powiada, „często bywam na Forum i czytając napis S. P. Q. R. myślę, że tak wszystko się kończy na ziemi.“ I prosi przyjaciela [2]), szczęśliwego, że może oddychać „wiosną boską, co wschodzi na gruzach“, ażeby poszedł do willi róż, gdzie on tyle chwil przeżył szczęśliwych, a jeśli go miesiąc zastanie w ogrodach Cezarów, to niech pomyśli, że między ruinami „przesuwa się postać, na tych samych zadumana miejscach, postać bez pokoju i radości, postać, która wszystkiego żąda, a nic nie może, a która obecnie, zmuszona patrzéć na szare niebo, na ziemię, zaszarzaną śniegiem i błotem“, nie widzi dokoła, „tylko podrygi schorowanych, grypy, kaszle i flegmy kałuże.“ To też, niech tylko Danielewicz coś zagra z czasów [3]), kiedy byli w Neapolu, z czasów, które mu się dzisiaj „wiosennemi“ wydają, stanowią bowiem „najszczęśliwsze dni“ w jego życiu, uczuwał natychmiast taką żądzę, taką poprostu „lubieżność skończenia bytu“, że trudno mu było nie „westchnąć z żalu“, skoro przebrzmiały akordy... W duszy swojéj bowiem nie widział nic, nic absolutnie, na czémby mógł, znużony tém wszystkiém, wypocząć. Nic! „Żadnéj gałązki zielonéj po potopie, żadnéj *oazis* na puszczy, żadnéj

---

[1]) Sołtan, który w tym czasie utracił ojca i jedną z córek, przebywał w Rzymie. Córka jego, Marya, o któréj sprowadzenie chodziło, przebywała w klasztorze zakonu Wizytek w Kamieńcu Podolskim, pod opieką vice-przeoryszy, panny Szadurskiéj.

[2]) Sołtana, w liście z d. 24 kwietnia 1837 roku.

[3]) List (do Sołtana) bez daty, odebrany w Rzymie 27 kwietnia 1837 r.

nadziei na przyszłość! Pić opium i marzyć, to szczęście największe.“

Żeby choć mógł pisać! Ale i na to, niestety! widział, że braknie mu sił. „Duch bezwładności“ opętał mu głowę: w mózgu czuł „mgłę“, z któréj nie wyłaniało się nic... Co najwyżéj obawa ślepoty!

Raz tylko w nocy, nie mogąc spać, co mu się temi czasy przytrafiało nader często, siadł do stolika i, patrząc na świeżo przysłaną sobie z Wołynia miniaturę pani Joanny, „śliczną i żywą“, przez Torre'go [1]), „Włocha z Wenecyi“, malowaną, wpadł w zamyślenie, z którego po chwili wyrwało go „pytanie grzmiące w głębi duszy: Jaka przyszłość twoja?“

Pod tém wrażeniem napisał wiersz [2]) od następującéj zaczynający się strofy:

Mogłem być z tobą na ziemi szczęśliwy,
Mogłem uwierzyć że tu czasem wiosna,
Spływając z niebios na śmiertelne niwy,
Bywa, jak w niebie, świeża i radosna.

Tymczasem, powiada, chociaż nie z jego, ani z jéj winy, odmienny wszystko wzięło obrót i przyszło do tego, że on, którego tak niedawno jeszcze „obwiewał anioła stróża śpiew“, on, którego duszy stał niegdyś otworem świat duchów, znalazł się nagle sam „wśród nieskończonego okręgu cieniów“, w próżniach ducha, dokąd już śpiew owego Anioła stróża, ginąc gdzieś „na kończynach świata“, zdawał się nie dochodzić.

Ach! głos twój gdyby ponad mojém czołem
Ozwał się, lecąc od dalekiéj strony,
Choć raz się ozwał wiatrami niesiony,
Ten głos twój byłby mi takim aniołem.

Przed nocą wieczną [3]) niech głos twój usłyszę,
Jak pieśń nadziei w godzinie konania,
A może wtedy ponad grobu ciszę,
Wejdzie mi blady księżyc zmartwychwstania.

A jeśli płacząc, na zgasłych źrenicach
Złożysz, jak kwiaty, twoje ciche ręce,
Grób spłonie ogniem i w stu błyskawicach
Słońc nieśmiertelnych obleją mnie wieńce.

---

[1]) Zob. „Listy do Sołtana“, str. 68. Włoch ten, nazwiskiem Torre, bawił rok cały na Wołyniu, w Zahajcach i malował portret pani Bobrowéj. Ukończywszy go, w powrocie do Wenecyi, zatrzymał się czas jakiś w Wiedniu. Odszukawszy tam Krasińskiego, oddał mu wraz z listem od kochanki jéj miniaturę, będącą wierną kopią pomienionego portretu. (Patrz niżéj str. 65).

[2]) W listach do Gaszyńskiego na str. 92.

[3]) Obawa ślepoty.

Wiersz ten, napisany 20 listopada 1836 r., a więc niebawem po powrocie z Graeffenberga, był, można powiedzieć, jak gdyby ostatnim błyskiem dogasającego kaganka, zmiana zaś datująca odtąd w uczuciach poety dla pani Joanny na tém polegała głównie, że miłość—jak dogasający kaganek—zgasła ostatecznie, ustępując miejsca—z obawy przed zarzutem lekkomyślności—skrupułom, wynikającym z „idei obowiązku“, szlachetności osobistéj i „poświęcenia“ [1]).

Wiem — pisał poeta 9 stycznia 1837 r. do Gaszyńskiego — iż trudno kochać, kiedy miłość znikła z duszy; ale — dodaje—jeśli ta, którą kochałeś, ma prawo do twéj wdzięczności, winieneś z nią postępować tak, jak gdybyś ją kochał.

Takie przynajmniéj było jego zapatrywanie w téj mierze, zapatrywanie, które obecnie, z bohaterskiém zaparciem się siebie, postanowił z teoryi przenieść do praktyki, ponieważ to tylko „różni ludzi od zwierząt, że mogą uczucie, popęd, namiętność zgasłą“ sztucznie „przeciągnąć w zewnętrznych czynach“, jeżeli tak nakazuje honor, uczciwość, sumienie. W chwili, gdy zaciągamy dług — rozumował — powinniśmy wiedzieć, że ostatecznie „wszystko się odmienia, rozprasza, znika: piastry, myśli, uroki.“ Nawet wspomnienie chwil czarodziejskich, musnąwszy duszę, „jaskółczo przemija“ w końcu.

To też od czasu, jak bawił w Wiedniu, jednéj tylko prawdziwéj doznawał pociechy, a mianowicie: ile razy bywał na *Burg-Theater*, kiedy grano tragedye i kiedy występowała pani Rettich, któréj artyzm w Schillerowskiéj „Dziewicy Orleańskiéj“ np. podnosiła jeszcze niezwykła uroda [2]). A że „przeznaczenie ubłogosławiło duszę człowieka niewyczerpaném pragnieniem piękności i siły“, i on więc także, patrząc, jak walczy Joanna d'Arc—imienniczka jego kochanki — doznawał złudzenia, że jest „w niebie“. Czuł przytém, że iskra udzielona przez bogów, dotąd mu się pali w piersiach... „Nie moja wina—dodaje—jeśli płomienia z niéj nigdy nie będzie.“

Po teatrze, kończącym się przed dziesiątą, wstępował najczęściéj do księżnéj Lubomirskiéj, dawnéj swéj, jeszcze z czasów rzymskich, jak wiemy, przyjaciółki i powiernicy. „Ona mnie częstuje bi-

---

[1]) Zob. List do Gaszyńskiego z Wiednia 9 stycznia 1837 r.

[2]) „Kiedy patrzę na nią, czuję strumień życia w poprzek piersi wybuchający“ (do Sołtana 17 stycznia 1837 r.). W liście z Rzymu 9 Decembra 1838 roku załącza następującą prośbę do przebywajacego wówczas w Wiedniu Sołtana: „Rettichowéj trzy za mnie poklaski, trzy silne, trzy głośne daj.“ Przedtém zaś, z Wenecyi, d. 28 Novembra 1838 r. prosi: „Powiédz też cokolwiek o Burgu. Co Rettich porabia?“

szkoptami z wodą, ja jéj sztuki, które widziałem, opowiadam. Zgromadzenie zawsze liczne nas otacza: cztéry ściany, piec piąty, dwie szafy, dwa stoliki, pół tuzina krzeseł, a w przedpokoju dwór zgromadzony czeka aż wyjdę, by szlafmycę włożyć na głowę i do szlabana wleść." Obfitszego stokroć, aniżeli teatr, dostarczało im tematu do rozmowy życie i cechująca je tragikomiczna gmatwanina: wyjazd Danielewicza [1]) do Białocerkwi, spowodowany śmiertelną chorobą ojca i przybycie jego już po pogrzebie; trudności w wydostaniu z klasztoru Maryi Sołtanówny; niepokój o zdrowie hr. Wincentego Krasińskiego; niemożność uczynienia zadosyć nieustannym jego naleganiom i prośbom, wynikającym z chęci ożenienia jedynaka, czemu jeżeli nie stawał już opór Zygmunta na przeszkodzie, to były inne względy, stokroć draźliwszéj natury, które mu nie pozwalały stanowczo zastosować się do woli rodzica.

Pani Bobrowa! Gdyby nie obowiązek, jaki miał dla niéj, i przeświadczenie, że musi jéj wierności dotrzymać, że liczyć się z nią trzeba koniecznie, gdyby nie to, kto wié, możeby nawet przystał na związek, jaki mu proponował ojciec; bo „panna [2]) piękna, jak anioł, ślicznie ułożona." Wszystko w niéj zapowiadało dobrą żonę [3]), „i tok umysłu, i przyroda, i wychowanie." A przytém „talent do muzyki, jaki się tylko natchnionym trafia artystom."

---

[1]) Około 9 lub 10 stycznia 1837 r.

[2]) Wszystko skłania do przypuszczenia, że panną, o któréj myśli Krasiński, była księżniczka Czartoryska, córka Konstantego. Bo *primo:* była to tak pod względem majątkowym, jak i rodowym, w całém tego słowa znaczeniu świetna partya, o jakiéj zawsze, jak wiemy, marzył dla Zygmunta jego ojciec. *Secundo:* dom księcia Konstantego Czartoryskiego był jednym z tych, w którym poeta, za tegorocznego swego pobytu w Wiedniu, bywał najczęściéj i najchętniéj. „Jeden tylko Konstanty Czartoryski—czytamy w liście do Sołtana, d. 7 stycznia 1837 r.—dobry jest i szlachetny, a dom jego smutny, pusty, podobny w swoim składzie moralnym do tych pałaców włoskich, kędy przy obrazach Rafaela i gzymsach złoconych powój gruzów się rozplata. Przyjdziesz w wieczór, zastaniesz ojca, żonę i córkę we troje siedzących w ogromnym, przepysznym salonie. Ojciec zda się zasypiać, matka dumać o smutnych dzieciach, córka o smutniejszych jeszcze, bo o swojéj przekwitłéj młodości i na jéj pięknem czole już widać zmarszczki: namiętności czy smutku ślady, nikt nie odgadnie." Wzgląd ten, że mowa tu o „przekwitłéj młodości", niczego nie dowodzi. Pierwsze wrażenie nigdy nie grało w historyi uczuć Zygmunta dominującéj roli. I pani Delfina Potocka przecież zrobiła na nim zrazu ujemne raczéj, niż dodatnie wrażenie. Ów zaś smutek zagadkowy na twarzy panny Czartoryskiéj mógł w poecie wzbudzić z początku zainteresowanie się i sympatyę, a potém... Patrz w téj mierze listy do Sołtana, str. 140.

[3]) St. Tarnowski, *op. cit.*, str. 95.

Obcując z nią, czuł, że byłby w stanie „ukochać szczerze tę młodą duszę i na wieki“ [1]), gdyby się z nią „życiem swojém zjednoczył“ i że byłby „i błogosławiony, i szczęśliwy, i spokojny tym ducha wielkim pokojem, który już na ziemi jest początkiem wieczności. Szczęście albowiem niebios tém zapewne tylko różni się od tutejszego, że pojęte w pokoju, a zatém w nieskończonéj trwałości; lecz ta różnica jest różną od mijających uniesień, różną na całą długość i szerz, dzielącą ziemię od nieba.“ Czuł, że w pożyciu z tą „idealną“ istotą znalazłby kojące lekarstwo dla „duszy swojéj, zanadto drażliwéj i zanadto przed czasem znękanéj...“ Grałaby mu na fortepianie, jak teraz Danielewicz, i żyliby szczęśliwie, jak dwoje aniołów. Zważywszy to wszystko, widział, że „ogromne głupstwo“ robi [2]), odtrącając dobrowolnie tę rękę i nie chcąc przyjąć spoczywającego w niéj zadatku szczęścia... Niestety, choćby chciał nawet, nie mógł żadną tego miarą uczynić, ponieważ „całą jego przeszłość zagarnęła“ inna kobiéta... Ach! nietylko przeszłość, ale i teraźniejszość, pomimo że w niéj dla siebie nie widział „żadnéj przyszłości“ [3]). Pod tym względem najmniejszéj nie robili sobie iluzyi, zarówno on, jak i Joanna. A nawet, kto wié, czy ona lepiéj sobie, aniżeli on, nie zdawała sprawy ze wszystkiego. Najlepszy dowód, że kiedy w nim—wtedy w Wenecyi—namiętność i rozkiełznane żądze wrzały jak huragan, na nic się już nie oglądając, „ona przewidywała wszystko, co się stało, ona nigdy nie zapominała o przyszłości“ [4]). U niéj „rozsądek“ czuwał nieustannie, nie zasypiał ani na chwilę, pomimo że nigdy nie wyglądała na równą mu, ale zawsze na jego „ofiarę, poświęcającą się“ i to „z głęboką wiedzą, że się poświęca“. Dlatego „lekkomyślnością“ byłoby nie liczyć się z nią! Wszak wiedział doskonale, że on—nie kto inny—był teraz dla niéj „wszystkiém“, choć oddalony, choć w niczém codziennem, praktyczném, nie dotykający jéj okręgów. Wszystkiém, ponieważ ją przed ludźmi i przed własném jéj sumieniem pozbawił pokoju, ponieważ wygnał ją moralnie z progów domowych, ponieważ ona mu wszystko poświęciła, i dziś jest nieszczęśliwą, bez dawnéj wśród znajomych estymy, „bez dawnego przywiązania do życia, któremu była przywykła“, bez dawnéj równowagi serca i rozumu... Dzisiaj jedyną jéj ulgą, pociechą, jest myśl, że on jéj nie uwiódł, ale że ją ko-

---

[1]) Do Jaroszyńskiego, str. 33.

[2]) „Nie tylem głupi, żebym nie wiedział, żem głupi.“ (U St. Tarnowskiego, str. 95).

[3]) Wiedeń, 6 maja 1837 r. (list w tomie drugim „Listów“ (do Sołtana) nie zamieszczony). „Wiész, ile kochałem tamtą...“

[4]) Listy do Jaroszyńskiego, str. 17.

chał; że „poświęciła się dla kogoś, któremu warto było tę ofiarę uczynić.“ Gdyby się z drugą ożenił, zbyt dotkliwy zadałby jéj tém cios w samo serce. „Nie pojęłaby nigdy, że można pojąć inną kobiétę, a zostać jéj przyjacielem, bratem, i kochać ją sercem, wdzięcznością.“ Gdyby się ożenił, „wydałoby się jéj, że straciła dobrą sławę i może duszy swéj zbawienie dla igraszki przewrotnego człowieka“. On zaś przedewszystkiém za takiego uchodzić nie chciał. Dlatego oparł się woli ojcowskiéj i choć wątpił, czy zdarzy mu się drugi raz w życiu sposobność poślubienia istoty tak idealnéj, jak ta, postanowił nie łudzić dłużéj ani jéj, ani siebie...

W tym celu, ażeby ujść pokusie, z dniem każdym silniejszéj, wyjechał do Kissingen; innego bowiem nie widział wyjścia z tego labiryntu „najdolegliwszych wrażeń okropnéj skończoności“, wrażeń, na których tle instytucya małżeństwa, nie wydawała mu się już, jak dawniéj, kiedy pisał „Nieboską komedyę“, *la plus serieuse de toutes les bouffonnieres* [1]). O kobiétach za to, zamężnych zwłaszcza, trzymał nierównie mniéj, aniżeli przed rokiem, „żadnéj nadziei ni rachuby“ na nich nie pokładając, tak dalece, że „raz jeden nawet odzywa się w jego słowach—w jednym z listów do Sołtana—jakiś rodzaj żalu, czy gniewu, do oddalonéj kochanki“ [2]). Wiedział, że mu cięży̨ła, że mu zagradzała drogę do szczęścia, że, spotkawszy się z nim, dręczyć go będzie znowu „ciągłemi przeskokami od namiętnych wybuchów do mroźnéj obojętności“, choć z drugiéj strony nie miał pojęcia, kiedy ją spotka i czy się wogóle spotka z nią jeszcze.

Prawdę powiedziawszy, możeby wolał spotkania takiego uniknąć, ile że „ta kobiéta jest niższą od jego wyobrażenia o niéj, niższą nawet od niego samego“... Ach! bo „żaden ideał nie sprawdza się na ziemi! Dopóki w błękitach, on skrzydlaty, gdy zstąpi na dół, nosi konieczności kajdany“...

W kajdanach tych widział się niewolnikiem, skrępowanym, bezwolnym, niewolnikiem, który nie był — jak w Sonecie Mickiewicza — „z swojéj rad niewoli“, ale przeciwnie: buntował się, szamotał nieustannie, pragnąc zerwać te wrzynające mu się w duszę pęta moralne, które sprawiały, że nie mógł spać, ani jeść. Kiedy czytał, nie rozu-

---

[1]) Już w styczniu 1837 r. pisał do Sołtana (str. 68). *A propos* żądz i miłości, Sołtyk już żonaty, a zatém nie dureń, bo trzydziestu lat nie ma.“ Gaszyńskiemu zaś następującą daje radę w liście, d. 14 maja 1838 r.: „Strzeż się miłostek, a jeśli kiedy z miłością się spotkasz, a okoliczności sprzyjać będą, kochaj i ożeń się.“

[2]) St. Tarnowski, *op. cit.*, str. 95. „Dziwnie ona pod koniec postąpiła sobie...“ Do Jaroszyńskiego, str. 30.

miał, o co chodzi autorowi; gdy pisał — a na nic innego prócz listów zdobyć się nie był wstanie—ledwo że litery stawiać potrafił, „bo w mózgu, jakby pijane, zataczają się myśli.“ Nadomiar złego, z oczami coraz gorzéj. Niekiedy aż mdleje z bólu... „Ale w duszy gorszy jeszcze ból z powodu wielu zdarzeń...“

W takim humorze zastał go w Kissingen hrabia Wincenty Krasiński, schorowany, „blady, wychudły, posępny“, żądający odeń, aby się „z interesami zapoznał“. czyli żeby z artystycznéj przeszedł na praktyczną drogę, co, jak odgadnąć łatwo, autorowi wydanego w tym właśnie czasie „Irydiona“ nie uśmiechało się bynajmniéj. Na szczęście, tak był „znudzony sobą samym i ciążącą atmosferą“ — do czego w niemałéj zapewne mierze przyczyniała się obecność ojca — że mu „prawie wszystko jedno“ było, co robić będzie i w którą go losy rzucą stronę. Bo „co się tyczy szczęścia“, to żadnego się już więcéj nie spodziewał „na ziemi“.

Tymczasem, zanim powróci do kraju, do owych „praktycznych“ zajęć, o których już sama myśl zawczasu przejmowała go wstrętem, i zanim wstąpi w nieznane sobie dotąd położenie, radby pojechać „gdzie nad brzegi Renu“, tam nająć jaką chatę i siedzieć sam zupełnie aż do połowy października, za jedynego towarzysza mając Jana, swego starego sługę [1]).

Może chodząc nad rzeką, odkryje w odbiciach jéj fal przeznaczoną mu „przyszłość i sposoby radzenia jéj.“ Może téż po takim miesiącu życia pustelniczego odzyska w części przynajmniéj dawną świeżość wyobraźni, któréj obecnie nawet „za grosz“ nie miał w sobie. „Wszystko wewnętrzne moje — powiada — zdaje się jednego losu doznawać z tém, co zewnątrz mnie jest“; to znaczy, że „gnije pod ręką konieczności.“ Wskutek tego, o pisaniu, do którego tak go zachęcał Gaszyński, mowy być nie mogło, spokój bowiem, niezbędny przy tworzeniu, „daleki od jego duszy“. Natomiast coraz bardziéj okrążają go „realne nudy, przymusy, fakty, życie praktyczne“, a przytém „przeczucie nędznego zawodu i końca“, przeczucie, które mu pióro wytrącało z ręki.

„Kilka rzeczy on zaczął, ale daléj ich ciągnąć nie umié: nie chce mu się.“

Różne zamiary, a między innemi „także humorystyczne, komiczne“ (zaprawne śmiechem przez łzy) obok poważnych, jak konfederacya Barska lub „Wandy myt“ snuły mu się po głowie, „ale to wszystko oporem stąpa i najczęściéj leży odłogiem“, ponieważ autor, jak są-

---

[1]) Por. „Listy do Sołtana z Kissingen“, 1837 r.

dził, znajdował się właśnie w téj porze życia, gdzie fantazya usycha „pod zwątpieniem.“

VI.

Zwątpienie to w niemałym potęgowała stopniu myśl o nastąpić wkrótce mającém spotkaniu z panią Bobrową, od któréj otrzymał w tym czasie list z Frankfurtu...

Nie można było nie jechać. Musiał! „Och, ja oszaleję kiedy!“

Jakoż, odprowadziwszy ojca do Erfurtu i powróciwszy stamtąd na kilka dni do Kissingen w celu pożegnania się z Danielewiczem, jadącym do Monachium, a z którym od pierwszych dni maja znów byli ciągle razem, wsiadł 15 lipca [1]) w dyliżans pocztowy, i choć „w głębi ducha przeczył zdarzeniom otaczającym“, znalazł się nazajutrz we Frankfurcie, pomimo „rad własnego rozsądku“, pomimo „burz własnéj rozpaczy“, pomimo „słabości znużenia“, pomimo że wiedział z góry, iż mu widzenie to nie da „łez radości do ócz“, ani mu „serca nie rozszerzy w piersiach uczuciem szczęścia“.

„Widziałem ją przez trzy dni.“ „Powiem ci, żebyś jéj nie poznał: smutek i choroba tak ją przetworzyły. Oczy jéj z błękitnych w ciemne przygasłe się zmieniły; piękność lica pozostała, ale martwa, osłupiała, a w duszy nic prócz bólu ciągłego, mąk ciągłych i miłości dla mnie.“ On jednak, choć wmawiał w siebie i w nią, że nie zobojętniał doszczętnie, nie był już zdolny na miłość jéj odpowiadać miłością prawdziwą, niekłamaną, i czuł się „nieszczęśliwy“ w głębi duszy, widząc, że „był kochany, a kochać nie mógł“. Nigdy też pewno tak dobrze, jak teraz, nie zrozumiał owéj paradoksalnéj *Lebensironie*, że „daleko wyższém jest szczęściem samemu kochać, niż być kochanym“ [2]). Swoją drogą poczytywał sobie za obowiązek święty wyznać szczerą prawdę, objaśnić, jak rzeczy stoją i nie łudzić zbytnio kochanki. Bo jakkolwiek pozostała mu drogą, jakkolwiek kochał ją „sercem, wdzięcznością“, pragnąc nazawsze pozostać „jéj przyjacielem, bratem“, to przecież nie kochał jéj tak, jak dawniéj, jakby pragnęła, żeby ją kochał jeszcze. A nie sposób się przecież — zrozumie to każdy — do miłości przymusić, bo „są błyskawice i pioruny, lecz nie ma niw jednostajnych szczęścia.“ To też, pomimo przeświadczenia, pomimo świadomości, że „serce kobiéce o pioruny nie dba“ i „chce mu

---

[1]) „Listy do Sołtana, str. 102.

[2]) Zob. w „Listach do Jaroszyńskiego“, str. 23.

się niw tych gładkich, jednakowych, konserwatorskich zawsze", oświadczył jéj wręcz, jak Irydion Kornelii Metelli:

— Jeżeli się nie poczuwasz do mocy, odejdź odemnie. Tu rozdzielą się drogi nasze, będziesz spokojna, jak wprzódy: obaczym się kiedyś, nie na ziemi.

To samo żądanie wyraził następnie w wierszu, jaki jéj wpisał do sztambuchu, a którego ostatnia zwrotka brzmiała:

Ukląkłbym może, błagał przebaczenia!
Lecz wy przebaczać nigdy nie umiecie.....
Daj mi więc jeszcze tu na żywych świecie,
Co zmarłym dają: pokój zapomnienia!

Czegóż innego mógł, albo „miał prawo żądać od niéj, lub mogąc, chciał", on, którego jaźń tyle już jéj złego wyrządziła, choć była „aniołem dobroci" dlań niegdyś? Ona jednak, ile że „kochała nadewszystko", jakąś „spójnią magnetyczną" przywiązana do niego, nie chciała słuchać o tém, żądając, jak kochanka Malczewskiego, który „umarł z rozpaczy", ażeby ją nadal takiém samém, jak wprzódy, „obłogosławiał szczęściem", na co on, rozdrażniony i zniecierpliwiony, odpowiedział gorzko, że „szczęścia podług jéj o szczęściu wyobrażenia nie ma na podorędziu..."

I wyjechał.

Wyjeżdżając zaś, przekonany był, że to, co się z tych dni frankfurckich w sercu jego zostało, na resztę życia będzie mu towarzyszem: „zgryzota; smutek, przywiązanie."

Ostatniego najmniéj, jak o tém aż nadto wymownie świadczą listy do Sołtana i Gaszyńskiego pisane z Frankfurtu [1]), oba pełne skarg i złośliwych uwag na temat miłości i kobiét. „Smutek ogromny i poważny objął duszę moją..." „Nie ma miłości na świecie! Ze wszystkich snów naszych jeden tylko urzeczywistnić można: przyjaźń!" Bo przyjaźń „nie żąda kształtu", lecz opierając się „na saméj głębokiéj treści rzeczy", ma w sobie „coś purytańskiego, protestanckiego, surowego", coś, co się obejść może „bez pędzla Rafaela, bez muzyki Belliniego"; kiedy miłość „prócz myśli, idei, wymaga jeszcze tego, co najszczytniejszém i najtrudniejszém jest na świecie: sztuki,

---

[1]) Do Sołtana z d. 24 lipca 1837 r. Z listu do Gaszyńskiego, wypuszczonego w tomie I-ym „Listów Zygm. Krasiń." — bo tak się podobało J. I. Kraszewskiemu — znajduje się charakterystyczny ustęp w wydanych przez samego Konst. Gaszyńskiego (w r. 1860) „Wyjątkach z listów Zygmunta Krasińskiego." Dzień, w którym pisany list rzeczony, nie wydrukowany. Podano tylko: „Frankfurt 1837." To wystarcza.

widoméj piękności, pewnego rodzaju katolicyzmu.“ Dla miłości bowiem, jak dla katolicyzmu, trzeba pojednania harmonijnego najwznioślejszych ofiar moralnych „z najbardziéj nęcącemi, pięknemi materyi kształtami“. Co to jest Madonna? Czyż to nie najurodziwsze ciało i najczystsza dusza? Co Chrystus? Najpiękniejszy i najcnotliwszy z ludzi? Co muzyka kościelna? Najsurowsze, a zarazem najmelodyjniejsze dźwięki, jak np. w *Requiem* Mozarta?

To powiedziawszy, prosi Sołtana, ażeby wybrał się w drogę i szukał „żyjącéj kobiéty, któraby dorównała ideałowi miłości.“ Znajdź taką, mówi, „w któréjby boskim składzie, forma była kwiatem materyi, dusza, kwiatem ducha, taką, któraby w objęciach twoich czystą została, a w podniosłości ducha jednak twoją była; taką, jedném słowem, któréjby czyny nie popsuły ideału, a któréjby ideał nie popsuł rozkoszy czynów! Jeszcze Bóg córki nie miał; dotąd Syna Jego widzieliśmy tylko!“ Tyle o kobiétach.

Niemniéj pesymistycznym był w tymże czasie pogląd poety na miłość [1]), któréj, zdaniem jego, „pierwszą siostrą jest Rozkosz, drugą Rozpacz, trzecią Nicość.“

Pierwsza—Rozkosz—bosko piękna, lecz znika, jak mgła w promieniach namiętnego słońca; tajemnicza, z lepszego świata tu zjawiona, znika i przechodzi, kwapiąca się z powrotem do dalekiéj ojczyzny. Spojrzysz, aliści już w oddali jéj zasłona miesza się z chmurami. Wydzierasz serce z piersi i ofiarujesz jéj krwawe, byleby się zatrzymała; ona jednak się nie obejrzy: anioły ją na skrzydłach umarłą niosą do nieba. Tam zmartwychwstanie dla świata, ale nie dla ciebie.

Druga—Rozpacz—jeszcze ma rysy przypominające urodę pierwszéj: piękność to zawsze, tylko w konwulsyach. Wśród jęków i zgrzytań znać, że królewska córa, że nektar bogów wlał w nią pierwsze tchnienie życia. Gdy wyprości kibić, gdy wytęży ramiona, tęcze błyskają na niebie, błyskawice z pod stóp jéj tryskają. W jednéj ręce puhar ci podaje: bierz, bo kilka kropel szczęścia rozlanych, trucizną na dnie zostało; w drugiéj sztylet trzyma: wydrzyj go, jeśliś śmiały, i zabij się; wówczas bowiem tylko ciało twoje skona. Jeśli tę chwilę opuścisz, odleci na wzór pierwszéj i wtedy — jakkolwiekbyś się bronił—dusza twa umrzéć musi. Śmierć jéj nieunikniona. Dlaczego?

Dlatego, że teraz dopiéro przychodzi koléj na trzecią, najmłod-

[1]) Zob. „Wyjątki z listów Zygmunta Krasińskiego“ (Wydanie Konst. Gaszyńskiego. Paryż, 1860). Wyjątek z listu, datowanego z Frankfurtu 1837 r., a nie włączonego (!) do t. I korespondencyi poety.

szą z sióstr — Nicość, — która zjawi się przed tobą, podobna nieskończoności, bez kształtu żadnego, niewidzialna, niedotykalna, niedostępna. Uczujesz ją wszędzie: we dnie i w nocy; jak czas, jak przestrzeń, będzie z tobą. Spytasz, czego chce od ciebie? Nie odpowié. Zaklniesz, by się oddaliła, przystąpi bliżéj jeszcze. Będziesz chciał zapomniéć: dzieje przeszłe, twarz kochanéj; wyżebrzesz u czasu, że ci jéj rysy z duszy wygluzuje. Lecz to ci ratunkiem nie będzie: przepaść tém głębsza wydrąży się w tobie, bo zupełnie pusta, żadną nie zaludniona postacią. Nicość cię z objęć swych nie wypuści.

Zabić, zniweczyć można wszystko, co *jest*, ale porwać się na *nic* i chciéć *nic* zatracić, to przechodzi siłę twoją. Owo *nic* od wszystkich światów silniejsze, które się rozprzestrzeniło w tobie, to pustynia, została po gmachach Palmyry.

„Proszę cię, zniszcz pustynię! Powiész mi na to: odbuduj Palmyrę! Ach, mój drogi! Są inne miasta wielkie, w innych miejscach ziemi, ale nie ma Palmyry. Co się stało, stało się!“

„Nicość“ ta, choć, ile mógł, wyrywał się z jéj objęć, ścigała go, jak Wenus Tannhäusera, aż do Wiednia, dokąd przybył na jesieni razem z Danielewiczem, a gdzie, zastawszy już Sołtana przy córce swéj, Maryi, postanowił przepędzić zimę; Sołtan bowiem, który go „znał młodym i widział szczęśliwym dni kilka“, księżna Lubomirska i Konstanty, najprzyjemniejszą mu w tych czasach stanowili „trójcę“. Przekonany, że od nich jedynie spodziewać się może ulgi pewnéj w „chwilach głębokiego smutku i zwątpienia“, zaniechał marzeń o wieczném mieście, willi Mills, Coliseum i wzgórzach rzymskiéj Kampanii, bo choć „obrzydliwą jest zima“, lepsze towarzystwo przyjaciół serdecznych i noce spędzane z nimi na pogawędce, aniżeli słońce i niebo włoskie.

Niestety, po za rozmowami temi—przeważnie u Danielewicza—po za wieczorami w teatrze, ilekroć występowała pani Rettich, stawało przed poetą całe jego życie „w przeszłości i przyszłości“: pierwsza rozdzierała go „wspomnieniami szczęścia niepowrotnego“;

Des Lebens Mai blüht einmahl und nicht wieder,
Mir hat er abgeblüht... [1])

kiedy druga trapiła „przeczuciami niezawodnéj zguby“. Dlatego, ile razy był sam, w swojém mieszkaniu na okopach, skąd miał widok na

---

[1]) Urywek ten z „Rezygnacyi“ Schillera przytacza Krasiński w liście swym do Gaszyńskiego, 9 Novembra 1837 r. (Wiedeń).

Kahlenberg — ledwo że Sobieskiego nie widać — ogarniała go „rozpacz“, rozpacz, która mu często nie pozwalała zasnąć, tak iż dopiéro, kiedy świtać zaczynało, „uciekał od dnia i spał głęboko“. Czasami znów—podobnie, jak mu się to już zdarzało w Kissingen — nie mogąc spać, zrywał się z łóżka rozgorączkowany, chwytał za pióro, i oto wiersze, które mu się wtedy „niejako same wydostawały z głowy“, a które dowodzą, „jak dalece, jak gorzko nieszczęśliwym“ się czuł każdéj takiéj nocy bezsennéj:

Wszystko, co kochałem,
Jak Bóg, dalekie, lub jak chmura znika.

a jednak, „choć ręka śmierci przytknięta do serca“, pierś żyje i „oddycha szałem“. I nie widział wyjścia z tego błędnego koła,

Chyba czas przyjdzie, czas, uczuć morderca,
Co wszystko zjedna, pogodzi, zabije,
Na starych gruzach z róż świeżych uwije
Nową koronę; lub nauczy szydzić
Z ułud młodości; i młodość pochowa.

Jedynie wtedy pierś jego „dawnych marzeń wdowa“, co czciła niegdyś, będzie nienawidzić! Tymczasem iskra geniuszu, która tliła w głębiach jego duszy, dzięki téj „ciągłéj walce, która nosi imię towarzystwa“, gaśnie powoli i

Dziś, niedojrzana, już tak wątła, mała,
Że może jutro, wśród ducha katuszy,
Wymrze, jak perła, długo nie noszona,
Zniknie, jak kropla w południowym skwarze,

skona, jako „kwiat w pączku nierozwity“, a on zostanie „jak stare ołtarze, na których leżą węgle i popioły, lecz bogów nie ma, ni ofiar, ni woni.“

Gdybym nie kochał śmiertelnéj piękności,
I ust nie złożył na widomém czole,
Byłbym tą iskrą, spadłą mi z wieczności,
Pożar rozniecił na ziemskim padole,
I duszę moją pozaludniał tłumem
Żyjących myśli; z nich skleił postaci
Wspaniałe, wielkie; boskich skrzydeł szumem
Byłbym się wyniósł nad głowy współbraci.
Dziś już zapóźno!...

Na myśl, że „już zapóźno“, że „*des Lebens Mai blüht einmal und nicht wieder*“, upadał pod ciężarem „rozdzierających męczarni dumy, która celu nie dopięła“, i „do wskazanego raz wepchnięty koła“, nie mógł „skonać“, chociaż „co chwila konał podwójnym bólem“. Ból

ten, obiegając myśli jego, „jak krew żyły“, sprawiał, że mu się wszystko—życie zwłaszcza—„szyderstwem“ wydawało, i że, o najbliższéj przyszłości, różnemi przeczuciami dręczony, myślał z dziwną jakąś, niewytłómaczoną obawą. „Nie minie dni wiele—pisał pod wpływem tego uczucia do Gaszyńskiego,—a mnie się coś stanie; przejrzéć jasno, co? nie mogę, ale coś takiego, nad czém ty zapłaczesz tam w twojéj pięknéj Prowancyi“ [1]).

W chwilach takich, szukając pociechy „w świecie ducha“, ponieważ wiedział, że „prócz idei wszystko odbywszy krótki swój taniec znika“, czytał Hegla i Novalisa [2]), pijąc z nich, „jakby opium ulgi, jakby chwilowe, lekkie zapomnienie.“ Ale i ten środek, niestety, zawodził często, bo filozofia, jakkolwiek „dobra na bóle cudze, ogólne“, nie na wiele się przyda, jeżeli „cząstka naszego własnego serca dotknięta“, jeżeli dusza człowieka „zasklepia się w sobie saméj i toczy się sama, gryzie, rozdziera.“

Tak przeszły zima 1837 i wiosna 1838 roku.

VII.

W połowie maja [3]), na żądanie ojca, który go wzywał do kraju, do Opinogóry, opuścił Krasiński Wiedeń, i razem z Danielewiczem, któremu się również paszport kończył, podążył w strony Królestwa, obierając drogę przez Śląsk pruski, a mianowicie przez Salzbrunn, gdzie go czekało znowu spotkanie z panią Bobrową...

Przekonany, że nie on na nią, ale ona już tam na niego czekać będzie [4]), jechał bez wytchnienia, nigdzie się nie zatrzymując, tak zupełnie jak gdyby go każda godzina stracona mogła pozbawić „ostatniego uścisku jéj ręki.“ Dlatego téż, kiedy po pięciodniowéj podróży stanął wreszcie na miejscu [5]), w Salzbrunn, „niespokojny“ na samą myśl o kochance, doznał zaraz na samym wstępie uczucia zawodu, rozczarowania, dowiedziawszy się, że osoby, o którą mu chodziło, nie ma jeszcze i że spodziéwaną tu jest dopiéro za kilka dni.

Nie pozostawało, jeno uzbroić się w cierpliwość i czekać, osła-

---

[1]) „Listy“, t. I, str. 126.

[2]) „Listy do Jaroszyńskiego“, str. 27. „W takich chwilach, Edwardzie, patrząc na mnie, przyznałbyś, że Hegel nie jest lekarstwem na wszystko.“

[3]) 14 maja 1838 r. (Patrz „Listy do Gaszyńskiego“, str. 133).

[4]) Zob. list do Sołtana, Salzbrunn, 19 maja 1838 r. „Powiadam mu (pocztmistrzowi), że jadę do Salzbrunn, że tam jest kuzynka, z którąm się chował“, etc.

[5]) 19 maja o 4-éj rano. O przygodzie, jaką miał w podróży między Sternberg a Neisse, zob. w tymże liście.

dzając sobie o ile możności czas spacerami, wycieczkami w okolice, grą w bilard, etc.

Pierwszy dzień, jak zwykle w takich razach, upłynął cały na oglądaniu miejscowości, która na Krasińskim, jak i towarzyszu jego, bardzo „pruskie" uczyniła wrażenie. „Dzieci jedne tylko wieczorem mówią ci *Gut Abend*, a czasem kobiéty; zresztą mężczyźni inni przechodzą w milczeniu wojskowém, na formę Blüchera starając się wyprężyć." Nad każdym bilardem Fryderyk Wielki na koniu. „Wolę Madonny we Włoszech."

Po południu korzystając z pogody, poszli do Fürstenstein, „zamku starego o milę stąd", do którego przystęp „okolony gęstym, głuchym borem" przypomina okolice, opisywane przez Jean Paula. „Nagle stajesz nad głębokim jarem. W dole strumień huczy; boki spadziste, nastrzępione jodłami"; pośrodku doliny — podobnéj do naszéj Ojcowskiéj—wznosi się opoka, równie odległa od obu brzegów, a na niéj „gniazdo arystokratyczne grafów Hochbergów, zachowane w całości." Mury, ostrołukami podparte „nakształt Verońskich gmachów", przez to ciekawe, że się w nich nic ani wewnątrz, ani zewnątrz, „od 1500 roku nie zmieniło". Wszędzie gobeliny, kantorki, wykładane szyldkretem i weneckiemi lustrami, ogromne krzesła, obite tkaniną ręczną, wyściełane haftami pań średniowiecznych, pań zadumanych, samotnych, romansujących z paziami. Ściany korytarzów pozawieszane staremi, zblakłemi portretami przodków: blade twarze mężczyzn i kobiét. „Muszą one o zmierzchu — mówił poeta do Danielewicza — odrywać się od płócien i wlec się po zamku, dopóki kur nie zapieje."

Wyszedłszy na szczyt wieży więzień, nad kaplicą, skąd widok rozległy, „cudnéj piękności", na bory, na wsie, na wzgórza, a wreszcie na sine góry Czech, jak okrągłe ramy, opasujące krajobraz, popadł Krasiński „w głęboką, w nieskończoną smętność." Opanowany nią, nie mógł z przyjacielem rozmawiać o czém inném, tylko o upłynionych latach, o mostach zwodzonych, o tych ludziach od stóp do głowy w żelazne zakutych zbroje, którzy „na wzór orłów obierali sobie szczyty na mieszkania..." I „zamarzył się" do tego stopnia, że „mimo niespokojność, mimo tęsknotę", doznawał złudzenia, jakoby surdut jego w kolczugę się przedzierzgnął... „Nie kapelusz, ale hełm przytykał mi do skroni." Tak przyodziany, „lekki w ciężkim pancerzu" patrząc „na drogę, kędy jechać ma ona", spojrzeniem „zapraszał ją do tego zamku..." Przyjacielowi zaś, o którego wsparty, „panował całéj dolinie", mówił: „O, daj mi kochankę w takiém ustroniu... Niech choć jedną noc z nią przebędę w tych komnatach gotyckich. Niech

od wieczora do ranka marzę, iż jestem częścią przeszłości, a nie teraźniejszéj doli poddanym; niech ona będzie panią zamku tego: a nazajutrz puszczę się z mężniejszém sercem tam, gdzie iść muszę, tam, gdzie ja sługą będę!“

Pani Bobrowa jednakże dała mu czekać na swoje przybycie jeszcze dni kilka, dni dżdżystych, chłodnych i wietrznych — jak wtedy w Neapolu—które sobie skracać należało, wobec niemożności wychodzenia na dwór, grą w bilard lub szachy, od rana do wieczora, przyczém — wtrąćmy nawiasem — Danielewicz „wściekał się“, widząc Zygmunta „smutnym“.

Smutek ten, wynikający, jak się domyśléć łatwo, z „niespokojności“, miał z chwilą przyjazdu Joanny [1]) ustąpić miejsca dziwnemu jakiemuś niejasnemu uczuciu... Na razie sam nawet Krasiński nie potrafił dokładnie uczucia tego określić, tak iż po pierwszym dniu spędzonym z nią razem, u niéj, dniu, który mu „cały“ minął „jak sen pełen tęsknoty“, sądził — a przynajmniéj wmawiał w siebie — że nie kochać jéj nie leży w jego mocy [2]). „Im słabsza — spowiadał się przed Sołtanem—im smutniejsza, im coraz bardziéj tracąca piękność dawną, tém mocniéj lgnie serce moje do niéj. Czasem, kiedy się zamyśli i spojrzy, Bóg wié gdzie, rzekłbyś, że letarg ciemnego obłąkania się zaczyna.“ Na widok ten, „serce się w nim krajało“, powiada, i całował jéj ręce, błagając na klęczkach, ażeby przemówiła, ażeby nie przerażała go dłużéj taką zadumą okropną, zadumą Ofelii. I czuł „w duszy“ łzy, chociaż ich nie miał w oku.

Współczucie to wszakże, wywołane pierwszém wrażeniem, trwało niedługo. Oswoiwszy się z żałobną postacią kochanki, nie widząc w niéj już „piękności dawnéj“, którą, jak uważał, traciła „coraz bardziéj“ nie mógł się opędzić refleksyi, szepczącéj mu raz po raz, jak Faustowi Mefistofeles do ucha: „Nieszczęsny ten, kto z naiwnością dziecka, z marzeniem o szlachetności, targnął się na cudze prawa: żonę od męża oderwał, matkę od dzieci.“

— Ja tom uczynił, myśląc, szalony! że na téj drodze poezya i wiosna.

I oto poniżeni oboje: on przed sobą, ona przed światem.

Z drugiéj strony, będąc już w gruncie rzeczy zimnym i obojęt-

---

[1]) Około 27 maja 1838 r. List bowiem LXII do Sołtana (u St. Tarnowskiego, *op. cit.*, str. 97) nosi datę 29 maja.

[2]) „Wmawia w siebie, w nią i w przyjaciela, że ją kocha, a czasem wyrywa mu się mimowoli jęk bolesny, świadczący o prawdziwym stanie jego duszy.“ „Moja Beatrice“, str. 5.

nym, czuł się zmęczony tym despotyzmem kochanki, wymagającéj, ażeby wszystek swój czas jéj wyłącznie poświęcał, „z nią, przy niéj,“ i dlatego donosząc przyjacielowi: „Jutro wyjeżdżam,“ nie dodał jak dwa lata temu: „Jutro kończy się młodość moja,“ lecz: „Gdy przyjdzie pojutrze, wszystko już będzie przeszłością.“

Myśl o tém przynosiła mu ulgę. To téż kiedy Joanna, na kilka godzin przed ostatecznėm pożegnaniem, rozżalona, ze łzami w oczach, głosem, dławionym łkaniem, szeptała: „Daj mi twą rękę, niech czuję, żeś blizki,“ i kiedy, przeglądając się w jego źrenicach, mówiła czule: „Tyś wielki, piękny, ty masz wzrok anioła!“ on nie miał jéj, niestety! nic już do powiedzenia.

VIII.

To spotkanie w Salzbrunn „miało być ostatnie.“ W Opinogórze bowiem spotkał się Krasiński zaraz pierwszego dnia po przyjeździe „z prośbą i groźbą“ ze strony ojca, „z płaczem i rozkazem,“ ażeby zerwał ten kompromitujący go tylko stosunek, w którym, jak sam zresztą widzi najlepiéj, nie ma dlań „żadnéj przyszłości.“ Perswazye te, jak to było do przewidzenia zresztą, wywołały niechcący szereg zajść przykrych pomiędzy ojcem a synem; w miarę bowiem, jak pierwszy nalegał, drugi „odmawiał ostatecznie,“ co wobec wrażliwéj niesłychanie na opór woli hr. Wincentego równało się — w jego przynajmniéj o obowiązkach synowskich wyobrażeniu — zuchwałości i nieposłuszeństwu. Rzecz prosta, że wobec takich warunków wspólny pobyt tym razem pod dachem rodzinnego domu „był dla obu męczarnią:“ dla ojca, ponieważ, jako jenerał, przywykł do rozkazywania i, wymagając od jedynaka, jak od żołnierza, bezwzględnéj, iście wojskowéj subordynacyi, nie znosił opozycyi; dla poety zaś, ponieważ czuł i rozumiał, że czyniąc zadosyć rodzicielskiéj radzie, postąpiłby wbrew swemu przekonaniu, wbrew głosowi sumienia i, co najgorsza, wbrew swym pojęciom o honorze i uczciwości. Z drugiéj strony, widząc, że dzięki zatargom tym „mniéj więcéj wypadł z łask ojca,“ wyrzucał sobie, że „w niczém nie odpowiedział jego myślom,“ choć myśli te „dobremi i słusznemi były,“ i że, zamiast wdzięcznością odpłacać za dobroć, tylko mu „zakrwawiał serce niektóremi czynnościami swemi.“ „Ileż razy na dzień — pisał do przyjaciela — spojrzeniem lub słowem nieznaczącém ojciec mi objawia, żem jego nadzieje zniszczył i że oba samotni jesteśmy na ziemi.“

Ażeby tego rodzaju „spojrzeń i słów nieznaczących“ o ile możności uniknąć, spędzał autor „Irydiona“ wieczory najczęściéj u siebie, w swoim pokoju, sam jeden. „Świeca gdzieś za parawanem tle-

je — użala się przed Jaroszyńskim — myśli moje snują się bez końca, ale nieskończonością goryczy, smutku, wstrętu.“

Życie takie „nie mogło nie być przykrém,“ zwłaszcza dla Zygmunta, który sobie doskonale umiał zdać sprawę z tego, że postępowaniem swém „zabija“ ojca i że „nawzajem sam zabijany“ jest przezeń.

Wobec téj nadmiernie rozwiniętéj w nim świadomości, nie prześlepiającéj niczego, ale, przeciwnie, jeszcze dramatyzującéj wszystko, dziwić mu się nie można bynajmniéj, jeżeli teraz w Opinogorze chory był „na umyśle“ i „na sercu,“ jeżeli go choroba ta „ssała na kształt raka,“ z najlepszych ogałacając sił, i jeżeli w „niczém nieuleczalnéj“ nieraz pogrążony „tęsknocie,“ sądził, że oto się już dostał do piekła „nie do owego, gdzie płomień bucha, ale do gorszego, gdzie próżnia nieskończona i brak wszelkiéj nadziei i myśli; do piekła dusz, które niegdyś żyły w niebie i poszły na wygnanie potém, i czują dobitnie, w każdéj czasu sekundzie, że nigdy do nieba nie zdołają powrócić.“

Tak upłynęło trzy tygodnie. Z nadejściem czwartego, hrabia Wincenty Krasiński, przekonawszy się, że nic na synu „wymódz nie może,“ postanowił, nie zważając na jego błagania i zaklęcia, chwycić się radykalnego środka i, nie widząc na razie innego sposobu zakończenia sprawy, udał się na Wołyń, do Zahajec, ażeby się osobiście rozmówić z panią Bobrową i, przedstawiwszy jéj, jak rzeczy stoją, „od niéj saméj uzyskać poparcie w nacisku jaki wywierał na Zygmunta.“

Jakoż dopiął celu i, kiedy powrócił do domu, przywiózł poecie „kilka słów od niej, drżącą ręką pisanych,“ w których mówiła, że „musiała zgodzić się na to, by ostatni raz“ list ten do niego napisać. Bo „tak, jak on nie mógł przystać, tak ona nie mogła nie przystać.“

Co się działo w duszy Krasińskiego przez czas, kiedy ojciec jego bawił na Wołyniu? Jakie myśli przesuwały mu się przez głowę, kiedy sobie wyobraził spotkanie generała z Joanną i scenę, jaka się rozegrać pomiędzy nimi musiała, nim przyszło do skreślenia „drżąką ręką“ owych „kilku słów pożegnania na zawsze?“ Tego tajemnicę poniósł z sobą poeta do grobu. Bądź co bądź, był to niezmiernie posępny widnokrąg w jego życiu, widnokrąg, którego „myśli i trosk“ nawet Sołtanowi — choć zwykle żadnych dlań nie miewał tajemnic — powierzyć nie chciał. Zaznaczył tylko — w liście z d. 20 lipca 1838 — że te dwa miesiące zostawiły w umyśle jego „wrażenie roku całego:“ tyle — powiada — odmiennych położeń i stanowisk doznałem.

Na domiar złego, ojciec, mając w ręku czarno na białém, ofi-

cyalne zrzeczenie się ze strony pani Bobrowéj wszelkich praw do Zygmunta, zaczął go znowu „swatać“ i namawiać, żeby się żenił, stawiając za przykład Danielewicza, który się właśnie zakochać zdążył w pannie Krzyżanowskiéj i, myślał ożeniwszy się, „osiąść na gospodarstwie.“ Autor „Irydiona“ wszelako „wzdrygał się na samą myśl małżeństwa, jak gdyby nastąpił na łuskę węża.“ Wiedział, że „wskrzeszać umarłych jest szalonych zamiarem; a śmierć udać za życie, trupa rzucić komuś do boku, zamiast ciała pełnego krwi i ducha,“ to „obrzydliwa rzecz.“

Zatraciwszy już znaczenie słowa tego: „kobiéta,“ od chwili, kiedy mu „świéżość młodości“ stała się obcą, żadnych sobie co do przyszłości swéj nie robił iluzyi, przekonany, że cokolwiek mu się jeszcze zdarzyć może w życiu, będzie „formą tylko, a nie treścią, fałszem a nie prawdą, liberyą, włożoną mu na barki, a nie własną szatą, musem a nie wolnością, męką a nie pokojem;“ i dla tego „sam wyraz swaty“ brzmiał w jego uszach „na podobieństwo tego drugiego: pogrzeb.“

— Stałem się uosobioną troską i tęsknotą — czytamy w jednym z listów; pomiędzy wierszami zaś (między któremi czytać umiejętnie obowiązkiem jest każdego historyka-psychologa) niejednokrotnie napisane stoi, że największą mu w rozpaczy przynosiła ulgę ta właśnie możność względnego wyspowiadania się przed Sołtanem, Gaszyńskim i Jaroszyńskim.

Przed ostatnim zwłaszcza. Edward bowiem, jako sąsiadujący z Bobrami, miał często sposobność widywania pani Joanny, rozmawiania z nią, pocieszania jéj. Wysyłał téż doń teraz poeta list po liście, prosząc go w każdym, by „czuwał nad nią i, jeżeli jéj położenie kiedykolwiek wymagać będzie, nadbiegł jéj na pomoc,“ a jego „zaraz o tém uwiadomił.“

— Donieś mi téż — prosi przyjaciela w liście z Opinogóry d. 27 Aug. 1838 r. — co się z nią dzieje? Co mąż robi? W jakim ona stanie umysłu? Bo zupełnie przerwane są między nami komunikacye; a codzień czuję, jakby przekleństwo, wiszące mi nad głową, za to, żem dowiódł ją do nieszczęścia. Ona i ja będziem tego znamię całe życie nosili.

A jednak, wśród tych katuszy moralnych, miewał i takie chwile, w których rad był po prostu, że się wycofał z tego „kału“ zawsze go zawracającego a nieruchomego, z téj „czarnéj, piekielnéj, przeklętéj tęsknoty, co mu groziła zgłupieniem ostatecznem i pozbawieniem wszelkiéj siły,“ chwile, gdzie, choć zbolały i smutny, nie mógł się oprzéć myśli, że jest już przecie zwolniony z tak ciężkich więzów, za-

mykających przed nim przyszłość, że ta przyszłość znów do niego należy i że może mieć jeszcze dni jasne i piękne [1]).

Na początku listopada [2]) pojechał Krasiński z ojcem do Włoch. Danielewicz został w kraju, przy pannie. I dobrze zrobił. Musiałby albowiem żyć życiem nie swojém, ale cudzém, wstawać o czwartéj z rana, kłaść się o ósméj w wieczór, jeść o dwunastéj obiad etc., słowem tysiąc drobnostek odbywać, które Zygmuntowi, jako synowi, „słodziła idea obowiązku, a które nikomu drugiemu do miary by nie przypadły.“ Z Danielewiczem wreszcie i generał, którego zdrowie było w tym czasie „nieszczególne a humor także“ musiałby się żenować, co wszystko — dodaje Krasiński — Konstanty przeczuwał doskonale, pomimo, iż generał „do tyla był łaskaw, że już miał paszport dla niego.“ Dla poety jednakże, przywykłego podróżować inaczéj, przeprawa ta, „przez deszcze i śniegi w górach“ w ciągu ośmiu „dni i nocy wciąż, nigdzie nie odpoczywając,“ nie należała do najprzyjemniejszych. Co za kontrast z dawniejszemi podróżami, z ową „najpiękniejszą“ np. w r. 1834, kiedy to „w powietrzu rozlany był szał mi-

---

[1]) Zob. „Moja Beatrice“ str. 6.

[2]) Do tego czasu nie bawił Krasiński wyłącznie w Opinogórze. Z listu do Sołtana (Opinogóra 20 lipca 1838) dowiadujemy się, że „tydzień temu wrócił na wieś z Warszawy, gdzie piętnaście dni“ spędził. „Tydzień temu“ t. z., że do Opinogóry przybył około 13 lipca. Przedtém 15 dni w Warszawie t. z., że wyjechał z Opinogóry wkońcu czerwca. A ponieważ przybył tam z zagranicy 5 czerwca (patrz list do Sołtana z Torunia 7 czerwca 1838) ojciec zaś po trzech tygodniach nic na nim wymódz nie mogąc, udał się do pani Bobrowéj, więc kiedy Wincenty Krasiński był na Wołyniu, autor „Irydiona“ przeniósł się na ten czas do Warszawy. Następnie w interesie swego „folwarku pruskiego“ (Kleszczewko pod Gdańskiem) spędził „kilkanaście dni“ w Gdańsku, który nazywa „miastem starém, pięknem, gdzieniegdzie podobném do Wenecyi,“ téj Wenecyi, w któréj przed paru laty (1834) „prawdziwie był szczęśliwy.“ Dlatego to w Gdańsku teraz „chodzę po ulicach — pisał do Sołtana — a nieznośnie mi ciężko, tęskno, niedobrze “ Wspomnieniom téż owych „dni jedynych i zbiegłych,“ w Wenecyi przeżytych w towarzystwie pani Bobrowéj, trzeba przypisać następujący ustęp z listu do Sołtana (Gdańsk 12 sierpnia 1838): „Zdaje mi się, że jest prawem stworzenia, iżby człowiek coraz bardziéj smętniał, im daléj postępuje w życie. Zrazu tęcze się snują, przewodniczki nadziei, potém prysną zwodnice, i coś mienił światłem, w deszcz się przetwarza; późniéj i deszczu nie znajdziesz nigdzie, choćbyś kropli jego rad z chustki wycisnąć i niemi usta odwilżyć. Będzie pogoda szara, sucha, pod nogami piasek, mgła nad głową, i w mgle utoniesz na wieki.“ W liście do Gaszyńskiego zaś (Gdańsk 13 sierpnia 1838) znajdujemy twierdzenie, że „zatrute owoce z miłości się rodzą; póki kwiat, póty wiosna tylko.“

Po powrocie z Gdańska „do domu,“ gdzie się zatrzymał na 10 dni, pojechał jeszcze „do Litwy,“ (we wrześniu), październik zeszedł mu częścią w Opinogórze, częścią w Warszawie. Ciągle z ojcem.

łości, namiętności, nadziei, zachwycenia!“ Co za przepaść pomiędzy owym tygodniem, wówczas spędzonym w Wenecyi, a teraz! To samo miasto, które było dlań „snem piękności“ do niedawna, które nazwał „swoją kochanką wśród miast wszystkich,“ wyglądało mu dzisiaj tak smutno, że go aż serce bolało i sądził chwilami, jakoby wszystko już zmartwiało dla niego i oniemiało na ziemi [1]). To niebo turkusowe, które mu już nie świéciło nad twarzą kochanki, ani nad bladem licem przyjaciela [2]), te wody, te pałace, te gondole, wszystko to niegdyś „tak szczęśliwe,“ obecnie „jak grób“ stało przed nim. „O, nie wracaj nigdy do miejsca, kędy szczęśliwy byłeś,“ bo, nie tylko, że „w nich już nie zastaniesz szczęścia dawnego,“ ale jeszcze „wydadzą ci się trupem, z którego wyleciała dusza, i mniéj jednym, cudnym, rajskim obrazem będziesz miał w pamięci życia twego.“

Na San Benedetti natknął się przypadkiem na malarza Torre, swego znajomego z roku 1835... [3]). Ileż wspomnień budziło się w nim na widok tego człowieka, który im wtedy przy akompaniamencie mandoliny śpiéwał weneckie *canzony*... Iluż chwil szczęścia i upojenia człowiek ten był świadkiem! Poznali go „na rynku św. Marka.“ Śpiéwał, jak teraz. A ponieważ zakochanych stać na najekscentryczniejsze częstokroć pomysły, więc zaprosili go do siebie, do pomieszkania Joanny, ażeby śpiéwał dla nich tylko... Po kilku takich koncertach przypominających sceny z szekspirowskiego „Kupca Weneckiego,“ okazało się, że w śpiéwaku ulicznym tkwił jednocześnie i malarz niepośledniego talentu, malarz-portrecista. Zapytany, czy nie podjął by się zrobienia portretu Signorii, odpowiedział, że zależy to tylko od tego, jaki sobie życzą: olejny czy kredkowy, mały czy naturalnéj wielkości. Skończyło się na tém, że pani Joanna zdecydowała się sprowadzić Torre'go na Wołyń, ażeby tam, nie spiesząc się, portret jéj namalował. Zamiar, szalony na pozór, przyoblekł się w czyn. Torre spędził rok blisko na Wołyniu [4]), w Zahajcach, malując portret pani, urozmaicając jéj wieczory śpiéwém tych samych pieśni, których słuchała niedawno z ukochanym. Wracając późniéj z Wołynia, zatrzymał się dłuższy czas w Wiedniu, gdzie dzięki protekcyi Zygmunta, malowal, między innemi, portret Marysi Sołtanównéj. Teraz powrócił znów do rodzinnego miasta i nie tracąc fantazyi, śpiéwał po uli-

---

[1]) List z Wenecyi do Sołtana 16 Novembra 1838.
[2]) List z Wenecyi do Gaszyńskiego 18 Novembra 1838.
[3]) Zob. Listy t. II, str. 123.
[4]) Tamże.

cach. „Włoch prawdziwy! gdzie pędzlem nie może, tam głosem nadrabia.“ Pyszna postać! Trudno o romantyczniejszą.

Swoją drogą, to spotkanie z człowiekiem, który go znał niegdyś wesołym i szczęśliwym, w tém „sroższą“ jeszcze pogrążyło Krasińskiego samotność: „nie ową zewnętrzną (ta bowiem nie była mu nigdy wstrętna) ale ową wewnętrzną, w któréj serce kona powoli.“

— Ach! wczoraj, nocą, kazałem się wieźć gondolą, po tych śpiących, czarnych kanałach. Przypominałem sobie, że niegdyś, przy księżycu i słońcu, na wiosnę i w lato [1]), przy muzyce i z przyjaciółmi [2]), otoczon wszystką rozkoszą życia, na tych samych wodach pływałem; i stało mi się tak gorzko, że mi się wydało, jakobym już przeszedł *il ponte dei sospiri* życia mego [3]).

Podobne, jak teraz Wenecya, zrobił na nim, w trzy tygodnie później, Rzym, w którym stanąwszy, ujrzał odrazu całą młodość swoją „wracającą na te miejsca, jak duch Irydiona, po latach wielu.“ Nie dziw więc, jeżeli ów „dziwny, niezrozumiały pokój“ ducha, towarzyszący mu, jak Massynissa Irydionowi, dopóki jechał przez Kampanię, jeżeli pokój ten z chwilą, kiedy na widnokręgu, we mgle oddalenia zamajaczyła kopuła św. Piotra, rozigrana w promieniach słońca, uleciał nagle, jak sen, i jeżeli powróciła dawna „niespokojność,“ wróciły „zmory, z których uwite życie,“ a które sprawiły, że poeta, niczém *Furis agitatus Orestes* [4]), wstąpił w najgorszą, jaka istnieje, fazę psychiczną: w fazę wyrzutów sumienia. „Czy ty wiész co mnie czeka? Czy ty wiész, że może za pół roku, obaczę się w najdzikszém, w najzagmatwańszém położeniu, gdzie stracę rozum, nie wiedząc, komu się powierzyć: czy dyabłu, czy aniołowi stróżowi, czy przypadkowi ślepemu, czy rachubie. I jędze mnie rozszarpią... Już i modlić się nie umiem za siebie!“ Gdy wchodził do kościoła, chwytał go „jakiś wstręt, jakiś dreszcz;“ kolana sztywniały, jeżeli chciał uklęknąć.

---

[1]) „Na wiosnę i w lato“ Ma tu Krasiński na myśli wiosnę r. 1834 (druga połowa maja) oraz lato, r. 1835 (wrzesień). Patrz wyżéj str. 412 i 413 (we wrześniowym zeszycie „Ateneum“) tudzież str. 425.

[2]) Z Jaroszyńskim i Danielewiczem w r. 1834.

[3]) Zob. Listy t. II, Wenecya, 16 novembr. 1838. W kilka dni późniéj, w liście z d. 23 nov. 1838 r. zapytuje Krasiński bawiącego w Wiedniu Sołtana: „Powiedz téż cokolwiek o Burgu. Co Rettich porabia?“ Dowodzi to, że obok wspomnień o pani B. znalazło się jeszcze w umyśle poety dosyć miejsca na wspomnienia o powabnéj aktorce z *Burg-Theater*.

[4]) Tak się podpisał poeta w jednym z listów do Małachowskiego; przydomek ten nadał sobie również w liście do Juliusza Słowackiego, w którym mowa o pani Bobrowéj. (Rzym 16 marca 1841 r.). „A nie myśl, Julu, by tu się odzywał ze mnie *Furiis agitatus Orestes*: nie, cichym teraz, jak dziecię,“ etc.

„Chcę zacząć Zdrowaś Marya, a to imię Marya samo jedno tylko z ust moich wychodzi, reszta w gardle utyka“ [1]). Kiedy pomyślał, że „teraz ona smutna i cierpiąca,“ „bez nadziei jakiejkolwiek przyszłości,“ kiedy widział w wyobraźni swéj „jéj twarz bladą i coraz bledszą“ i „w oddali samotne łoże choroby, samotną śmierć,“ kiedy ją wyobraził sobie przypominającą dzieje przeszłości i wymawiającą jego imię; „a to imię odbija się tak żałobnie, tak kamiennie w sercu nieszczęśliwéj,“ że ona sama, być może, doda do niego przekleństwo, lub krzyknie: „o Boże, czemuś nasłał na mnie tego człowieka;“ kiedy pomyślał o tém, oh, wtedy, wtedy, piekło stawało mu się „zrozumiałém, jasném, widomém, dotykalném.“ Albowiem nic nie przemawiało za nim! Wszystko potępiało go, wszystko „przebłagalnych domagało się ofiar!“ Wszystko! Nawet „trybunał rozumu!“

Takiemi „larwami“ otoczony [2]), zazdrościł przyjacielowi, który, siedząc na wsi, studyował Hegla, spokojny, nie wiedząc zupełnie, „co to pamięć kochanéj, połączona z wyrzutami, co to jéj głos cichy, we wnętrzu duszy szepczący.“ Nieraz, bywało, ludzie posnęli już dawno, a on, w gorączce, leżał z otwartemi oczyma i „lękał się“ tego głosu, który mu brzmiał koło uszu. „I radbyś go zatrzymać, by przez wieki mówił do ciebie, i chciałbyś go odegnać...“

Chwilami znów, chcąc po prostu „oszukać siebie,“ rozumował sofistycznie jak adwokat, broniący sprawy, w któréj nieskazitelność nie wierzy, iż coś przecież „dobrego i świętego“ przejęła odeń, że „światy ducha,“ które on przed nią roztaczał, a w które ona „uwierzyła“ nie mogły nie wywrzéć na nią dobroczynnego pod wielu względami wpływu. Ale rozumowanie podobne nie zyskiwało, niestety, aprobaty sumienia, które mówiło, że kochanka „na szczęściu zawiedziona,“ złorzeczy teraz wszystkiemu, czém ją „natchnąć“ pragnął i że, rozważając rzecz po kobiécemu, ze swego punktu widzenia, nawet o saméj idei tych natchnień źle trzyma i zaprzecza im „w goryczy serca...“ A dlaczego? Dlatego, ponieważ natchnienie to „widomego nie przybrało kształtu,“ ponieważ słowom nie dorównały czyny. Bo, nie należy zapominać, iż dusza niewieścia tém różni się od męzkiéj, że prawdę pojmuje przez objawienie jéj, nigdy zaś *a priori*. One wszystkie podobne Tomaszowi, co ran potrzebował się dotknąć palcem, by sercem uwierzyć w Zmartwychwstanie Pańskie.

Winy jego względem niéj „nikt ocenić nie zdoła“ prócz niego samego, albowiem on tylko widział—wtedy w Wenecyi—błagalny „wyraz

---

[1]) Listy do Jaroszyńskiego, str. 22.

[2]) Zob. List do Jaroszyńskiego Neapol 29 Decembra 1838.

jéj twarzy" na który „nie zważać," „walcząc" z nim, było po prostu „okrucieństwem" i „najogromniejszém samolubstwem" [1]).

Przekonany o tém, trapiony „żalem niezapomnianym, nieuniknionym," uciekał z domu, ledwo z za szczytów latyńskich wyjrzała blada twarz Cyntyi... I kiedy „nad piołunem piasków, nad sitowiem bagnisk, nad samotnemi sosnami wzgórz, nad cyprysami dolin" kołowały cienie nocy; kiedy „gwiazda wieczorna, dawnych ludzi bogini" wznosiła się żałobnie, a z nią „kilka łez rosy padało tu i owdzie" [2]), on szedł jak duch Irydiona, przez *via Sacra*, przez drogę zwycięstw, stopniami ze żwiru i błota, na *Forum Romanum*, i patrząc na te zwaliska, na ten bluszcz, „zieloną rozkosz jaszczurek," które, „jak liście jesienne przed wiatrem" uciekały przed nim; na te odkopane kolumny korynckie, sterczące wysmukle „jak dusze nawpół wychylone z trumny;" na te „pałace dumnych w żółty piasek wryte;" na te bogów poćwiertowane ciała; na te bohaterów rozpadłe piersi z jaspisu lub porfiru; zamyślony „nad dniami przeszłości," błądził po owéj „przestrzeni ruin," własności swojéj, „tak ogromnie smutny, taką nocą obleczon," że był „jako głaz, zdatny do leżenia między głażami."

— O nocy jedyna, ostatnia! nocy miłości mojéj! Coś słonecznego w blaskach twych jaśnieje!

Marząc tak, przy świetle gwiazd, migających na sinym stropie nieba, „jak tysiąc złotych wspomnień i urągań," zachodził do Kolizeum, które teraz, w oświetleniu księżycowém, zdawało się „dotąd stać cało..."

Na milczącéj arenie, na piasku srebrnym, wśród arkad przemienionych w dzikie skały, z bluszczami u wierzchołków, z szczelinami w łonie, z czarnym, drewnianym krzyżem pośrodku, w miejscu, gdzie marli Nazareńczyczy, szarpani kłami lampartów, hyjen, tygrysów i lwów: wszystko, co przeżył, co widział, co czuł niegdyś, wszystko, czego był „częścią," wracało mu na pamięć.

Tu, na wiosnę, pamięta, „rwali fiołki, rosnące na grobach Świętych i gladyatorów;" tam, na szczycie gmachu, w taką samą, jak

---

[1]) Zob. Listy do Jaroszyńskiego, str. 17. W jednym z listów do Słowackiego, gdzie mowa o pani Bobrowéj, przyznaje się Krasiński, że „zapewne nie zawsze po chrześciańsku, lub po katolicku, po stoicku, lub po cnotliwemu i t. d. postępował. Miałem, powiada, straszne chwile egoizmu, dla mojego Ja zapominałem, że i drudzy mają Ja swoje" etc. (Rzym 1841).

[2]) Zob. „Irydion," Dokończenie: opis Kampanii rzymskiéj i nocy księżycowéj, oświecającéj Forum, Kolizeum etc. zarówno jak i opis Kampanii w wierszu, zaczynającym się od słów: „Jak anioł spadły, leżący w piękności" i t. d.

dziś, noc księżycową, „opowiadał jéj zgon narodów.“ [1]) Pochyleni „nad tą otchłanią przeszłości,“ poglądali „na miasto, całe uśpione, i pustynię Kampanii rzymskiéj,“ oboje ukołysani, jak gdyby odurzeni tą nocną ciszą, która niezakłócona niczém, majestatyczna, zalegała do około... I stali tak, nie wiedząc sami, jak długo: ona „truchlejąca,“ wsparta na jego ramieniu, tuląca mu się „do piersi,“ jak pisklę pod matczyne skrzydło; on rozmarzony, szczęśliwy, natchniony.

Czasami, kiedy arena amfiteatru „brzmiała muzyką niewidzialnego chóru,“ doznawał złudzenia, że słyszy Danielewicza, grającego melancholijne *Adagio* z Beethowenowskiéj sonaty *Cis-mol*, że widzi go „w promieniach księżyca“ i że z nim razem odwiedza „tę włość duszy“ swojéj...

Częściéj wszakże, aniżeli „blada, wysmukła mara Konstantego,“ inne mu przed oczyma stawało widmo...

— Ty ku temu słodkiemu licu podniosłeś oczy, poznałeś dawne kształty, ale wyświeżone rosą, wyjaśnione tchnieniem niebios, i spoglądałeś na nie, jak ten, co się żegna z pięknością na wieki.

Piękność ta, żałobna i smutna, choć „bielejąca przejrzystą jasnością,“ choć w koło niéj zebrały się wszystkie miłości księżyca i, jak wstęgi powiewne, to skupiały się to rozpuszczały w promienie, poglądała nań łzawo, jakby z wyrzutem, i zdawało mu się, że słyszy jéj głos, ten sam głos łagodny i dźwięczny, którym ucho jego poiła tyle razy, a którym teraz wymawiała mu:

Dla ciebiem wszystko straciła na ziemi,
Dla ciebiem drobne porzuciła dzieci,
Choć Bóg przykazał pozostać się z niemi. .

I kiedy on, jak człowiek, co ma nieczyste sumienie, w przeciwną stronę odwracał „ponure oblicze,“ mara mówiła spokojnie:

Czy i ty zdradzisz tę, którą kochałeś,
Tę, któréj nigdy żoną nie nazwałeś,
A która ci była więcéj, niż żona.
Siostra, kochanka, niż wszystkie imiona,
Któremi ludzie kochanie przezwali?

A po chwili:

Patrz! Ja być mogła tak czysta, tak święta!
A teraz będę na wieki przeklęta!
I dzieciom moim ojciec nie odpowie,
Gdy się spytają: „Jak się matka zowie?“

---

[1]) Rozmowa o „Irydionie“ w r. 1835.

[2]) W listach do Gaszyńskiego (Wydanie z r. 1860).

Jak się matka zowie? Na pytanie to, „z nad szczytów zamku odparł żałosny krzyk sowy:“

— Między Poppeą a Messaliną postawiono jéj ołtarze!

Krzyk ten, złowrogo rozbrzmiewający „nad milczeniem wszystkich duchów,“ głuchém, śmiertelném echem obijał się o mury Kolizeum, a poecie, stojącemu pod „czarnym, smutnym krzyżem,“ zdało się, że słyszy, jakoby słowa skargi, słowa, z których każde, jak miecz ostrokończysty, nawskroś przeszywało mu serce:

— Wyrwał mię z samotności serca, a zostawił w ducha samotności. Kochałam go, a opuścił mnie [1]).

. . . Taki jest koniec téj „zagmatwanéj tragedyi“ [2]).

Ferdynand Hösick.

Warszawa, 1892.

---

[1]) Niedokończony poemat (Sen) str. 138.

[2]) Jakkolwiek nigdy już w życiu nie spotkał się Krasiński z panią Bobrową, jakkowiek w r. 1838 w Neapolu, zaczęła się epoka „przedświtowa“ w jego życiu i jakkolwiek w r. 1846, przygotowując nową edycyę swoich poezyi, pisał do Gaszyńskiego (Listy t. I, str. 256), że „dedykacye do Maryi w „Nieboskiéj“ i „Irydionie“ winny być opuszczone,“ to przecież „widmo“ téj pierwszéj miłości i kobiéty, która miłości téj padła ofiarą, „ścigało“ go „zawsze i wszędzie“ bodaj czy nie do końca życia. W r. 1838 (nie zaś 1848, jak to mylnie wydrukowano na str. 106 tomu III „Pism“ Z. Kr.) na jesieni, a więc jeszcze w kraju prawdopodobnie, napisał wiersz, jakby monolog pani Bobrowéj, wiersz zaczynający się od słów:

Jak kawał lodu skrzepło serce moje,
W oczach mi wyschły dawnych płaczów zdroje.
Żadnych już ulud nie zapragniam nowych,
Spokój mój wielki, jak głazów grobowych i t. d.

W wierszu tym (jednym z najpiękniejszych Krasińskiego wierszy) czytamy między innemi:

. . . . duszy we mnie zagasło przezrocze
I tak przed ludzi, jak Boga obliczem,
Nic mi jest wszystkiém i wszystko mi niczém.
Nic, nic, niestety: oto słowo moje!
Oto ma wiara, oto tajemnica!
Przez nią niczego w świecie się nie boję,
Przez nią mię w świecie już nic nie zachwyca!
Ach! jakże dawniéj lękać się umiałam!
Ach! jakżeż dawniéj rwały mię zachwyty!
Kochałam morze, ląd, gwiazdy, błękity,
Cała z strun drżących... A dziś z głazu całam!
Ach! bo jednego człowieka kochałam
I świat mi wszystek wyglądał od niego
Rajem dóbr świętych...

W roku 1839 (w Rzymie prawdopodobnie) zaczyna Krasiński pisać „Niedokończony poemat,“ którego bohaterka, księżna Rohoga, jest (o ile wnosić można

z pierwszych rozdziałów) upoetyzowanym portretem pani Bobrowéj. W roku 1840 powstaje znów wiersz, znany powszechnie p. t. „Zawsze i wszędzie."

O nie mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,
Że ciebie tylko goryczą zraniłem,
Bo ja goryczy kielich także piłem
Zawsze i wszędzie.

O nie mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,
Że tobie tylko los życia popsułem,
Bo własną dolę ja także zatrułem
Zawsze i wszędzie.
i t. d. i t. d.

Nakoniec w r. 1841 wyszła w Paryżu „Noc letnia" (napisana znacznie wcześniéj) opatrzona dedykacyą wierszem do „serca niewieściego i prześladowanego," serca, „co wiele kochało" i „wiele cierpiało," aż ostatecznie „na kształt głazu ścierpło i zlodowaciało," serca, które (w chwili wyjścia przypisanego mu poematu) „w samotnéj żałobie"

Jak grób zamknięty, tak zamknięte w sobie,
Na świat spogląda nie mściwie, nie hardo,
Lecz z przebaczenia anielską pogardą.

Pod sercem tém „dumném" i „stroskaném" rozumiał Krasiński przedmiot swojéj pierwszéj miłości.





ODKRYWCY AMERYKI

PRZYPUSZCZALNI I ISTOTNI.

„Histoire de la découverte de l'Amérique.“ Par Paul Gaffarel, 1892. Dwa tomy, str. 454 i 427.

zterysta lat minęło od owéj chwili, gdy w piątek 3 sierpnia 1492 roku, trzy małe żaglowce wypływały z portu Palos w Hiszpanii, na odkrycie nowéj, zachodniéj drogi do kraju cynamonu, ambry i drogich kamieni, słowem do Indyi. Fakt ten, jak to powszechnie wiadomo, stał się na zawsze pamiętnym w dziejach świata, ponieważ za sobą w dwa miesiące późniéj pociągnął odkrycie nowego lądu, nowéj części świata. Przejęci czcią dla wielkiego człowieka, który poprowadził swą niewielką flotylę do brzegów upragnionych, musimy po wyjaśnienia zwrócić się do przeszłości, z niéj to bowiem Krzysztof Kolumb, tak samo jak i tylu innych przed nim i po nim, wysnuł i tę ufność i moc ducha, które nie opuszczały go przez długie pasmo lat pracy i badań, zawodów i przeciwności, zanim na schyłku prawie wędrówki życiowéj powodzenie uwieńczyło jego usiłowania. Każdy fakt dziejowy wytłómaczenie swoje znaleść musi w faktach poprzedzających, czyny geniuszu rodzą się na tle epoki; wiekowa, mrówcza praca społeczeństw znajduje nareszcie wyraz w świetnych dziełach swoich wybrańców. Taki pogląd na rzeczy bynajmniéj nie zmniejsza zasług wielkich ludzi, oderwanéj bowiem idei nadać postać czynu potrafi jedynie człowiek rzeczywiście niezwykły, bezgranicznie i ślepo wierzący w swoje powołanie i zadania życiowe, i posiadający żelazną wolę, potrzebną do ich uskutecznienia. Wszystkie te cechy odnajdujemy w Kolumbie, a jednak podróż jego do odległych wybrzeży Azyi przez ocean niezmierny podziwiać musimy. Zachwyca nas pewność Kolumba, ale zmusza zarazem do szukania przyczyn. Wszak w życiu codziennem zawsze pewniéj, śmieléj kro-

czymy po nieznanéj drodze, gdy wiemy, że inny ją przeszedł, a przynajmniéj przemyślał. Poszukamy więc myślicieli, którzy przed Kolumbem drogę tę uznali za właściwą lub możliwą, śmiałków, którzy, tak samo jak on, nie wahali się zawierzyć niespokojnym falom i w przestworach oceanu szukali odkryć, przygód i sławy. Nie będziemy się téż ograniczać jedynie faktami stwierdzonemi, nie ulegającemi żadnéj wątpliwości, podamy także hypotezy i przypuszczenia, jakiekolwiek istniały w nauce co do Nowego Lądu.

Między Europą a Ameryką od jednego oceanu Lodowatego do drugiego rozpościera się potężne zbiorowisko wód słonych, zwane oceanem Atlantyckim. W głębokiéj starożytności widok tych wód, napozór bezbrzeżnych i bezdennych, napawał człowieka niewypowiedzianym strachem. Przyzwyczajony do słońca i miękkich pieszczot morza Śródziemnego, Pyteas z Marsylii [1]) opowiada z rodzajem strachu zabobonnego, że dostał się do okolicy, „gdzie nie ma ziemi, ani powietrza, ani morza, a natomiast istnieje jakaś mieszanina żywiołów, po któréj człowiek nie jest w stanie ani pływać, ani stąpać.“ Kartagińczyk Himilkon, odważny żeglarz swojego czasu, przyznaje się do tego, że obawiał się puścić na to morze niezmierne wiecznie osute mgłami, gdzie żaden powiew nie popycha okrętu, a w ciemnościach kryję się zdradliwa otchłań. W kierunku południa podróżnych w starożytności powstrzymywała mniemana spiekota pasa gorącego. Biada statkowi, któryby się odważył puścić w kraje południowe! Spalony byłby przez słońce. Takie zdania o oceanie utrzymywały się u najbardziéj znanych uczonych starożytności, jak u Hipparcha, a jeszcze po nim u Strabona, przyrodnika Pliniusza i Ptolemeusza.

Bardziéj jeszcze, niż zimna i nieznośnego gorąca, obawiali się marynarze starożytności potworów, jakiemi bujna wyobraźnia zaludniła ocean. Skały, na których wywierały wściekłość bałwany morskie, w oczach ich były syrenami wabiącemi swoim głosem, prądy unoszące żeglarza były himerami lub hippogryfami, wycie wiatru pomiędzy masztowaniem brali oni za głosy nimf morskich, strzegących swojego państwa i zwiastujących śmiałkom nieuchronną zgubę; meduzy i ośmionogi niekiedy ukazujące się na powierzchni morza w oczach ich przybierały postać ogromnych wężów, gotowych każdéj chwili pochłonąć statek i ludzi. Nic więc dziwnego, jeśli marynarz starożytny trwogi najwyższéj doznawał, powierzając się toni zdradzieckiéj.

---

[1]) Joachim Lelewel. „Pythéas de Marseille et la géographie de son temps.“ Paris, 1836.

Dziwaczne poglądy na kształt ziemi musiały w znacznym stopniu wpływać na powiększenie obaw u starożytnych. Jeśli bowiem ziemia w ich mniemaniu była płaska, a ocean, otaczający ją nie miał granic, żeglarzowi udającemu się w podróż morską, groziło istotnie niebezpieczeństwo niewrócenia już nigdy do brzegów ojczystych.

Przecież na zasadzie faktów twierdzić możemy z pewnością, że obawy przytoczone wyżéj nie mogły wstrzymać od podróży morskich ludzi odważnych; Ulisses przywiązujący się do masztu statku, ażeby nie uledz nawoływaniom syren i rzucający się w odmęt przygód, jest wzorem poglądów, jakie panowały w starożytności. Wprawdzie środki komunikacyjne były pierwotne, ale odwaga i zamiłowanie przygód kazały o tém zapominać.

Zastanówmy się teraz, jaka odległość dzieli nas od brzegów Ameryki. Ażeby o tém nabrać pewnego wyobrażenia, dość jest spojrzéć na globus ziemski, na którym morza i lądy posiadają wielkości odpowiadające rzeczywistym swoim wymiarom: natenczas ocean Atlantyku wyda nam się niewielkim w porównaniu z tajemniczemi obszarami Pacyfiku, jakby kanałem prawie wobec prawdziwego morza, w dodatku mocno zwężonym w trzech okolicach. Pierwsze zwężenie widzimy między przylądkiem Roxo, w pobliżu archipelagu Bissagos, na lądzie afrykańskim a przylądkiem Św. Rocha na wybrzeżu Brazylii; całkowita odległość między temi dwoma punktami wynosi zaledwie 2,800 kilometrów, czyli niewiele tylko przewyższa oddalenie w kierunku prostym Paryża od Niżniego Nowogrodu. Drugie zwężenie znajdujemy między wyspą Valentia, położoną w pobliżu południo-zachodniego wybrzeża Irlandyi, a wschodnim cyplem Labradoru; odległość ta wynosi 3,000 kilometrów, czyli niewiele ustępuje linii prostéj poprowadzonéj od stolicy Francyi do Kazania, albo od Gibraltaru do granicy zachodniéj Egiptu. Ta ostatnia część kotliny Atlantyckiéj wybrana została w najnowszych czasach do ułożenia liny telegraficznéj, łączącéj oba lądy.

Nareszcie Grenlandya, jeśli zechcemy ją zaliczyć do lądu amerykańskiego, w przylądku Barclay na ziemi Scoresby tak dalece zbliża się do Europy w dwóch jéj punktach, a mianowicie do przylądka Wrath w Szkocyi i cyplu Stadland w Norwegii, że tutaj odległość wynosi zaledwie 1,500 kilometrów, co równa się prawie odległości Paryż-Warszawa, lub Paryż-Królewiec. Nadto w przestrzeniach Atlantyku rzucone są jeszcze jakby naturalne mosty w postaci wysp, niezmiernie ułatwiających komunikacye lub przejazdy między pojedyńczemi punktami dwóch przeciwległych wybrzeży Atlantyku. Do takich wysp naprzykład należą wysepki Rocas, Fernando Noronha,

French Soal w środkowéj części Atlantyku, a w północnéj Islandya, archipelagi Feroe, Szetlandzki i t. d.

Pośrodku oceanu, niby strażnica między dwiema częściami świata, sterczy archipelag Azorski odległy od ujścia Tagu o 1,450 kilometrów, a od przylądka St. Johns na Nowéj-Ziemi (New-Foundland) blisko o 2,100 kilometrów. Wyspy te jeszcze bardziéj zmniejszają odległość między Ameryką a Europą.

Czynnikiem fizycznym, który odegrał bardzo ważną rolę w wiadomych nam, tudzież prawdopodobnych wędrówkach ludów z Europy do Ameryki i naodwrót są prądy oceaniczne. Jeden z nich, dziś bardzo dobrze poznany, Gulf-Stream toczy powolnym, lecz nieprzerwanym ruchem wody Atlantyku z głębi morza Karaibskiego i zatoki Meksykańskiéj przez cieśninę Florydzką ku brzegom zachodnim Europy i północo-zachodnim Afryki; od téj ostatniéj prąd Kanaryjski, a w dalszym jego ciągu Równikowy doprowadzają w tym kołobiegu do morza Karaibskiego ilość wody zabraną mu przez Gulf-Stream i t. d. Jedném słowem, w północnéj części Atlantyku istnieje ciągły ruch wody od Ameryki do Europy, w środkowéj naodwrót, a w południowéj znowu wody toczą się od brzegów Patagonii do zachodnich wybrzeży Afryki południowéj.

Mówiąc o wędrówkach morskich, nie należy téż przeoczać wpływu wiatrów i burz, które potrafią wyrządzać niespodzianki żeglarzom. W muzeum w Aberdeen dotychczas przechowują kajak jakiegoś rybaka eskimoskiego, wyrzuconego na brzeg Szkocyi. Nieraz téż inni Eskimosi w sposób przymusowy przebywali drogę z Nowego Świata do Europy. Lescarbot w *Histoire de la Nouvelle France* podaje, że w XVI wieku markiz de la Roche, płynąc łódką wzdłuż wyspy Sable w Kanadzie, zaskoczony został niespodzianie przez wiatr zachodni i w kilka dni przyniesiony do brzegów Francyi.

Prąd zatokowy (Gulfstream) jest wielką, przyrodzoną drogą, łączącą świat nowy ze starym. Drogą tą przybywały od bardzo dawna do brzegów Europy rozmaite materyalne wskazówki, dowodzące istnienia lądu na zachodzie. W ten sposób Kolumb słyszał od pewnego sternika portugalskiego, nazwiskiem Marcina Vincent, że tenże na pełném morzu o 150 mil hiszpańskich na zachód od przylądka Św. Wincentego znalazł sztukę drzewa, szczególnie rzeźbioną, pędzoną przez prąd. W rozmaitych czasach morze wyrzucało na wyspy Azorskie i Maderę drzewo, należące do nieznanych w Europie gatunków i to się najczęściéj zdarzało przy panującym wietrze zachodnim; pomiędzy niemi znajdowały się kawałki trzciny tak duże, że przecinając je od jednego kolanka do drugiego, można było otrzy-

mać beczułki na 9 butelek wina. Razu pewnego na Flores, jednéj z wysp Azorskich, wiatr wyrzucił dwa trupy, których twarze szerokie, miały wyraz całkiem inny, niż Europejczyków. Oczywista rzecz, że szczątki te przynoszone były przez Gulfstream, a w umysłach ludzi takich, jak Kolumb, zostawiały trwałe i głębokie wrażenie. I nigdy olbrzymie rzeki oceaniczne nie przestawały zawiadamiać oba lądy o ich istnieniu, tworzyć spójnię między niemi. Tak naprzykład w roku 1731 statek naładowany winem podczas podróży od Teneryfy do Gomery [1]) zapędzony został przez burzę aż na brzeg wyspy Św. Trójcy; innym razem w r. 1764 mały statek ładowny zbożem z drogi od Lanzaroty [1]) do Teneryfy uniesiony został do wybrzeży Karakasu. Za to szczątki statku angielskiego, zgorzałego w pobliżu Jamajki znalazły się kiedyś przy brzegu Szkocyi. Vieira, historyk wysp Kanaryjskich, donosi, że nieraz owoce i nasiona właściwe wyspom Antylskim bywały przynoszone przez prądy do brzegów wyspy Żelaznéj i Gomery. Za naszych dni Gulfstream składa na wybrzeżach Irlandyi, Hebrydów i Norwegii nasiona roślin podzwrotnikowych takich, jak *mimosa scandens*, *guilandina bonduc*, lub *dolichos urens*. Humboldt w Santa Cruz na Teneryfie znalazł świeży pień *cedrela odorata* okryty korą i porostami, niewątpliwie pochodzący z wybrzeża Parii, albo Hondurasu. Widziano nieraz w Norwegii na brzegu beczki z winem francuskiém w dobrym stanie, a pochodzące ze statków rozbitych na morzu Antylskiém. A nawet znaleziono razu jednego między niemi baryłkę z olejem palmowym, pochodzącą z okrętu rozbitego pod przylądkiem Lopez w Kongo, która więc dwa razy przebyła ocean, najpierw od wschodu na zachód, a potém drugi od zachodu na wschód,—dzięki prądowi Równikowemu, a potém Gulfstreamowi.

Temi faktami chcieliśmy jedynie dowieść, że od czasów najdawniejszych marynarze mogli zostać porwani przez prąd oceaniczny i pomimowoli wyrzuceni na brzegi nowego świata. Co prawda, faktycznych dowodów na to wiele nie mamy, przyznać téż trzeba, że człowiekowi żywemu nie łatwo jest przebyć tak wielką przestrzeń; jednakże podania i kroniki zapisały kilka wypadków zapędzeń z Ameryki do nas. Przypomnijmy sobie, że odkrycie Brazylii w wieku XVI-ym przez Alvareza Cabrala, zawdzięczamy prądom oceanicznym i wiatrom, które flotę, początkowo dążącą do Indyi, zapędziły do brzegów Ameryki Południowéj.

---

[1]) Wyspy Kanaryjskie.

I.

Spróbujmy teraz rozważyć prawdopodobieństwo odwiedzenia Ameryki przez ludy starożytne—Fenicyan, Greków i Rzymian.

Narodem powołanym niejako w starożytności do odbywania dalekich wycieczek byli Fenicyanie. Ściśnięci między brzegiem morza a stromym łańcuchem Libanu, który ich zaopatrywał w budulec na okręty, w żelazo i miedź, nie mając podostatkiem zboża, bo ziemia ich ojczysta nie była urodzajna i przeto nie była w stanie wyżywić mnożących się niesłychanie tłumów, Fenicyanie koniecznością losu zmuszeni byli do emigracyi. Na lądzie usadowiły się inne ludy, Asyryjczycy, Egipcyanie, Persowie, którzy im bronili przystępu do swoich siedzib—pozostawało więc jedno morze, wolne i niezajęte przez nikogo. Wkrótce téż ludek, pogardzany przez sąsiadów, okrył gęsto brzegi morza swojemi koloniami, posunął się aż wgłąb Baltyku i zatoki Perskiéj, opłynął Afrykę na długo przed Gamą, a kto wié, czy nie nawiedził Ameryki przed Kolumbem. W dziełach pisarzy i poetów greckich i rzymskich przechowały się wzmianki o dalekich podróżach Fenicyan i o ich bytności za słupami Herkulesa.

Wyłączność swojego panowania na morzu Fenicyanie starali się utrzymać przez rozpowszechnianie niestworzonych, a przerażających bajek o niebezpieczeństwach morskich, o potworach i t. p., następnie przez zachowywanie głębokiéj tajemnicy co do celu swoich podróży. Sami Fenicyanie stawili śmiało czoło tym wrzekomym niebezpieczeństwom. Przed Homerem już powstało kilka kolonii fenickich za cieśniną, a potém wzrost ich był tak szybki, że 300 miast okryło, jakby pod wpływem sztuki czarodziejskiéj zachodnie brzegi Afryki; przytém nie były to bynajmniéj tymczasowe osady lub faktorye handlowe, ale prawdziwe miasta. Jedno z nich, Lixus, według podań nie ustępowało pod względem znaczenia Kartaginie. Z nich wypływały liczne okręty na dalekie wyprawy; nazwiska dwóch dowódzców przechowała historya: Hannona, który opłynął brzegi Afryki i Himilkona—brzegi Europy. Inni znowu płynęli odważnie na zachód i w tym kierunku poodkrywali wiele wysp, a być może dotarli i do lądu amerykańskiego. Fenicyanie z powodów handlowych nie rozszerzali wiadomości o krajach, z których otrzymywali cenne produkty, stanowiące przedmiot ich handlu, i starali się wszelkiemi sposobami powstrzymać naśladowców (Strabon). W świątyni Melkarta w Kartadze zręczni kupcy obowiązani byli, gwoli pożytku potomności, składać sprawozdania o swoich podróżach; był to rodzaj dzienników okrętowych, w których roda-

kom wskazane były sposoby uniknięcia niebezpieczeństw i rynki handlowe. Na nieszczęście, cenne te pomniki wiedzy fenickiéj zaginęły w owym dniu, gdy padła Kartaga pod ciosami Rzymian i wszystkie jéj gmachy uległy zniszczeniu i pożodze.

Czy nie ma jednak w saméj Ameryce jakich dowodów lub śladów bytności Fenicyan? Gdy w XVI-ém stuleciu konkwistadorowie hiszpańscy i inni wylądowali w Meksyku, Peru i wielu innych okolicach nowego lądu, cieszących się stosunkowo wysoką cywilizacyą, krajowcy witali ich prawie jak braci spodziéwanych oddawna. Istotnie, wszystkie podania amerykańskie wskazywały jako kolébkę przodków Wschód, czyli świat stary, nie zaś Zachód czyli Azyę. Cesarz meksykański, Montezuma, witał Korteza i jego towarzyszy, jako potomków téjże rasy wschodniéj, z któréj sam on pochodził. W podobny zupełnie sposób przemawiał Montezuma i do swojego ludu, chcąc go namówić do przyjęcia poddaństwa Karola V-go. Tradycye Meksykanów jednomyślnie opisywały owych cudzoziemców przybyłych z królem, jako białych, brodatych ludzi, bardzo przemysłowych i mających wrócić do nich pewnego dnia, aby ich podbić.

Jedno z podań meksykańskich głosi, że czarno ubrani cudzoziemcy pod wodzą niejakiego Quetzalcohuatla niegdyś przybyli od wschodu i podczas swojego pobytu w Ameryce nauczyli tubylców rzemiosł, których ci nie znali, poczem zniknęli, obiecując swój powrót. Podania takie znaleźć można z małemi odmianami we wszystkich państwach Ameryki środkowéj. Musiały one zostawić głębokie ślady w wyobraźni ludowéj, skoro za pierwszych dni swojego krwiożerczego napadu, Hiszpanie mogli być brani za potomków legendarnego Quetzalcohuatla. Dopiéro długie lata okrucieństw, popełnianych przez konkwistadorów, rozczarować miały tubylców. I obecnie jeszcze wierzenie to nie wygasło w ich pamięci tak dalece, że za efemerycznego panowania austryackiego postarano się młodego, o bladém obliczu i długiéj brodzie człowieka, przybywającego od strony wschodniéj, przedstawić jako tego właśnie, który miał ziścić ich złudne nadzieje. Jakiż więc był to kraj wschodni, z którego wyszli Quetzalcohuatl i jego towarzysze? Czarny ich ubiór, zarost i cera zgadzają się z cechami Fenicyan z Gadesu, który jest dzisiejszym Kadyksem, Kassyterydów, które zdają się być wyspami Azorskiemi. Cały szereg autorów, których tu nie będziemy wyliczać, jest zdania, że lud ten żeglarski był w stanie dokonać przebycia Atlantyku.

Zwrócić musimy uwagę na pewne podobieństwa, jakie zachodzą między przemysłem fenickim a amerykańskim. Wiadomo, że Fenicyanie wsławili się przez swoje prace górnicze i metalurgiczne: na

Tasos, Samotracyi i w Hiszpanii,—wszędzie Fenicyanie umieli ciągnąć korzyści z bogactw mineralnych. Oni głównie umieli nadawać metalom kształty urozmaicone i delikatne; przypomnijmy sobie owe arcydzieła, wykonane z rozkazu Salomona przez Fenicyan w świątyni Jerozolimskiéj. Zachwycano się w starożytności kubkami sydońskiemi i naramiennikami złotemi lub srebrnemi, sadzonemi bursztynem i drogiemi kamieniami z Tyru.

Gdy przeniesiemy się do Ameryki, łatwo odnajdziemy tam tę samą zręczność w obrabianiu metali i w sposobach do tego użytych. Mieszkańcy Gwatemali i Meksyku odléwali ze srebra półmiski, ryby okryte łuską i ptaki pierzem, posągi puste wewnątrz. Pomiędzy podarunkami, ofiarowanemi przez Inkę Atahualpa Hiszpanom Pizarra, miała się znajdować grupa odlana ze złota, wyobrażająca pasterza otoczonego owcami, pięknie wykończona, złote dzidy, posągi kobiét i t. p. Jeszcze i teraz przechowują się w muzeach amerykańskich i w kilku zbiorach europejskich okazy waz emaliowanych i wyroby jubilerskie przedziwnie wykończone. Nareszcie tubylcy znali sposób hartowania miedzi, widać to ze znajdowanych od czasu do czasu broni i brzytew miedzianych, doskonale wyostrzonych, sięgających odległéj starożytności.

Jakiż więc naród nauczył Amerykanów sztuki posługiwania się metalami? Pod tym względem podania ich są jednozgodne: był to naród obcy, wysoko stojący w cywilizacyi, o którym jednakże pamięć zaginęła. Tak naprzykład w epoce podboju hiszpańskiego, Karaibowie nie umieli już żłobić w skale krypt i ogromnych podziemi, jakie Hiszpanie na ich wyspach znajdowali. Mieszkańcy Haiti nie umieli zdać sprawy Bartłomiejowi Kolumbowi z olbrzymich kopalni, znajdowanych na ich wyspie. Tyle tylko wiedzieli, że ich przodkowie korzystali z nauki cudzoziemców wielce przemysłowych, ale już zapomnieli nazwy tych przybyszów i tajemniczych ich sposobów.

Wiadomo, że Fenicyanie byli bardzo zręcznymi ceramistami i nieporównanymi farbiarzami, otóż oba te przemysły kwitnęły w Ameryce. W zbiorach starożytności amerykańskich, zestawionych pracą i staraniem dr. Bastiana w berlińskiém *Museum für Erdkunde*, u ks. d'Ossuna w Madrycie podziwiać można cudowną zręczność garncarzy amerykańskich. Wiele ich statuetek z terrakoty, wiele waz może dobrze wytrzymać porównanie z głośnemi wyrobami ceramiki greckiéj lub etruskiéj. Dzisiaj umiejętność ich, zdaje się, zaginęła. Wystarczają im formy zużyte, już nie mają pomysłowości, jaka ożywiała niegdyś twórców cudownych arcydzieł, słusznie podziwianych na zjazdach amerykanistów w Madrycie, Berlinie i Paryżu; wszyscy

za to mówią z dumą o swoich dawnych mistrzach i co dziwna, zawsze utrzymują, że mistrze ci byli cudzoziemcami. Co się tyczy tkanin barwionych, to oparły się one działaniu czasu. Wstęgi, w które owinięte były mumie znalezione w nekropolu Ankonu a obecnie złożone w berlinskiém muzeum etnograficzném, zda się, dopiéro co wyszły z pracowni farbiarskiéj. Konkwistadorowie XVI wieku zachwycali się trwałością i połyskiem tkanin meksykańskich i peruwiańskich. Za dni naszych jeszcze tubylcy przechowali sekret wyrabiania materyi o barwach pstrych, przypominających παμποίκιλα πέπλα kobiét sydońskich, wychwalane prze Homera; zdaje się więc, że rzemieślnicy amerykańscy z ojca na syna przekazują sobie sposoby, których wynałeść nie umieli, tylko naśladować.

Pytanie się teraz nastręcza: jeśli Fenicyanie istotnie znali Amerykę, dlaczegóż w niéj nie utrwalili swojego panowania? dlaczegóż, górując swoją cywilizacyą nad krajowcami, nie zapragnęli zjednoczyć ich w jedno wielkie państwo, w jeden naród pod swojém zwierzchnictwem i poprzestali na nauczaniu ich? Lecz kupcy w ogóle nie wiele zajmują się polityką, a nadto odkrywcy ci, jeśli na prawdę istnieli, musieli być z konieczności nieliczni. Zresztą, gdy rasa zdobywcza osiedla się w pewnym kraju, to napotyka jakiś geniusz miejscowy niezwyciężony, który wkrótce oddziaływa na przybyszów i po upływie lat niewielu zamienia ich w krajowców. Liczba jest siłą i po upływie pokoleń zwyciężeni podbijają zwycięzców. Czyż nie w ten sposób Norwegowie we Francyi stali się Francuzami, a Tatarzy w Chinach Chińczykami? Taką była bezwątpienia historya kolonistów fenickich w Ameryce: wkrótce stali się oni bardziéj amerykańskimi niż ludność otaczająca, zmieszali się z nią i zapomnieli całkiem o swojém pochodzeniu.

Opuszczamy różne hipotezy, dotyczące wrzekoméj wędrówki synów Izraela do Ameryki, bronione gorliwie przez kilku pisarzy przeważnie żydowskiego pochodzenia a nie mogące się ostać wobec poważnéj krytyki. Co się tyczy Greków i Rzymian, to niemal z pewnością utrzymywać można, że nie odbywali oni podróży do Ameryki; mieli jednak pewne przeczucia, które poznać warto.

Ciekawą jest geografia starożytnych, ich podania i pojęcia o kształcie ziemi, mórz i lądów, ważnym jest wpływ na bieg pojęć, które doprowadziły do odkrycia Ameryki w wieku piętnastym. Spróbujemy dać krótkie streszczenie pojęć starożytnych wiążących się z naszym przedmiotem.

Podania starożytne egipskie i greckie przekazały nam wiadomość o lądzie na zachodzie po za słupami Herkulesa. Platon w dwóch

swoich dyalogach „Krytyasz“ i „Timeusz“ ustami mędrców greckich opowiada wiele o téj Atlantydzie, o charakterze i zwyczajach ludów zamieszkujących ją a odznaczających się wysoką cywilizacyą i potęgą.

Pośród uczonych w rozmaitych czasach, Atlantyda wywoływała zdania najrozmaitsze: niektórzy, jak neoplatończycy—Longinus, Numerius a po nich wielu innych w wiekach średnich — widzieli w niéj świetny utwór bujnéj wyobraźni filozofa ateńskiego.

Zachowanie się takich pisarzy jak Montaigne, Buffon, Raynal, Voltaire i Saint-Simon pod tym względem jest bierne; raz zaprzeczają, to znowu przystają na możliwość istnienia Atlantydy. Znakomity Humboldt pozostał niezdecydowanym, ponieważ „zagadnienia geografii mitycznéj Hellenów nie mogą być traktowane w ten sam sposób, co zadania geografii pozytywnéj, są to raczéj obrazy zamglone o konturach nieokreślonych.“

Jednakże nie powątpiewali o istnieniu niegdyś tego lądu tacy ludzie jak Strabon, sceptyczny w rzeczach nauki, Pliniusz starszy, Tertullian i bardzo wielu innych; w nowszych czasach Kolumb zaliczał się do gorących obrońców Platona. Nawet w XIX w. znalazło się wielu obrońców Atlantydy.

Plutarch znowu w „*De facie in orbe lunae*“ pozostawił nam wiadomość o lądzie Kronijskim a inny autor Elien wspomina o Meropijskim — na zachodzie. Gdyby sądzić z opisu pierwszego, mogłaby to być Islandya lub Grenlandya, o których zasłyszał albo w pobliżu których przepływał jakiś Grek wędrowny.

Co się tyczy Meropidy, to zbyt nieokreślone są zarysy tego lądu w wyobrażeniach starożytnych, żebyśmy mogli wyrokować o miejscu jego znajdowania się. W obu razach wystarcza nam zupełnie pewność, że starożytni mieli pojęcie o jakichś lądach za oceanem.

Przejdziemy teraz do teoretycznych pojęć, jakie żywili starożytni. Bardzo pospolitym przedmiotem sporów i rostrząsań była kwestya antypodów. „Myśl prawdopodobnego istnienia innéj masy ziemi, powiada Humboldt, oddzielonéj od téj, którą zamieszkujemy, przez obszerną przestrzeń morza musiała się zjawić człowiekowi w czasach bardzo odległych. Jest bowiem wrodzoném niejako marzyć o czémś po za widnokręgiem oceanu; nawet w epoce, gdy ziemię uważano jako powierzchnię płaską albo zlekka wypukłą, wierzono, że po za pasem oceanu homerycznego istniały mieszkania ludzkie, jakaś οἰκουμένη albo lokaloka mytów indyjskich.“ Pytagoras, Platon i Arystoteles wierzyli w istnienie Antypodów na zasadzie kulistości ziemi. Dowody kulistości ziemi widziano w tém, że cień ziemi pod-

czas zaćmienia księżyca na tarczy naszego satelity bywa okrągły i że podczas podróży ku południowi ukazują się coraz to nowe gwiazdy. „Jeżeli więc ziemia jest kulista, dodaje Arystoteles, to można przypuszczać, że druga część kuli albo wyłącznie jest pokryta wodą albo téż, że są tam inne ziemie, posiadające klimat taki jak u nas, inne masy lądowe, w których powtarzają się nasze zjawiska klimatyczne.“

Cyceron potężnym swoim umysłem pojmował również istotny kształt ziemi i to, że mogą istniéć antypodzi a ocean nieprzerwany otacza ląd nasz ze wszystkich stron. Pojęcia te, poparte dowodzeniem bardzo trafném, zawarte są w księdze VI jego pism o „Rzeczypospolitéj.“

Arystoteles w dziele „O świecie“ mówi o wyspach na Atlantyku większych i mniejszych od naszego lądu, chociaż nie zna ich liczby i zapewnia, że ich nie zwiedzał. Eratostenes, bardziéj stanowczy pod tym względem, wskazuje wyspę Kernę i wiele innych po za znanemi. Istotnie uczony bibliotekarz aleksandryjski otrzymywał z rozmaitych stron wiele ciekawych dokumentów, dziś zatraconych, mógł więc ztamtąd wiedzę swoją czerpać.

Wielki geograf starożytności, Strabon, powiada: Po za Ἰέρνη (czyli Irlandyą) znajdują się, być może, inne wyspy, lecz nie ma interesu ich szukać, gdyż hipotezy wystarczają wiedzy... Z punktu widzenia polityki nie ma żadnéj korzyści w zawieraniu znajomości z mieszkańcami tych odległych krajów, szczególniéj jeśli są to wyspy, które dla braku łatwéj komunikacyi nie mogą w niczém nam służyć ani w dobrém ani w złém.“

Jeśli więc pominiemy przesądy i zabobony nieuchronne w ówczesnym stanie nauki, przekonamy się, że już wtedy w umysłach kiełkowała myśl o lądach przeciwległych naszemu. Wyrazicielem najlepszym tych poglądów stał się wielki filozof i dramaturg Seneka w „Medei,“ gdzie znajduje się niemal proroczy ustęp, zauważony przez Kolumba i cytowany po nim nieraz przez Piotra Martyr [1]), Oviedo, Herrerę i wielu innych historyków Ameryki. „Nadejdzie po upływie wieków chwila, gdy ocean przestanie pętami swemi okuwać świat; dla wszystkich otworem stanie wielki ląd; Typhis odkryje nowe kraje a Tule nie będzie już ziemią najdalszą.“

Venient annis saecula seris
Quibus oceanus vincula rerum
Laxet, et ingens pateat tellus,

---

[1]) Piotr Martyr z Aughiera pisarz włoski XVI w.; z dzieł jego bardzo licznych najbardziéj znane są „Dekady“ i „Listy.“

Typhisque novos delegat orbes
Nec sit terris ultima Thule.

Leibnitz utrzymuje, że Seneka w „Medei“ wprost przepowiedział odkrycie Ameryki. Pamiętajmy, że Seneka był Hiszpanem, łatwiéj więc niż kto inny mógł przeczuwać istnienie ziem nowych na przestworach morskich, otaczających jego ojczyznę; nadto żył on w epoce odkryć geograficznych, gdy centuryoni Nerona usiłowali odkryć źródła Nilu, Afryka zaś otwiérała wnętrze swe gorącym poszukiwaniom Korneliusa Balbusa; wtedy król Juba na podstawie rzadkich ocalałych dzieł kartagińskich, pisał komentarze o Afryce. Sam też filozof należał do podróżników i ludzi najświatlejszych swojéj epoki, doskonale znających świat ówczesny: dawne podania fenickie i greckie stopiły się w jego umyśle z nowemi, acz jeszcze ciemnemi odkryciami współczesnemi i dały w rezultacie słynną przepowiednię.

Rzeczą prawdziwie ciekawą jest, że starożytni wierzyli w możliwość komunikacyi między Atlantykiem a morzem Indyjskiém. Według Homera ocean otacza zewsząd ziemię a fale jego ułatwiają stosunki między narodami najbardziéj oddalonymi. Po nim myśl tę z małemi odmianami wyraża wielu innych pisarzy greckich. Herodot a potém Arystoteles sądzą, że jedno jest tylko morze a Indye nie są odległe od słupów Herkulesa. W sposób bardzo już określony i stanowczy wyraża się pod tym względem Eratostenes w jednym z pozostałych po nim fragmentów: „Całe morze zewnętrzne tworzy jedną tylko wielką rzekę; innemi słowy, morze Hesperyjskie [1]) i morze Czerwone stanowią jedno;“ a w inném miejscu: „możnaby się dostać morzem z Iberyi do Indyi, kierując się ciągle wzdłuż jednego i tego samego równoleżnika, gdyby nie przeszkadzała wielkość oceanu Atlantyckiego.“

Geografowie łacińscy z kolei rzeczy odziedziczyli doktrynę grecką, Seneka naprzykład w swoich „Kwestyach naturalnych“ powiada: „Jakaż więc jest istotnie przestrzeń dzieląca Indye od skraju Hiszpanii? Przestrzeń tę niezawodnie okręt przy wietrze przyjaznym mógłby przebyć w dni kilka.“ Zdania takie, jak widzimy, bardzo przesadne i świadczące przedewszystkiém o tém, że starożytni nie mieli pojęcia o rzeczywistéj wielkości ziemi, były wiadome Kolumbowi i musiały na niego oddziałać; przynajmniéj lubiał je przytaczać i stosować do własnych projektów.

Dwa zatém wierzenia — w istnienie lądu za Atlantykiem

---

[1]) Albo Zachodnie, to na jedno wyjdzie.

i w ciągłość oceanu łącznie z bliskością Indyi błąkały się już w umysłach starożytnych. Odrzucane przez jednych, a przyjmowane przez większość, pozwalały one przewidywać możliwość żeglugi od zachodniego skraju Europy i Afryki do Indyi. Wierzenia te, przekazane wiekom średnim, niewątpliwie skłoniły Kolumba do wyprawy, któréj wynikiem było odkrycie Nowego Świata.

Co się tyczy faktycznéj znajomości oceanu Atlantyckiego, to starożytni znali przedewszystkiém wyspy Szczęśliwe (*Fortunatae*) i Hesperyjskie. O pierwszych znajdujemy dość szczegółowe wzmianki u króla Juby, Pliniusza, Ptolemeusza i innych pisarzy starożytności. Ptolemeusz przytacza ich nazwy: Ninguaria, Canaria, Capraria, Pluvialia i Aprositos. Wyspy te są dzisiejszemi Kanaryjskiemi: świadczy o tém ich liczba, nazwa Canaria, która przetrwała wieki i zresztą mnóstwo wskazówek innych, natury topograficznéj i etnograficznéj.

Zupełnie inaczéj rzeczy się mają z wyspami Hesperyjskiemi czyli Zachodniemi. Nazwa Hesperyi przenosiła się w Europie kolejnie coraz daléj na Zachód, w miarę postępowania badań geograficznych. W Afryce najpierw oznaczała wielką pustynię, gdzie Kambyzes utracił swe wojska, późniéj kraj na południu Cyrenaiki. Wyprawa Hannona zaniosła ją daleko aż na wybrzeże Atlantyku nad rzekę Lixus, gdzie Herkules w ogrodach rwał jabłka złote. Wreszcie gdy samijczyk Koleus (Herodot, IV, 152) nieprzestraszony ani bajkami Hezyoda o Gorgonach, ani współzawodnictwem Fenicyan, przekroczył słupy Herkulesa i w imieniu swoich towarzyszy objął ocean Atlantycki w posiadanie, wtedy Hesperya po raz wtóry została odsunięta: już teraz opuściła ląd i przeszła na wyspy. Są to więc wyspy błąkające się i wskazujące jedno tylko: że Grecy i Rzymianie znali w kierunku Zachodu inne wyspy oprócz Fortunatów.

Starożytni wspominają jeszcze o jednych wyspach na oceanie — Satyrydach; Pauzaniasz opisuje nawet krajowców ich jako czerwonoskórych, posiadających ogony; niektórzy chcieli w wyspach tych widzieć Antylle, których mieszkańcy Karaibowie, istotnie chętnie nosili taką ozdobę. Ostatecznie musimy przyznać, że za mało danych posiadamy do rozpoznania starożytnych Satyrydów pośród wiadomych nam wysp na oceanie.

Zdaje się jednak, że noga Greków i Rzymian nigdy nie postała na lądzie amerykańskim. Za to w pismach aż dwóch pisarzy Pomponiusza Meli i Pliniusza napotykamy wiadomość, że morze wyrzuciło na brzeg Germanii kilku Indyan i król Boyów czy Swewów uczynił z nich podarunek prokonsulowi Galii, Metellusowi Celerowi (I-szy

wiek przed Chr.). Stosownie do pojęć geograficznych epoki objaśniano, że byli to Indyanie, którzy dostali się do Europy drogą północną przez opłynięcie naokoło Azyi.

Faktów podobnych dzieje zapisały kilka. Między innemi kardynał Eneasz Sylviusz Piccolomini w „*Asiae Europaeque elegantissima descriptio*, 1531“ opowiada, że za panowania Fryderyka Rudobrodego w r. 1160 do brzegów Niemiec, przybiły zapędzone burzą statki z kupcami indyjskimi. Bembo w swojéj „Historyi Wenecyi” przytacza fakt, że pewien okręt francuski w r. 1508 znalazł w pobliżu brzegów Anglii na morzu statek zrobiony z kory i trzciny a w nim siedmiu ludzi średniego wzrostu, czerwonych, o twarzy dużéj, mówiących językiem niezrozumiałym. Sześciu z nich zaraz umarło, a siódmy, młody człowiek, mógł być przedstawiony królowi Ludwikowi XII, który wtedy znajdował się w prowincyi francuskiéj Maine. Wszystko wskazuje na amerykańskie pochodzenie tych nieznajomych: budowa statku, rysy twarzy, barwa skóry.

W r. 1682 Eskimos wraz ze swoim kajakiem wyrzucony został na południowy brzeg wyspy Eday a w niespełna dwa lata potém drugi na najbardziéj zachodniéj z Orkadów. Jeden z tych statkow wystawiony był długi czas na widok publiczny w Edynburgu, a drugi przechowany w kościele na wyspie Burra, należącéj do tegoż archipelagu.

Podobne zapędzenia na innych morzach, naprzykład na oceanie Spokojnym wcale nie są rzadkością a nawet na zasadzie takich wypadków, utworzona została wielce prawdopodobna teorya zaludnienia wysp Oceanii (patrz Wszechświat r. 1890 artykuł „Zkąd się wzięły ludy Oceanii?“).

Już w XVI wieku historyk Gomara zapytuje: „Kto wié, czy indyanie Metellusa Celeranie byli czerwonoskórcami z Labradoru!“ To samo twierdzi wielu innych historyków i geografów.

II.

Wspomnimy teraz o dwóch pisarzach, którzy niewątpliwie przygotowali grunt do znamiennego wydarzenia wieku piętnastego. Autor „Boskiéj Komedyi“ pośród nich zajmuje wybitne miejsce: mówi on nieraz o innych gwiazdach niż nasze, o lądach nieznanych, o podróżach Ulissesa po morzach rozmaitych i t. p.

Był to autor czytany przez wszystkich i przez Kolumba z prawdziwém upodobaniem. Jednakże pisarzem, który niezaprzeczenie najbardziéj oddziałał na Kolumba, na którego ten ostatni niejednokrotnie powoływał się jako na powagę nieomylną, był kardynał Piotr

d'Ailly, arcybiskup z Cambrai. Dotychczas w Sewilli przechowują egzemplarz „*Imago Mundi*“ kard. d'Ailly, drukowany gotykiem w 1490 r. Na początkowéj i końcowéj karcie odrysowane są i bardzo zręcznie kolorowane sfery armilarne; marginesy wypełnione są uwagami pisanemi tym samym charakterem wytwornym i ścisłym, którym w podobny sposób opatrzoną została podróż Marka Polo i historya Eneasza Sylviusza, uwagi te przypisują Kolumbowi. W liście pisanym w r. 1495 z Haiti do monarchów Hiszpanii, Genueńczyk przytacza całkowite zdanie kardynała w dosłownem tłómaczeniu: „Od bieguna do bieguna morze rozciąga się między ostatnim krańcem Hiszpanii a początkiem Indyi; woda pokrywa trzy ćwierci ziemi. Tak więc ostatnie części wschodu i zachodu bardzo są do siebie zbliżone, ponieważ niewielkie morze je oddziela... Zdaniem niektórych okolica położona między zwrotnikiem zimowym a kołem antarktycznem posiada klimat umiarkowany i tak samo jest zamieszkała jak i nasze kraje. Niektórzy téż utrzymują, że są antypodzi, którzy mogą zajmować pewne okolice i posiadać mieszkania jak i my, i mają zimę, gdy my mamy lato i odwrotnie, mają wiosnę, gdy u nas panuje jesień; lecz nie ma komunikacyi między antypodami a nami z powodu strefy gorącéj i upałów podwzrotnikowych... Zresztą kwestye podobnego rodzaju roztrzygać się powinny nie tyle wyobraźnią ile doświadczeniem i prawdopodobieństwami.“

Tak pisał Piotr d'Ailly i rzeczą jest dla nas zrozumiałą, że jego przeczuwanie nowego świata, bardzo oględnie wypowiedziane, bo przez usta „niektórych,“ nacisk kładziony na niewielkie rozmiary morza, dzielącego Hiszpanię od Indyi, a z drugiéj strony zachęta do doświadczenia, do przekonania się naocznego, musiały wpłynąć na mistyczny i egzaltowany umysł Kolumba.

Cytata Kardynała, „słowa Ewangelii „*et in omnem terram exivit sonus eorum*“ jeszcze się nie dopełniły,“ utkwiła w głowie Kolumba i późniéj gdy odkrycia jego były faktem spełnionym, uważał je tylko za sprawdzenie słów powyższych psalmu XIX.

Wogóle jednak była to chwila, gdy wszystko pogrążone było w oczekiwaniu nowego lądu. Liczne mapy przechowane z owéj epoki najlepiéj świadczą o postępach geografii i o wierze bardzo powszechnéj w istnienie ziemi za oceanem. Nie była jeszcze Ameryka odkrytą a już wieść niejasna i nieświadoma błąkała się we wszystkich umysłach, podobnie jak za dni naszych, choć nikt jeszcze nie zaznał widoku bieguna Północnego, nie wątpimy przecież, że dzień odkrycia zaświta wkrótce.

Po za czystą nauką były jeszcze trzy inne czynniki, które wciąż

wpływały na przyśpieszenie odkryć: były to wyprawy rybaków, rozbójników i misyonarzy.

Odważna ludność nadbrzeżna, któréj zajęciem jedyném było rybołówstwo, puszczała się nieraz tak daleko na morze albo przez burzę była zapędzona, że odkrywała częstokroć ziemie przedtém nieznane. Na szczególną uwagę zasługują wyprawy wielorybników. Zwierzę poszukiwane przez nich lubi wody głębokie i pełne morze a rzadko tylko kiedy odważa się przysunąć do wybrzeża. Chcąc nie chcąc, w nadziei złowienia pięknéj zdobyczy, musieli rybacy dążyć za nim bez wytchnienia; a gdy żywa ta góra usuwała się wciąż przed nimi, rybacy północni pędzili za nią, upojeni szałem łowieckim, nie bacząc na oddalenie od brzegów rodzinnych i nieraz wtedy odkrywali nowe wyspy. W ten sposób bezwątpienia odkryte zostały wszystkie wyspy północne między Wielką Brytanią, Skandynawią i Grenlandyą, sama Grenlandya i być może nawet Ameryka. W podobny zupełnie sposób przyczynili się do rozszerzenia zakresu wiedzy geograficznéj korsarze skandynawscy, którzy podczas rozbójniczych wypraw nieraz natrafiali na ziemie nieznane.

Bodźcem innego rodzaju, niemniéj jednak potężnym, była gorliwość religijna. Opanowani żądzą zjednywania dla wiary Chrystusowéj jak najwięcéj zwolenników, wsiadali misyonarze na łodzie i śmiało puszczali się w podróż.

Przed św. Bonifacym mało znano Germanię, przed Ansgarym — kraje północne. Świeży przykład Livingstone'a, tego apostoła Afryki wewnętrznéj, przekonywa nas dostatecznie o znaczeniu ducha prozelityzmu dla geografii.

A po za temi trzema czynnikami istnieje jeszcze jeden, bardziéj ogólny. Jest nim cecha, zdaje się, właściwa, całéj ludzkości, marzenia o czémś po za widnokręgiem. Dziecko chciałoby wiedziéć co się kryje po za górami, ścielącymi się na widnokręgu, odgadnąć nieznane kraje, które przeczuwa po za liniją lazurową morza. Narówni z dzieckiem uczucia tego doznaje i człowiek dorosły — marynarz, rozbójnik i rybak. Nieświadomą zatém dążność ludzkości do szukania czegoś nieznanego musimy zaliczać do przyczyn, które spowodowały wielkie odkrycia wieku piętnastego.

Wypada dotknąć jeszcze jednéj kwestyi, mianowicie owych wysp fantastycznych, które na mapach średniowiecznych figurują pod nazwami św. Brandana, Siedmiu miast, Antylii i Brazil. Starożytni mieścili na zachodzie swój raj, na wyspach Szczęśliwych albo Fortuna-

tach, chrześciaństwo bardzo wcześnie zajęło się miejscem pobytu swoich wybrańców. Bezbrzeżny ocean z niewiadomemi wyspami wydał się im odrazu bardzo odpowiednim do pomieszczenia raju ziemskiego. Sprawa ta dziś wydaje nam się obojętną; ale przenieśmy się myślą do owéj epoki wiary gorącéj i nie rozumującéj a urok tajemnicy, wtedy tak potężny, udzieli się i nam. Niewolnik zgięty pod jarzmem, żołnierz, umierający od szabli niewiernych, mnich rozmyślający i marzący — wszyscy wtedy wznosili swe myśli do świata lepszego, a nieznanego, który kochali tak, jak się kocha nadzieję. Istotnie długo utrzymywała się wiara w istnienie na naszéj ziemi raju. Św. Bonawentura i św. Tomasz z Akwinu opisywali go z zachwytem; pierwszy z nich umieszczał go pod równikiem zdala od okolic zamieszkałych, tutaj też znajdujemy go na jednéj ze słynnych map katalońskich z roku 1375. Dante widzi raj w kraju Antypodów Jerozolimy. Kolumb był pewien, że wielka masa wody, którą spotkał w zatoce Paria pochodziła z ogromnéj rzeki rajskiéj, o któréj wspominały pisma ojców kościoła. I Vespucci podzielał to zdanie, za nim Acosta i inni.

Jednakże nie tylko raj ziemski zajmował kartografów średniowiecznych, chodziło jeszcze i o miejsce pobytu niektórych świętych pańskich, dla nich więc na mapie średniowiecznéj zjawia się wyspa lub wyspy św. Brandana zawsze na zachodzie, choć w punktach zmiennych. Na mapie Marcina Behaima widzimy je na zachodzie Azorów z napisem takim: „W r. 565 po Chr. św. Brandan przybył na tę wyspę, gdzie ujrzał wiele rzeczy cudownych i po upływie siedmiu lat pobytu wrócił do swojego kraju.“ Nie cofnął ich na swojéj mapie z miejsca tego Sebastyan Cabot w 1544 ani Merkator ze swojego atlasu 1569; jeszcze w 1755 Gautier umieszczał ją pod 5° na zachód od Ferro i pod 29° szer. półn. Trudno w to wierzyć, ale w wieku XIX wyspa jeszcze istnieje na mapach tułając się z miejsca do miejsca.

Uporczywość w utrzymywaniu téj mrzonki geograficznéj sprawiła, że uwierzono w nią i zaczęto poszukiwać na oceanie. Moglibyśmy zacytować cały szereg wypraw posyłanych na morze jedynie z celem odnalezienia téj wyspy, unoszącéj się ciągle w marzeniach żeglarzy, poświadczanéj nieraz przez wyspiarzy Madery, Kanaryjskich i t. d. Widziadła tego szukano jeszcze po Kolumbie. Portugalczycy po przybyciu do Ameryki sądzili, że świętą wyspę już odnaleźli. Jeszcze w 1721 r. gubernator wysp Kanaryjskich don Juan de Mur, wyprawia na morze okręt z poleceniem poszukiwania wyspy św. Brandana; okręt jednak długo błądził po oceanie i wrócił z niczem, choć aż podczas podróży nie tracił nigdy podobno wyspy z oczu.

Wyobraźnia średniowieczna nie zadawalniała się jedną tylko

wyspą św. Brandana na morzu. Inna legenda chrześciańska, mająca ogromny rozgłos w ciągu wieków średnich podaje, że w chwili podboju Hiszpanii przez Arabów, po bitwie pod Xerez de la Frontera, siedmiu biskupów pod dowództwem jednego z pośród siebie arcybiskupa z Porto puściło się na morze w towarzystwie owieczek i po długiéj żegludze wylądowali na wyspie, gdzie též osiedlili się a okręt spalili. Każdy z nich założył sobie oddzielną osadę, ztąd nazwa wyspy „Siedmiu miast“ (*Sette cidades*). Nie pominął jéj na swojéj słynnéj mapie świata, rysowanéj w r. 1492 w Norymberdze i opatrzył odpowiednim napisem Marcin Behaim. Wyspa ta długi czas błąka się na mapach i również jak wyspa św. Brandana od czasu do czasu staje się przedmiotem poszukiwań marynarzy a nawet darowizn królewskich. Po odkryciu Ameryki, znajdowała się jeszcze na planisferze Henryka II i na mapie Merkatora z r. 1569.

W XVI wieku *Sette cidades* przenosi się na ląd i ciągle jest jeszcze poszukiwaną pod nazwą czarodziejskiéj miejscowości Cibola w Kalifornii i w porzeczu Rio del Norte.

Nareszcie na oceanie Atlantyckim błąkała się długi czas jeszcze jedna mrzonka geograficzna — wyspa Antylia. Jeśli mamy wierzyć zapewnieniu Behaima, wyspa ta dopiéro od roku 1414, gdy pewien okręt hiszpański miał się do niéj zbliżyć i przyniósł o tém wiadomość do Europy, istnieje na mapach. W wieku XV pozycya jéj się ustala zupełnie tak dalece, że matematyk florencki Toscanelli w liście do Kolumba już pisał o Antylii, jako o kraju znanym; na mapie podarowanéj przez niego Kolumbowi, Antylia była stacyą pośredniczącą na drodze z Lizbony do Indyi. Mapa ta na nieszczęście zaginęła i stało się wprost niepodobnem odnaléźć wyspy na zasadzie odległości podanéj przez uczonego florenckiego. Na mapie Behaima, wyspa ta położona jest pod 33° dł. zachodniéj. Gdzież więc należy szukać téj fantastycznéj wyspy? Bo ani wyspy Kanaryjskie, ani Azorskie i Madera swojém położeniem nie odpowiadają jéj, zresztą znane były dobrze w wiekach średnich. Przypuszczano na chwilę, że mogła być to Ameryka, po odkryciu któréj Antylia znika z map. Jest o wiele pewniejszém, że pod tą nazwą kartografowie średniowieczni rozumieli wyspy prawdopodobne na oceanie. Była to Hesperya wieków średnich, cofając się jak tamta w starożytności przed odważnymi badaczami i marynarzami. Był to więc myt geograficzny, w który jednak przestano wierzyć znacznie prędzéj niż w wyspę święgdo Brandana. Tylko, rzecz szczególna, żadna ziemia nie nosi imienia świętego irlandzkiego, kiedy Antylią nazwano

wspaniały archipelag wysp otaczających niby wieńcem morze Meksykańskie.

Przez ciąg wieków średnich błąkała się na mapach w okolicy Atlantyku północnego tajemnicza wyspa zwana Man Satanaxio albo Ręka Szatana. To znowu inna fikcya średniowieczna — była ona spowodowana chęcią znalezienia na ziemi siedliska ducha ciemności. Przez ciąg wieków średnich na północy Atlantyku w krainie zimna i lodów umieszczane było piekło.

Pośrodku Atlantyku mapy średniowieczne rysują wyspę fantastyczną Berzil albo Brazil i przytem zazwyczaj na zachodzie od Hiszpanii [1]); znajdujemy ją jeszcze na mapach Orteliusa i Merkatora w 1587. Pamięć o téj błędnéj wyspie przechowała się do dnia dzisiejszego w nazwie skały podwodnéj Brazil Rock na zachód od najbardziéj zachodniéj kończyny Irlandyi (patrz mapę Stielera r. 1867), oraz przywiązaną została na wieki do ogromnego państwa, stanowiącego blisko połowę lądu południowo-amerykańskiego.

III.

A teraz od rzeczy prawdopodobnych, od marzeń i hypotez starożytnych i średniowiecznych przejdziemy wprost do faktów, do odkryć rzeczywistych, które naprawdę poprzedziły odkrycie Kolumba i do jego poprzedników prawdziwych. Przedewszystkiém na zasadzie faktów i dowodzeń, których tu nie mamy potrzeby rozstrząsać, odrzucić musimy hipotezę odwiedzenia Ameryki przez Arabów, którzy tak dalekich podróży na Atlantyk nie odbywali.

Irlandya w wiekach średnich była nietylko krajem świętych ale i podróżników. „Liczny naród porusza się tam, pisał o nich Avienus w IV wieku po Chr., naród mający umysł niezależny i energiczny. Wszyscy wyłącznie oddani są handlowi, przebywają morza w łódkach zrobionych z drzewa sosnowego lub jodłowego albo ze skóry. Po przyjęciu przez Irlandyę chrześciaństwa istna gorączka opanowywa synów Erynu. Poczynając od VI wieku, szukają oni światów nieznanych, w których mogliby szerzyć wiarę świętą. Walafried Strabon powiada o tych żarliwych mnichach: „zwyczaj podróżowania stał się u nich drugą naturą," a ktoś ze współczesnych charakteryzuje ich w sposób zarówno dosadny, jak ironiczny: „Cóż rzec o Irlandyi, która gardząc niebezpieczeństwami oceanu, prawie cała emigruje wraz ze stadami swoich filozofów i schodzi na nasze wybrzeża?" To święty

---

[1]) Mapa Andrzeja Benincasa z r. 1476 w wydaniu Lelewela.

Kolumban i jego uczniowie uorganizowali owe gromady irlandzkich filozofów w bractwa; pod nazwą *Papae* (niem. *Pfaffe*, słow. *pop*, mag. *pap* i fiń. *pappi*), czyli klerycy, ubrani w białe szaty, może emblematycznie w ten sposób wyrażając łączność swą duchową z patronem Irlandyi, krążyli oni po morzach: Baltyckiém, Śródziemném, wszędzie zresztą po całéj Europie barbarzyńskiéj.

Już z czasów Irlandyi pogańskiéj istnieją podania, z których domyślać się można, że znany był Irlandczykom świat zaatlantycki i że były w tym kierunku przedsiębrane wyprawy (bohaterowie: Kondla, Leoger, Fionn i Ossyan). Kroniki średniowieczne opowiadają o podróżach św. Brandana, Mernoka i Machutusa; napozór są to bajeczne opowieści, ale na dnie ich kryje się prawda, że Irlandczycy puszczali się na ocean, zwiedzili mnóstwo wysp położonych w sąsiedztwie lądu amerykańskiego a zapewne byli i na lądzie. Podróże kleryków „*papae*" na zachód i północo-zachód noszą cechy autentyczności już od wieku VII-go. Z czasów pobytu Irlandczyków w klasztorze Jona na Hebrydach, kroniki zapisały kilka podróży morskich, z których oprócz rozmaitych a bajecznych szczegółów, przywieziono ogromny liść, nasuwający myśl pochodzenia z krajów podzwrotnikowych; liść ten długi czas przechowywany był w klasztorze na pamiątkę. Jeden z mnichów irlandzkich Dicuil, w zajmującym w traktacie geograficznym „*De mensura orbis terrae*," opisuje cały szereg odkryć dokonanych przez papów.

Irlandzcy klerycy napastowani na Orkadach i wyspach Szetlandckich przez Normanów popłynęli do archipelagu Feroe i tam się osiedlili. Wkrótce jednak korsarze normandzcy wyrugowali ich i ztąd; wówczas papowie, według słów Dicuila, poszukać musieli nowych siedzib i nowych krajów, gdzie mogliby szerzyć wiarę i znaléźć spoczynek; sądząc daléj z opisu Dicuila, nie ma żadnéj wątpliwości, że krajem tym była Islandya (Thule). Oto co pisze kronikarz irlandzki: „30 lat temu klerycy (papae), którzy przemieszkiwali na téj wyspie od kalendów lutowych aż do sierpniowych, opowiadali mi, że nie tylko podczas letniego przesilenia ale i na kilka dni przed niém i po niém słońce na krótko tylko chowa się pod poziom, tak że ciemność trwa wogóle bardzo niedługo. Widzi się dość wyraźnie aby módz oddawać się rozmaitym czynnościom, naprzykład szukać pcheł na własnej koszuli jak za dnia białego; prawdopodobnie téż ze szczytu góry nie dostrzeżonoby zachodu słońca. Skłamali ci, którzy pisali, że wyspa ta otoczona jest zewsząd lodami, ponieważ wspomnieni klerycy żeglowali ku niéj w czasie największego zimna i jednak mogli na niéj wylądować... Prawdą jest, że o jeden dzień żeglugi daléj ku północy, znaleziono mo-

rze zamarzłem.“ Widzimy ztąd, że papowie byli dość przedsiębiorczego umysłu i że gdyby nie nieprzebyty wał lodów, o który rozbiło się tyle heroicznych wysiłków, zaczynając od Pytheasza a kończąc na Weyprechcie i Greely, ponieśliby oni swoje apostolstwo i po za Islandyę. W kierunku północy Islandya musiała pozostać ich ostatniém stanowiskiem.

Gdy ich prześladowcy Normanowie wylądowali na *ultima Thule* około ostatniéj ćwierci IX wieku, „*papae*“ musieli i z tamtąd przed nimi ustąpić, może nie chcąc pozostawać z poganami; posłuchajmy co o tem mówią zupełnie wiarogodne sagi islandzkie. „Byli tam chrześcianie, których Norwegowie nazywają *papae*; lecz oddalili się, nie chcąc przestawać z poganami; po sobie zostawili książki islandzkie, dzwony i pastorały — z czego można wnosić, że byli irlandczykami.“ To samo potwierdza księga własności ziemskiéj *Landnamabok*. Jestto historya genealogiczna niewątpliwa i zupełnie wiarogodna głównych rodzin islandzkich od X do XIII wieku, ułożona została przez Are Thorgilssona przezwanego Frodhe albo Uczonym (1067—1148) i uzupełniona później przez pięciu innych kronikarzy.

I znowu klerycy irlandzcy, podobnie jak ongi Fenicyjanie przed Grekami, ustąpić musieli przed Normanami: wsiedli na swoje currach'y i popłynęli ku południowi, bo ku północy droga była zamknięta i po wielu przygodach, burzach i rozbiciach wylądowali w Ameryce, w kraju, który oni nazwali *Irland it Mikla* [1]) a Normanowie *Hvitra mannaland*.

Nie wdając się w przytaczanie innych świadectw wyjętych z kronik islandzkich, nie ulegających wątpliwości, powiemy, że istnienie Wielkiéj Irlandyi, czyli odkrycie Ameryki przez Irlandczyków uważać dzisiaj należy za fakt dowiedziony historycznie. Co się tyczy położenia tego kraju, to z bardzo starannych badań tekstów kroniki i dzielnéj argumentacyi p. Beauvois wynika, że Irland it Mikla znajdowała się albo na New-Foundland albo na południowym brzegu rzeki św. Wawrzyńca, między Hellulandem (Labradorem) a Winlandyą (stany Nowo-Jorkski, Rhode Island i Massachussets).

Na korzyść odkrycia Ameryki przez Irlandczyków przemawia ten bardzo ważny wzgląd, że pierwsi misyonarze w Kanadzie w XV wieku znaleźli wyraźne ślady chrześciaństwa. Franciszkanin Le-Clerq, który 12 lat spędził w Gaspezyi albo Hvitramannalandyi

---

[1]) Na kwestyę tę rzucił światło największe Beauvois „Découvertes du Nouveau Monde par les Irlandais et premières traces du christianisme en Amerique avant l'an 1000“ (Congrès américaniste de Nancy 1875) str. 273.

i miał sposobność doskonale poznać zwyczaje i podania krajowców, po przybyciu do Francyi pisał co następuje: „Dzicy ci posiadają kult i użytek religijny krzyża, co mogłoby oznaczać, że ludy te dawniéj już zabrały znajomość z Ewangelią i Chrześciaństwem ale przez niedbalstwo i libertynizm przodków zapomniały o tém... Chociaż niewierni, krzyż mają w wielkiém poszanowaniu: wyobrażenie jego noszą na ubraniu i ciele; podczas podróży morskich i lądowych trzymają go w ręku i rysują wewnątrz i zewnątrz swoich chat, jako znak honorowy, odróżniający ich od innych plemion Kanady.“

Gdy Jakób Cartièr w r. 1534 zatknął krzyż na brzegu Kanady, krajowcy znakami dawali mu do zrozumienia, że symbol ten nie jest im obcy i że wiele krzyży u nich samych się znajduje. W epoce Jana Alfonsa w 1542, tubylcy mieli podobno jeszcze w użyciu wyrazy łacińskie a w 1602 podróżnik francuski Champlain nad zatoką Fundy znalazł krzyż drewniany pokryty mchem i prawie zgniły, krajowcy zaś zachowywali się zupełnie zgodnie z tém, co opisuje Le-Clerq. Był to więc, rzecz oczywista, kraj o ktorym Lescarbot historyk Nowéj Francyi, nie wahał się pisać, że mieszkańcy tamtejsi pochodzą od ludzi, którzy kiedyś byli uczeni w wierze jednego Boga.

Przechodzimy z kolei rzeczy do Normanów. Ze wszystkich narodów Europy w wiekach średnich, żaden nie dokonał tylu wypraw awanturniczych, ile ci ludzie północni. Usposabiał ich do tego żywioł otaczający ich kraj ze wszystkich stron, wdzierający się strugami wąskiemi w niezliczone fiordy Skandynawii. Tak bliskie sąsiedztwo morza skierować musiało cały naród w stronę zajęć z niém styczność mających. Już Tacyt zauważył, że okręty Normanów były mocne i dobrze zabezpieczone od fal; kształtem różniły się od rzymskich, bo kiedy te ostatnie posiadały jeden tylko dziób, normandzkie zaostrzone były z obu stron i w razie przybicia do brzegu, lub téż zetknięcia się ze statkiem nieprzyjacielskim o wiele były sprawniejsze do obrony i napaści; przytém odznaczały się wielkością.

Normanowie zręcznie kierowali okrętem, umieli korzystać ze zmian atmosferycznych i przewidywać zbyt gwałtowne burze; dobrymi byli marynarzami i żołnierzami i lepiéj niż inni przygotowani do dalekich podróży. Szczególniéj na schyłku IX wieku, na krótko przed zaprowadzeniem chrześciaństwa na północy Europy, gdy na półwyspie dokonaném zostało dzieło zjednoczenia przez Haralda Haarfagera (865 — 933), wylewy Skandynawów na wszystkie strony były najsilniejsze. Uciekając z pod władzy absolutnéj króla, rycerze północy rzucili się do wypraw morskich i do odkryć zupełnie nieprzewidzianych. Jedni łupią Anglię, Irlandyę i Hiszpanią, drudzy niszczą

brzegi Francyi i utrzymują się w jednéj z najbogatszych prowincyi, ci znowu dostają się na morze Śródziemne a tamci na Białe, idą za górnym brzegiem Dźwiny i Wołgą dochodzą do morza Kaspijskiego. Aż w porcie Pireus znaczą swojemi głoskami runicznemi boki jednego ze lwów, który późniéj ozdabiać miał arsenał Wenecyi.

Rybołóstwo i handel łącznie z korsarstwem były głównemi pobudkami ich odkryć w kierunku północo-zachodnim; obfitość ryb w morzach północy pociągnęła Normanów do odkrycia jednéj po drugiéj wszystkich wysp położonych między brzegami Skandynawii a Ameryką. Wyspy te stały się dla nich tém czém była Kartagina dla Fenicyan na drodze do Gadesu, a ten ostatni na drodze do wysp atlantyckich. Dzięki licznym wyczerpującym pracom ostatnich czasów, wyjaśniły się dzisiaj szczegóły dotyczące tylu odkryć. W krótkim stosunkowo czasie wyspy Orkadzkie, Szetlandzkie i Hebrydzkie, dzięki swoim doskonałym portom, chociaż jałowe, stały się wyśmienitemi gniazdami rozbójniczemi dla Normanów. Wyspa Man i Irlandya również zostały przez nich podbite. Po roku 725 widzimy Normanów na Feroe, gdzie ludność miejscowa została przez nich doszczętnie wymordowana; garstka Irlandczyków szukała ocalenia na morzu.

Rok 861 przynosi następującą nowinę. Korsarz Naddod w drodze do Feroe popchnięty został w stronę północo-zachodnią w sąsiedztwo ziemi białéj, okrytéj śniegiem, któréj dlatego dał nazwę Snoelandyi. W dwa lata późniéj inny rozbójnik morski Szwed Gardar podczas podróży do Hebrydów, został rzucony przez burzę do Snoelandyi, spędził tu zimę, przez ten czas zbadał, że była to wyspa i nadał jéj nową nazwę Gardarsholm. W kilka lat po nich, słynny rozbójnik Floki Rafu udał się na poszukiwanie Gardarsholmu; znalazł go i zapewne pod wpływem trwogi na widok z jednéj strony ziejących ogniem gór wewnętrznych, z drugiéj lodów pływających naokoło wyspy, nadał jéj nazwę Icelandu, czyli Islandyi, która się ostatecznie utrzymała. W roku 874 Normanowie Ingolfi i Hjorlaf wstępując na wyspę, wrzucili do morza święte słupy wyjęte z domu rodzinnego w Norwegii na znak, że obejmują wyspę w posiadanie w okolicy obecnéj Islandyi Reykiawick. Odtąd liczni koloniści norwescy osiedlali się tu i utworzyli rodzaj rzeczypospolitéj, istniejącéj aż do roku 1261, gdy Islandya musiała poddać się królom Norwegii. Wyspa ta stała się jakby żywym pomnikiem Normanów: islandczycy nie tylko zachowali wspomnienia swoich dziejów pierwotnych, ale rozwinęli bujny cykl poetyczny, opiewający czyny przodków, późniéj utrwalony głoskami łacińskiemi na piśmie.

Kolonizacya Islandyi musiała sprowadzić inne odkrycia. W r. 877 niejaki Gunnbjorn dostrzegł białe szczyty lodowe okalające brzeg wschodni Grenlandyi, długo jednakże nikt nie ośmielał się pójść jego śladami. Dopiéro w 100 lat potém (983) Eryk Rauda czyli Czerwony, popełniwszy jakąś zbrodnię w kraju rodzinnym, puścił się na zachód i wkrótce odkrył brzeg skalisty i olbrzymie lodowce dochodzące aż do morza. Eryk nie zatrzymał się tutaj, lecz spuścił się ku południowi, opłynął przylądek dziś znany jako Farewell i z drugiéj strony Grenlandyi, mianowicie zachodniéj nad fiordem Igaliko założył osadę Brattahilda. Nad owym fiordem obecnie stoi jedna z głównych osad Grenlandyi, Juliannehaab. Brzeg tu wyglądał mniéj opuszczony niż wschodni; trawa rosła obficie, liczne brzozy ożywiały krajobraz. Zwierzęta domowe znosiły klimat miejscowy. Eryk chciał nadać krajowi objętemu przez siebie w posiadanie nazwę dobrze wróżącą i dlatego nazwał go Groenlandyą albo Zieloną Ziemią. „Jeśli kraina ta, mówił on, nosić będzie piękne imię, ludzie łatwiéj zachęcą się do zamieszkania jéj.“ Przewidywania jego istotnie sprawdziły się i wkrótce Grenlandya otrzymała sporo kolonistów z Islandyi i Norwegii, którzy utworzyli rodzaj rzeczypospolitéj na wzór islandzkiéj pod protektoratem Norwegii. Teraz bieg wypadków musiał nieodwołalnie doprowadzić do znalezienia Ameryki. Właśnie około tego czasu w Norwegii przyjęło się chrześciaństwo i król Olaf Tryggvason, gorliwy chrześcianin, jak każdy neofita, postanowił zaprowadzić nową wiarę i w Grenlandyi [1]). Z propozycyją tą zwrócił się do Leifa, syna Eryka Raudy i Thorhildy. Leif był typem dzielnego Normana: wysoki, piękny, krzepki, — pożądał wypraw morskich, w których mógłby zasłynąć. Myśl więc królewska przypadała mu do serca. Rzeczywiście w sam rok tysięczny w towarzystwie księdza i kilku mnichów Leif puścił się w drogę do Grenlandyi. Tu jednak sprawa tylko mu się do połowy powiodła, bo stary Eryk Rauda w żaden sposób nie chciał przyjąć nowego Boga i wolał pozostać starym obyczajem przy oddawaniu czci białemu niedźwiedziowi; jedynie tylko matka Thorhilda i bracia Thorwald i Thorstein przyjęli chrześciaństwo, zresztą znaczna część kolonistów chętnie poszła za ich przykładem. Teraz Leif zapragnął poszukać kraju, o którym głuche wieści musiały się już rozchodzić pośród Normanów, i popłynął ku południowi na czele trzydziestu pięciu towarzyszy.

Najpierw wyprawa jego odkryła wybrzeże usypane głazami; nie

---

[1]) Islandyę dzięki dwóm apostołom Gissurowi Wielkiemu i Hjalti Skeggesonowi udało się nawrócić na chrześciaństwo.

było murawy na ziemi jałowéj; dlatego Leif ziemią tę nazwał Helluland czyli Skalistą. Po trzech dniach żeglugi Normanowie przybyli do innego kraju, płaskiego i lesistego; brzeg nie był urwisty ale za to przystęp do niego był utrudniony przez ławice piaszczyste; Leif nadał téj ziemi nazwę Marklandyi czyli krainy lasów. Jeszcze po dwóch dniach drogi, Normanowie natrafili na wyspę oddzieloną od lądu cieśniną bardzo niebezpieczną z powodu mnóstwa mielizn w niéj rozproszonych. Woda była tak płytka, że okręt podczas odpływu pozostawał na suszy. Po za przylądkiem na lądzie wyzierało ujście rzeki jeziornéj. Niezwłocznie żądna ziemi garstka Normanów wylądowała i zwyczajem północnym, jedni niecąc wielki ogień przy ujściu rzeki, drudzy obchodząc swoją nową posiadłość od zachodu na wschód i robiąc nacięcia na drzewach i skałach toporem, zajęli ziemię nowo odkrytą w posiadanie swoje. Wybudowali sobie z drzewa baraki i oczekiwali nadejścia zimy. Rzeka i jezioro dostarczały im łososi, drzewa było podostatkiem, klimat znośny, nierówność dnia i nocy mniejsza niż w Grenlandyi i Islandyi, ponieważ w dni najkrótsze słońce wschodziło o 7 ½ a zachodziło o 4 ½. Normanowie podzielili się na dwie grupy, z których jedna pozostawała w obozie, druga zaś szła na odkrycia. Pewnego dnia, gdy niemiec Tyrker nie wracał do Leifsbudiru, tak bowiem nazwano obóz, zaniepokojony tém Leif puścił się z towarzyszami na poszukiwania i znalazł niemca pijanego od winogron, których zawiele spożył. Z tego powodu Leif nadał krajowi temu nazwę Winlandyi, czyli krainy wina.

Droga powrotna odbyła się szczęśliwie. W pierwszych dniach roku 1001, po naładowaniu okrętu swojego winogronami, drzewem i skórami, odkrywca normandzki pożeglował do Grenlandyi, gdzie wobec rodzinnych wybrzeży udało mu się uratować życie 15 rozbitkom norweskim, którzy wydawali rozpaczliwe krzyki. Odkrycie opisane i ocalenie ludzi sprawiły, że rodacy nadali mu miano Szczęśliwego a następnie w epoce znacznie późniejszéj wystawili mu pomnik.

Wyprawa Leifa zachęciła Normanów do coraz częstszych podróży do Ameryki. Zaraz w roku następnym z Brattahilda na tym samym statku, który wiózł już Leifa, popłynął do brzegów Ameryki brat jego Thorwald. Ten ostatni wkrótce odnalazł bez trudu Leifsbudir, gdzie spędził zimę. Tymrazem Normanowie zrobili wycieczkę bardziéj ku południowi, w okolicę dotąd niezbadaną przez podróż poprzednią, piękną jednak i obfitą w lasy; na drugą zimę znowu powrócili do baraków Leifsbudiru a na wiosnę r. 1004 rozpoczęli badanie wybrzeży nanowo, ale teraz ku północy. Na wysokości przylądka Kialarness po raz pierwszy Normanowie ujrzeli krajowców, Skroellingów, którzy

mieli im późniéj zadać cios ostateczny. Płynęli oni po trzech w trzech małych łodziach skórzanych; byli małego wzrostu, brzydkiéj twarzy i ubrania mieli skórzane. Thorwald wziął ich na pokład, ale jego towarzysze zamiast zjednać ich sobie, natychmiast zabili wszystkich z wyjątkiem jednego Skroellinga, któremu się udało zbiedz. Pierwsze to krwawe zajście miało ściągnąć bardzo smutne dla Normanów następstwa. Ciż sami Skroellingowie napadali podczas snu na nich, i późniéj nie pominęli żadnéj sposobności aby ich trapić. Skutkiem rany odniesionéj w jednéj z takich potyczek, zmarł Thorwald i pochowany został na ziemi amerykańskiéj. Towarzysze jego dopiéro w 1005 roku z ładunkiem rozmaitych płodów z Winlandyi powrócili do Grenlandyi.

Na schyłku XIII wieku w pobliżu Hull i przylądka Alderton znaleziono grób, zawierający skielet i miecz o rękojeści żelaznéj — jak się zdawało, oba pochodzenia skandynawskiego. Przedwcześnie wyprowadzono ztąd wniosek, że grób ten należy do Thorwalda. W roku 1840 nad Fall-River w stanie Massachussets znaleziono inny skielet; na piersiach znajdowała się blacha bronzowa, naokoło niéj pas zrobiony z rurek bronzowych nakształt starodawnych pasów wykopanych w Danii i Islandyi. Bronz był posłany do analizy słynnemu Berzeliuszowi, który znalazł, że skład jego analogiczny jest do bronzu pochodzącego ze zbroi X i XI wieku, przechowanych w muzeach skandynawskich.

Zastanówmy się teraz nad okolicami zwiedzonemi przez Normanów. Przedewszystkiém zwracamy uwagę, że stanowczego rozstrzygnięcia pod tym względem w nauce nie ma. Pochodzi to ztąd, że bądź co bądź odkrycia, o których była mowa, działy się na 9 wieków przed nami, a przeto okolice opisane w sadze, musiały z biegiem czasu uledz zmianie: morze bez przerwy rozbijające się o brzegi, znoszące je w jednych miejscach, to znowu powiększające, zmieniło zapewne konfiguracyę wybrzeży. Wpływy meteorologiczne, tudzież erozya rzeczna i lodnikowa oddziałały niechybnie w tym samym kierunku. Lasy, o których mówi saga, w wielu miejscach nie istnieją, czas użyty na przeprawę przez okręt na morzach północnych, gdzie panują tak częste mgły i burze, nie może być również stałym, wreszcie klimat, zdaje się, uległ od owego czasu pewnemu oziębieniu, a co zatem idzie rośliny, jak wino, o którem donosi saga, musiały się przesunąć ku południowi. Jednak zatrzymamy się na kilku ciekawszych i pewniejszych przypuszczeniach.

Prof. Storm w rozprawie „*Studier over Vinlands reiserne, Vinlands geographie og etnographie*, 1888,“ na zasadzie określeń zawar-

tych w sadze wnosi, że Winlandya jest półwyspem, którego wschodnią stronę objeżdżali Normanowie dążąc ku południowi. Do podobnéj drogi najlepiéj nadaje się Nowa Szkocya wraz z Kap-Bretonem, wysepką, którą tak wąska cieśnina przedziela od lądu, że mogli jéj żeglarze wieku XI tak samo nie zauważyć jak pierwsi odkrywcy wieku XVI. Wreszcie punkt w pobliżu ujścia jakiéjś rzeki, gdzie Thorwald usiłował założyć osadę, mógł się znajdować nad Salmon-River albo Hunting River na Kap-Bretonie. Czy jednak winna latorośl rośnie pod tą szerokością? Pod tym względem mamy dawne opisy podróży, które jednozgodnie twierdzą, że północna granica wina przechodziła nad rzeką św. Wawrzyńca aż pod 48° szer. półn. Jakób Cartier chciał przecież jedną wysepkę pod Kwebekiem ochrzcić imieniem Bachusa, Lescarbot w 1606 r. w dzisiejszym Mainie pod 43½° szer. płn. znalazł ogromne winnice, podobnie jak w Nowym Brunświku; na południu Nowéj Szkocyi w pobliżu Annapolis i dziś jeszcze znajduje się wino. Daléj Storm dowodzi, że skąpe szczątki mowy krajowców, mianowicie imiona własne, podawane przez sagę, nie mają nic wspólnego z mową Eskimosów, charakter zaś ludu bardziéj przypomina indyjskie plemiona myśliwskie, niż rybaków północy. Dowodzenie Storma, przemawiające za tém, że dzisiejsza Nowa Szkocya jest dawną Winlandyą, jest bardzo przekonywające, ale kwestyi nie rozstrzyga. Przed Stormem Rafn dowodził w sposób również przekonywający, że Winlandyą są dzisiejsze stany Rhode-Island, New-York i New-Jersey, i wogóle całe wybrzeże od przylądka Kapkod i do przylądka Sable. Rafn przypuszczał, że wysepką, o któréj mówi Leif, mogła być wyspa Nantucket, która istotnie oddzielona jest bardzo płytką cieśniną od lądu, nawet na tyle niebezpieczną, że marynarze wolą ją omijać. Osada Leifsbudir znajdowałaby się w pobliżu dzisiejszéj miejscowości Providence i niedaleko owego miejsca nad Fall-River, gdzie znaleziony został w roku 1840-ym szkielet Normana. Gaffarel idzie daléj jeszcze, bo przypuszcza, że wyspa mogłaby być Long-Island, a Leifsbudir w miejscu gdzie się znajduje obecnie Nowy Jork.

Co się tyczy Hellulandyi, to zważając na odległość, podaną w sadze, od Grenlandyi — 4 dni żeglugi, należałoby jéj szukać albo w Nowéj Ziemi, któréj charakterystyka ogólna zgadza się z opisem Terra Petrosa sag islandzkich, albo w Labradorze. Wyrokowanie w téj sprawie bardzo jest trudne, bo jedna i druga kraina blisko siebie leżą, a wyglądem zewnętrznym nie wiele się różnią.

Co się tyczy Marklandyi, to według Gaffarela, byłaby to właśnie Nowa Szkocya, która posiada w ogromnych lasach prawdziwe bogac-

two, brzeg zaś niski jest niebezpieczny i nieprzystępny z powodu licznych ławic piaskowych.

Wyprawy wspomniane pociągnęły cały szereg naśladowców normandzkich, którzy wkrótce odkryli wybrzeża stanów Delaware, Maryland, a prawdopodobnie Wirginii i Karoliny. Sagi opowiadają o pojedyńczych wyprawach, w których rodzina Eryka Raudy szczególniéj zasłynęła. W tym czasie powstają nawet osady normandzkie w Winlandyi, jak Furdustrandir, wyprawy się mnożą nieustannie i nareszcie sagi przestają zwracać na nie większą uwagę. Z czasów ich pobytu pozostały wykopaliska, przechowywane w *Smithsonian Institution* w Waszyngtonie w postaci zbroi, szkieletów, monet i ozdób, i napisy runiczne, z których szczególniéj jeden zasługuje na uwagę: „Tu spoczywa Syasi Jasnowłosa z Islandyi wschodniéj, wdowa po Kjoldrze, siostra Thogra po ojcu, w wieku lat dwadzieścia pięć. Niech Bóg się nad nią zmiłuje, 1051.“

W tym właśnie czasie wiadomość o koloniach europejskich w Ameryce doszła do Europy. Kronikarz Adam Bremeński w swoim opisie krajów północnych w sposób bardzo jasny opowiada i o Winlandyi; historyk normandzki, Orderyk Vital, zalicza ją narówni z wyspami Orkadzkiemi, Islandyą i Grenlandyą do posiadłości króla Norwegii. Biskupi Norwegii i Islandyi, a wkrótce potém i nowy biskup w Gardarze w Grenlandyi, patrzą już na nią jako na parafię odległą swojéj dyecezyi i od czasu do czasu ją odwiedzają. Tak naprzykład w r. 1059 biskup Jan, przebywszy 4 lata w Islandyi, pojechał do Winlandyi w nadziei nawrócenia ludów amerykańskich, które zaczęły dostarczać już towarzyszek życia kolonistom, został jednakże zabity. W r. 1121 widocznie z powodu zwiększania się liczby owieczek, biskup z Gardaru, Eryk Upsi, pozostał w Winlandyi i parafianie jego dawni musieli obrać nowego biskupa w r. 1124-ym. Fakt ten dowodzi, jak prozelityzm musiał być już potężny w Ameryce; nic więc dziwnego, że obrzędy i cześć krzyża przetrwały w niektórych okolicach Ameryki Północnéj, aż do chwili przybycia Europejczyków w XVI-ym wieku.

Pod datą 31 stycznia 1279 roku znajdujemy bardzo ciekawy dokument, list papieża Mikołaja III do arcybiskupa Jana, polecający mu wysłać do Winlandyi pełnomocnika do zbierania dziesięciny; misya ta opłaciła się sowicie, gdyż pełnomocnik ów przywiózł w roku 1282 od biednych osadników Winlandyi dziesięcinę w postaci kłów morsa, fiszbinu, futer i t. p. Jeszcze w 25 lat późniéj, t. j. w r. 1307 dziesięciny z Winlandyi figurowały w listach kolekty papieskiéj. W r. 1315-ym cała dziesięcina, jak zwykle składająca się z kłów morsów i futer,

sprzedana została za 12 lirów i 14 su pewnemu Flamandczykowi, Janowi du Pré. W r. 1335 ostatecznie rachunki jako bezcelowe, powstrzymane zostały.

Tymczasem i wycieczki Normanów w świat arktyczny nie ustawały: wiele do tego przyczyniło się rybołówstwo, które wzbogacało osadników. Ludność wzrosła w Grenlandyi tak dalece, że na wybrzeżu zachodniém Westerbygd, wedle słów kronikarza liczono 13 parafii, posiadających do 140 osad, a na wschodniém Esterbygd 4 parafie z 90 osadami. Świadczy to zarazem o pewnym dobrobycie, który pozwolił na taką ludność. Odkryć dalszych nie zaniedbywano. W roku 1135 trzéj Grenlandczycy przez zamiłowanie do przygód niebezpiecznych postanowili dotrzéć aż do krajów, opiewanych przez Skalda, „gdzie gwiazda biegunowa w południe bywa widoczna.“ Przez cieśniny późniéj znane, jako Davisa i Baffina, zapuścili się oni na północ aż pod 72° 55′ szer. płn. do wyspy Kingiktorsoak, czyli kobiecéj. Tutaj dumni z osiągniętego powodzenia, pozostawili napis runiczny na kamieniu: „Erlings, syn Sigwata, i Biarn, syn Thorda, i Eindride, syn Oelda, wystawili ten pomnik kamienny w sobotę, poprzedzającą dzień gagndag (25 kwietnia), poczém opuścili to miejsce 1135 r.“ Kamień był znaleziony w r. 1824, odczytany przez misyonarza Kragha i złożony w muzeum Towarzystwa antykwaryuszów Północy.

Istnieje jeszcze jedna podróż opisana przez sagi, z któréj widać, że w r. 1266 trzéj księża, z których jeden nazywał się Halldor, dążąc w tymże kierunku, co i poprzednia wyprawa, dostali się pod 75° 46′ trochę na północ cieśniny Barrow. Poprzedzili więc Normanowie w tych stronach takich ludzi, jak Franklin, Jakób Ross, Hayes, Nares i Greely. Chociaż nie posiadamy szczegółów bliższych o organizacyi i życiu wewnętrznem kolonistów normandzkich w Winlandyi i Marklandyi, jednakże wolno nam przypuszczać, że musiała to być kolonia tylko nominalnie zależna od królów Norwegii. Składały się na nią żywioły burzliwe, rozmaici poszukiwacze przygód popychani przez żądzę nowości, oraz banici, zawsze liczni w społeczeństwach, w których górują nad wszystkiém namiętności osobiste. Stosunki z metropolią utrzymywały się ciągle, ale przedewszystkiém z Grenlandyą i Islandyą. Osadnicy prowadzili handel zamienny z temi krajami, w którym z ich strony głównemi przedmiotami były gatunki drzew drogocennych, skóry, kły morsów, tran i fiszbin wielorybi, a żelazo i broń— z tamtéj.

Wogóle jednak osady te, założone przez ubogą metropolię, pędziły żywot nędzny. Nadomiar złego, korona za panowania Małgorzaty i Waldemara ujęła cały handel w swoje wyłącznie ręce i zaka-

zała statkom odwiedzać kolonie bez wyraźnego pozwolenia rządu. A przecież jeden tylko wolny handel był w stanie ożywić te dalekie osady. Gdy on znikł, musiały zniknąć i kolonie normandzkie w Ameryce.

Napaści nieustające Skroellingów przyśpieszyły upadek kolonii normandzkich i w Grenlandyi. W r. 1344 Ivar Bardson, będąc wysłany w te strony, zdumiony był, gdy nie znalazł „żadnego mieszkańca ani chrześcianina, ani poganina. Było tu tylko bydło zdziczałe i barany; wyprawa żywiła się temi zwierzętami, naładowała niemi swoje statki ile się tylko dało i pożeglowała z powrotem.“

Napaści Skroellingów stały się prawdziwie strasznemi w wiekach XIV-ym i XV-ym. Brewe papieża Mikołaja V-go, datowane 20 września 1448 r., do biskupów Islandyi Skalholta i Holsa ubolewa nad wyniszczeniem mieczem i ogniem przed 30-tu laty kolonii północnych przez barbarzyńców. Napaści te, ciągle się powtarzające, doprowadziły do zupełnego zniknięcia chrześcian w Grenlandyi. Po wspomnianém brewe już tylko trzéj biskupi Gardaru, Gregorius, Jacobus i Vincentius, byli mianowani, a ich pieczęci z datami 1450, 1487 i 1537 odnalezione zostały i ogłoszone w Pamiętniku Tow. antykwaryuszów Północy.

A do tego wszystkiego, jakby dla dopełnienia miary nieszczęść, osady grenlandzkie nawiedzone zostały przez okropną zarazę, czarny mór, o którym Boccacio wspomina w ponurym prologu do „Dekamerona“. Po spustoszeniu Azyi i Europy zaraza nawiedziła i Grenlandyę. A że kolonie amerykańskie, Winlandya i Marklandya, jedynie stamtąd i z Islandyi zasilały się w żywioł europejski, nic więc dziwnego, że po wyludnieniu tamtych i one uległy wyludnieniu, albo raczéj stopnieniu w masie tubylców.

Jest jeszcze jeden szczegół, podawany przez Izaaka Pontanusa w „*Rerum Danicarum historia*“. Mianowicie ogromna bryła lodów stanęła między Grenlandyą a Winlandyą. Okoliczność ta również mogła się przyczynić do tego, że nieliczni koloniści normandzcy w Ameryce rozproszeni na ogromnym obszarze nowego lądu, otoczeni przez zażartego wroga, musieli wygasnąć prędko, a wraz z nimi zaginęła i pamięć o téj odległéj kolonizacyi.

Dla bardzo podobnych przyczyn wygasły i osady w Grenlandyi. Stosunki z nią stawały coraz uciążliwsze, tak dalece, że w r. 1383 dowiedziano się naprzykład w Norwegii o śmierci biskupa Gardaru, Henricusa, w sześć lat po właściwym jego pogrzebie [1]). Stosunki cał-

---

[1]) Pieczęć tego biskupa odnaleziona została i ogłoszona w „Memoires de la société des Antiquaires du Nord“, 1845—49.

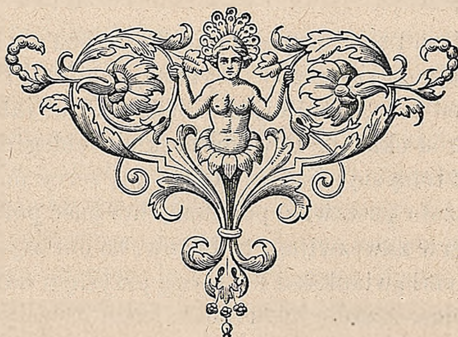
kowicie nawet ustały i o Grenlandyi nietylko zapomniano, lecz ją zgubiono. Król duński, Fryderyk III-ci (1648 — 70), nazywał kraj ten swoim kamieniem filozoficznym, ponieważ szukał go przez całe życie. Dopiéro w r. 1725 ksiądz norweski, Hans Egede, zwrócił na nowo uwagę ziomków na niesłusznie zapomnianą Grenlandyę i przez to zasłynął jako drugi założyciel kolonii. Poczynając od w. XIV-go, nie napotykamy żadnych wzmianek o Winlandyi u historyków północy, południowcy zaś, którzy nigdy jéj nie znali, uporczywe co do niéj zachowują milczenie. W ten sposób stało się to, że Ameryka nanowo stracona została dla Europy.

Czyż jednak zupełnie stracona? Poczynając od wieku XVI-go, na mapach, portulanach i w opisach podróży po Ameryce Północnéj, zjawia się pewien kraj na wybrzeżu Norobega albo Norombega, lub Norumbega. Mogłaby to być przekręcona nazwa Noroen bygdh, czyli kraj Norwegów. Na słynnym globusie Ulpiusa z r. 1542, stanowiącym własność Towarzystwa historycznego w Nowym Jorku, nie znajdujemy krainy wspomnianéj, ale za to na jéj miejscu widać napis Verrazana *sive* Nova Gallia, pośrodku zaś kraju pod 43° szer. płn. leży stolica Normanvillia. Na przeważnéj liczbie atlasów i map tego okresu, naprzykład na mapie świata Gerarda Merkatora w głębi długiéj zatoki widzimy miasto i kraj Norumbega; miejsce to mniéj więcéj znajduje się na południu rzeki Św. Wawrzyńca, między ujściem téj rzeki a zatoką Fundy.

Istnieje téż opis jednéj podróży nadzwyczaj głośnéj z XIV w., z którego domyślać się można, że dwaj bracia Nicolo i Antonio Zeno w tym czasie nawiedzili ląd Ameryki. Nie było wszelako dokumentu, któryby wywołał pośród geografów tyle wątpliwości, tyle zdań za i przeciw. Nie ulega wątpliwości, że ponętną jest myśl istnienia stosunków między Europą a Ameryką jeszcze w w. XIV-ym, wtedy bowiem nie byłoby przerwy paruwiekowéj między odkryciami Normanów a podróżą Kolumba i ten ostatni ze stanowiska jedynego odkrywcy w czasach nowszych, stałby się tylko *primus inter pares*. Podróż braci Zeni roztrząsana była szeroko przez mnóstwo badaczy, że wymienimy pośród nich tylko najpoważniejszych: Joachima Lelewela, Fr. Krarupa, Gravier, Majora, Gaffarela, Markhama, Beauvois, wreszcie Nordenskjölda i Dahlgrena. Cóż stąd, gdy kwestya mimo to nie została stanowczo rozstrzygnięta. Jeszcze podczas przedostatniego zjazdu geografów w Paryżu zdania się ważyły. Na jedném i tém samém posiedzeniu sekcyi historycznéj przedstawione były dwie prace: p. Beauvois, sumiennego badacza rzeczy amerykańskich, który dowodził prawdziwości opisu braci Zeno, i p. Dahlgrena, utrzymujące-

go, że mapa, towarzysząca wspomnianemu opisowi, skomponowana została na zasadzie trzech źródeł: mapy Olausa Magnusa z r. 1529, mapy Danii Klaudyusza Claviusa i dwóch map włoskich. Sam zaś opis podróży p. Dahlgren zalicza do utworów fantastycznych i nazywa robinzonadą wieku XVI-go. Obowiązkiem naszym jest zanotować, że zapatrywanie uczonego szwedzkiego na podróż braci Zeno obecnie w nauce przeważa i że jeden z najważniejszych dowodów, przemawiających za niém, pewna mapa z r. 1467, znaleziony został przez Nordenskjölda w bibliotece hr. Zamojskich w Warszawie.

(D. n.) *Stefan Stetkiewicz.*





Z PIEŚNI XXII ILIADY

ZGON HEKTORA [1]).

. . . .

Skoro i tamten i ten, przybliżając się, z sobą się zeszli,
Najpierw hełmo-grzywiasty, wyniosły odezwał się Hektor:
„Już przed tobą, Achillu, nie będę uciekał jak dotąd:
Trzykroć gród okazały Pryama boskiego obiegłem,
Nie śmiąc z tobą się zejść; ale teraz mię serce pobudza
Mężnie ci czoło postawić: pokonać, lub paść pokonanym.
To téż wpiérw zawezwijmy tu bogów, bo oni zaprawdę
Są najlepszymi świadkami i strzegą przysięgi najbardziéj:
Nie dam ciebie, Achillu, pohańbić, jeżeli zwycięstwo
Odnieść pozwoli mi Zeus i wypędzę ci duszę orężem.
Jeno że zbroję zabiorę ci piękną, trupa zaś twego
Oddam synom achejskim, — i ze mną czyń-że nawzajem.“
Patrząc w niego z pod oka, odpowie mu żwawy Achilles:
„Znienawidzony Hektorze, nie mnie do przymierza nakłaniaj:
Baran i wilk nie pogodzą się szczerze, nie będą w przyjaźni,
Między człowiekiem i lwem do układów nigdy nie dojdzie,
Nie zaprzestaną nastawać wzajemnie na swoją zagładę;
Owóż tak samo i my przyjaciołmi nie będziem; i dla nas

---

[1]) Przed kilku laty podało „Ateneum“ wyjątki z nowego przekładu najpiękniejszéj w literaturze epopei; obecnie drukując tę małą próbkę, możemy podzielić się z czytelnikami wiadomością, iż całą Iliadę ma już p. Mleczko w ten sposób przełożoną. Pożądaną jest rzeczą, iżby przekład ten znalazł nakładcę (*Przyp. Red.*).

Nie ma sojuszu, dopóki choć jeden z nas nie polegnie
I swą krwią nie nasyci zapuklerzonego Aresa.
Pokaż swoją potęgę: istotnie należy ci teraz
Być oszczepnikiem wybornym i nieulękniony w natarciu.
Z moich się rąk nie wywiniesz, bo wnet cię Pallas-Atena
Tym oto zgładzi orężem—i wszystkich mych towarzyszów,
Których-eś zabił oszczepem okropnym, zapłacisz mi klęskę."
Rzekł i zamachnął się mocno i śmignął długim oszczepem;
Hektor coprawda opatrzył się w czas i uchronił się ciosu,
Zwinnie ku ziemi przysiadłszy; i nad nim grot się przesunął,
W ziemię się wbił, lecz wyrwała go Pallas-Atena i nazad
Grot Achillowi podaje, przed synem Pryama tajemnie.
Wstał Pryamida i rzekł do nieulękłego Pelejdy:
„Źle wymierzyłeś, a co? bogorodny Achillu, widocznie
Losu mojego ci Zeus nie oznajmił, chełpiłeś się tylko:
Usiłowałeś mię słowem zagabnąć podstępnie i gładko,
Aby mi strachu napędzić, by odjąć moc i odwagę.
Już nie ucieknę przed tobą: nie w plecy to wrazisz mi oszczep,
Lecz mi, wpadającemu na ciebie, piersi przebijesz,
Gdy dopomoże ci bóg; lecz pierwéj się strzeż i mojego
W spiż okutego oszczepu. Bodajże cię przebił na wylot!"
Rzekł i zamachnął się mocno i śmignął długim oszczepem.
W tarczę Pelejdy w sam środek ugodził, nie chybił bynajmniéj:
Ale grot od puklerza odskoczył. Zatrwożył się Hektor,
Widząc, że szparki mu pocisk nadarmo z dłoni się wymknął.
Stał więc zakłopotany, bo nie miał grotu innego.
Deifobosa przyzywa donośnie, białotarcznika,
Prosząc o włócznię; ale brata nie było już przy nim.
To też wnet pomiarkował się Hektor i rzecze donośnie:
„Przebóg, zagładę mi tutaj przygotowali bogowie:
Wszak, Deifobos, bohater, sądziłem, że stoi w pobliżu,
On zaś w grodzie ukryty, a mnie oszukała Atena.
Śmierć-to okrutna zbliżyła się do mnie, stoi tuż obok,
Już ja nie mam ucieczki. Dotychczas Zeus i jego
Syn, Apollo wielowładny śród walk pomagali mi chętnie,
Nie dopuszczali zagłady, a dziś mię Dola dosięgła.
Ależ darmo i chwały pozbawion w proch nie polegnę,
Wpiérw tu dzieła dokonam, o którém potomni usłyszą."
To powiedziawszy, porywa bohater za miecz wyostrzony,
Który u boku mu wisiał: ogromny, ukuty wybornie.
Skoczył, siły zebrawszy: jak orzeł wysoko-polotny.

Gdy z pod ciemnych obłoków na pole opuszcza się nagle,
Przyczajonego zająca, lub jagnię w szpony uchwycić:
Tak i Hektor się rzucił, miecz wyostrzony ująwszy.
Ze swéj strony poskoczył i boski Achilles, pałając
W duszy srogością; a piersi zasłania puklerzem ogromnym,
Pięknym, rzeźbionym cudownie, a szyszak mu czteropałączny,
Bujnogrzywiasty na głowie się skłni i potrząsa się grzywa
Złotopromienna, obficie przez boga na szczyt nasadzona.
Tak zaś jako wieczorem zapala się gwiazda na niebie,
Hesper, który ze wszystkich jest gwiazd najpiękniejszy, podob-
Ostry się kieł zamigotał na drzewcu, którém Pelejda [nież
Wstrząsał w dłoni żylastéj, na zgubę Hektora zawzięty,
Śledząc ciała nagiego, ażeby napewno ugodzić.
Aleź zbroja zasłania Hektora całego nieomal
Piękna, którą pozyskał, gdy zmiażdżył Patrokla potęgę;
Gardło mu jeno, gdzie szyję od barku oddziela obojczyk,
Bieli się nagie, a tędy i dusza uchodzi najłatwiéj.
Tam więc, wpadającego na siebie, pchnął go oszczepem
Tak, że szyję mu miękką nawylot grotem przedzielił.
Krtani atoli okuty, ogromny jesioniec nie przebił
Całkiem i mąż zagadnięty mógł się był jeszcze odezwać.
Runął w kurzawę, a boski Achilles szczycąc się zawołał:
„Synu Pryama, Hektorze, mniemałeś się pewno bezpiecznym,
Zbroję z Patrokla zerwawszy, nie dbałeś wcale już o mnie;
Ha, młodzieniaszku, o wiele mocniejszy od niego pozostał
Mściciel, ja pozostałem u gładko-ciosanych okrętów
I powaliłem cię z nóg. I rozedrą cię teraz sromotnie
Sępy i psy, a Patrokla ze czcią pogrzebią Danaje.“
Rzekł; a dysząc zaledwie odezwał się Hektor świetlisty:
„Na twe nogi, na duszę, na twych cię rodziców zaklinam,
Nie daj ciała mojego w obozie psom sponiewierać.
Żądaj, ile zapragniesz i miedzi i złota cennego
W darze, a ojciec i matka dostojna przyniosą ci chętnie.
Wydaj ciało do domu rodzicom, by tam, poległemu,
Ogniem złożyli mi cześć Trojańczycy i żony Trojanów.“
Patrząc w niego z pod oka, odpowié mu żwawy Achilles:
„Psie ty bezecny, nie mnie na rodziców i duszę zaklinaj.
Jabym z serca cię rad na kawały żywego rozszarpać,
Żywcem zębami cię gryźć za to wszystko, coś mi wyrządził.
Nie śmiertelnika to moc, aby psy od twéj głowy odpędzić.
Choćby razy i dziesięć i choćby mi razy dwadzieścia

Dary przyniósłszy, ważyli i więcéj dać przyrzekali;
Choćby ciebie samego na wagę mi złota wymieniał
Pryam Dardańczyk; i wtedy cię w domu nie złoży na marach
Matka, twa rodzicielka i płakać nad tobą nie będzie;
Lecz cię sępy rozdziobią haniebnie i psy porozwłóczą."
Rzekł; a dogorywając, odezwał się Hektor świetlisty:
„Wiem, kto jesteś, Achillu, poznałem, że ciebie nie wzruszę
Prośbą, w piersi-bo twojéj zaprawdę serce z żelaza;
Ależ bacz, bym gniewu bożego na ciebie nie ściągnął
W dniu tym, kiedy i Parys i zdala rażący Apollo
Mimo żeś mężny, Pelejdo, u Scejskiéj cię bramy powalą."
Słów dopowiedział i śmierć ogarnęła go kresem ostatnim.
Dusza mu z ciała wyszedłszy, w Hadesa uchodzi krainę,
Na swój los wyrzekając, młodość opuszczając i męstwo.
Ale i do umarłego odezwał się jeszcze Achilles:
„Idź na zatratę, a ja swojéj doli nie boję się całkiem;
Niechaj wypełnia ją Zeus, gdy zażąda, i inni bogowie."
Wyrzekł syn Peleusza i oszczep z trupa wyciągnął.
Kładzie na stronie i z ramion mu zbroję zdejmuje ozdobną,
Krwią obryzganą. Dokoła gromadzą się Achejczykowie:
Każdy zdumiony się patrzy na wzrost i na kształty wspaniałe
Syna Pryama; a żaden nie podszedł, żeby go nie żgnąć.
Tak zaś rzecze niejeden, na swego sąsiada spojrzawszy:
„Patrz-no, jakie to dziwo, o wieleż to miększy obecnie
Hektor, niż był, kiedy ogniem pożerczym okręty zapalał."
Tak się dziwował niejeden i ciało Hektora kaléczył.
A gdy zdarł szybkonogi Achilles zbroję ozdobną,
Powstał wśród Achejczyków i rzekł polotnemi słowami:
„Najukochańsi wodzowie danajscy i wy przodownicy!
Skoro mi dali bogowie strasznego męża tu zgładzić,
Który nam więcéj zaszkodził sam jeden, niż inni pospołu;
Toćby pójść należało doświadczyć i murów orężem;
Poznać przecie, co daléj uczynią synowie trojańscy:
Czy swą twierdzę opuszczą wyniosłą, wodza nie mając,
Czy téż pozostać zechcą, pomimo zagłady Hektora?
Lecz mię teraz do tego nie nakłoń, duszo ma w piersiach!
Wszak tam zwłoki Patrokla boskiego leżą w obozie
Nieopłakane i niepogrzebane; o, będę pamiętał
O nim, póki mi w piersi oddechu i siły w kolanach.
Choćby zapomniano w Hadesie na śmierć o umarłych,
Ja nie zapomnę i tam towarzysza swojego lubego.

Daléj-że, młodzi achejska, zwycięskie peany śpiewając,
W gładko-ciosane wracajmy okręty i trupa zabierzmy,
Chwałę zyskaliśmy wielką; zgładzony bo Hektor, pogromca
Straszny, któremu Trojanie jak bogu cześć oddawali."
Rzekł i na boskim Hektorze wykonał dzieło haniebne:
Żyły mu tylne obiedwie u nóg przedziurawił żelazem
Między kostkami i piętą i przewlókł rzemień wołowy;
Tak téż przytroczył do wozu, a głowie wlec się pozwolił.
Sam zaś wskoczył na wóz i zabrawszy zbroję przesławną,
Zaciął batem: pomknęły się w lot chyżonogie rumaki.
W ślad za wleczonym kurzawa się kłębi i włosy się czarne
Wiją w niełądzie po ziemi, bo cała się głowa tarzała
W prochu; tak urodziwa niedawno, a teraz dozwolił
Zeus ją wrogom bezcześcić na jegoż ziemi ojczystéj.
Tak caluteńki w kurzawie się szargał. A matka na niego
Patrzy się; włosy na głowie wyrywa; zerwała ze siebie
Rańtuch ozdobny i precz go odrzuca i skargi wygłasza.
Jęczy żałośnie i ojciec i z nim cały naród trojański
Płacze i gorzko zawodzi i rozległ wrzask się po mieście
Nieukojony, jak gdyby już górnowysadny Ilijon
Cały od szczytu do stóp pustoszyły płomienie pożercze.
Groza przejęła Pryama: zaledwo go mogli powstrzymać
Inni Trojanie, gdy rwał się wybiegnąć za bramę Dardańską.
Wszystkich wokoło zaklinał, po brudnéj się ziemi tarzając,
Zwąc po imieniu każdego z kolei, przemawiał i jęczał:
„Puśćcie, pójdę i sam, o najmilsi, nie bójcie się o mnie,
Wyjdę z grodu, dobiegnę do czarnych okrętów achejskich:
Męża nielitościwego ubłagam, groźnego potęgą.
Może-ż wiek uszanuje, starości użali się mojéj.
Wszakże ojciec i jego podobnież jak ja osiwały,
Peleusz, który go spłodził i w domu wychował na zgubę
Wszystkim Troady mieszkańcom, a mnie na biédę najgorszą.
Wielu-bo synów mi zabił, młodzieńców w samym rozkwicie.
Chociaż atoli każdego mi szkoda, lecz innych nie tyle
Wszystkich, ile jednego, za którym mię żal do Hadesa
Wpędzi, ile Hektora. O, niechby mi raczéj na ręku
Skonał, abyśmy się mogli wypłakać i serce ukoić
Ja i matka nieszczęsna, co go na świat porodziła."
Tak utyskiwał we łzach, a jęczeli i inni Trojanie.
A z Trojankami boleje Hekuba i żale zawodzi:
„Dziecko najdroższe, o jakże mi teraz tę srogą niedolę

Przeżyć, gdy ciebie straciłam, co dla mnie w nocy i we dnie
Byłeś pociechą i sławą w Ilionie i byłeś obrońcą
Wszystkich w grodzie Trojanek i Trojan, oni-ż jak boga
Ciebie wielbili, bo byłeś i dla nich chlubą największą,
Pókiś żył, ale teraz cię Śmierć i Dola dosięgła.“
Tak wyrzekała we łzach. . . . . . .

(Nadbiega i Andromacha, żona Hektora, i mdleje, obaczywszy męża wleczonego za wozem.
A gdy oprzytomniała:)

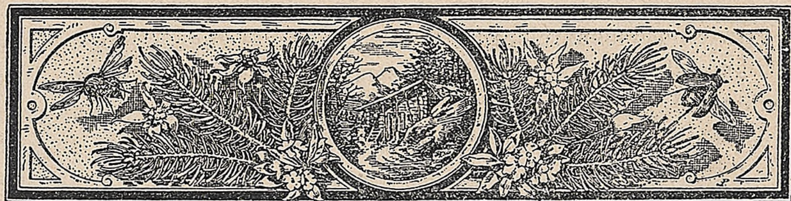
. . . .

Skargi śród kobiét zawodzi, od płaczu zanosząc się ciągle:
„Biadaż mi, biada nieszczęsnéj; z jednaką-śmy dolą, Hektorze,
Przyszli oboje na świat: ty w Troadzie, w domu Pryama,
Ja zaś w grodzie tebańskim u stóp lesistego Plakosu,
W Eetyona domostwie, co sam mię od dziecka wychował,
Sam nieszczęśliwy—nieszczęsną; nie rodzić się było mi lepiéj.
Teraz, Hektorze, do kraju Hadesa w otchłanie podziemne
Wejdziesz, mnie pozostawisz samotną w żałości niezmiernéj,
Wdową w domostwie, i syna zostawisz, dziecinę maleńką,
Która się nam urodziła biédakom; i już mu nie będziesz,
Boski Hektorze, radością, boś zmarł, i on ci nie będzie.
Choćby nawet ocalał z téj wojny we łzy przebogatéj,
Czegoż doczeka się biédny? niedola na niego, zgryzoty
Srogie czekają: pokrzywdzą sąsiedzi, majątku uszczuplą.
Z osieroceniem utraci i swych towarzyszów zabawy.
Głowę siérota zwieszoną ma zawsze i łzy na policzkach.
Łaknąc, dziecko podejdzie do dawnych ojca przyjaciół:
Tego pociągnie za płaszcz, innego za kaftan pociągnie;
Ktoś ulituje się nawet, czareczkę przychyli maleńką:
Jeno-że usta omoczy, gardziołka omoczyć nie zechce.
Inny go pieszczoch rodziców od jadła jeszcze odepchnie;
Pięścią uderzy zuchwale i złaje słowem zelżywém:
Precz stąd, ojca twojego tu nie masz z nami u stołu.
Dziecko z płaczem odejdzie, do matki się wdowy przytuli
Nasz Astyanaks, co wpierw na kolanach u ojca swojego
Móżdżkiem się karmił jagnięcym, najtłustsze kąski spożywał;
A gdy zmorzył go sen i znużyły igraszki dziecięce,
To utulony w piastunki objęciach, smaczno zasypiał
W miękko usłanéj pościołce, radością w sercu jaśniejąc.

Dziś udręczenia czekają na niego, bo ojca utracił
Nasz Astyanaks: Trojanie to wszyscy go tak nazywają,
Boś sam jeden, Hektorze, i miasto i mury obraniał.
Teraz od domu zdaleka w okrętach wygięto-rufiastych
Psy cię srogie rozerwą, robactwo cię będzie toczyło
Obnażonego; a ileż to szat ci zostało w komorze,
Szat rękami niewiast utkanych z przędzy cieniutkiéj!
Wszystkie je teraz na stosie pożerczym w popiół obrócę.
Już ci na nic nie zdadzą się one, nie wdziejesz już żadnéj;
Niechże w obliczu Trojanek i Trojan na chwałę ci spłoną.“
Tak wyrzekała we łzach, a wokoło jęczały niewiasty.

Tłómaczył *Stanisław Mleczko.*





REPREZENTACYA STANOWA

w rozwoju historycznym

(od XV-go do XVIII-go wieku).



(Dokończenie) *).

IV.

Monarchizm oświecony. — Tron elekcyjny i dziedziczny. — Federacyjne związki, jako uzupełnienie reprezentacyi stanowéj. — Konfederacye, jako wypływ ustroju stanowego.—Różnice między reprezentacyą W. Brytanii a reprezentacyami stanowemi na zachodzie Europy.

Zdawało się na razie, że przy rozległéj i sztucznie rozszerzonéj władzy stanowéj reprezentacyi, monarchizm zostanie trwale wyzuty ze wszystkich atrybucyi i że zależność od sejmujących lub sejmikujących stanów, przejawiająca się w mniejszym lub większym stopniu, we wszystkich państwach europejskich, nie dozwoli odzyskać mu dawnéj świetności. Logika faktów nie potwierdziła jednak rozumowania oderwanego i już w XV-ym wieku władza monarchiczna poczęła być zwiastunem politycznych zasad, które z pierwiastkiem prywatno-prawnym, wszczepionym w konstytucyę stanową, były w nieustannéj rozterce.

Należy więc przypomnieć, że nawet w dobie wyzucia się z władzy publicznéj, przez nadania imunitatów i przywilejów, oraz w epoce zubożenia skutkiem rozszafowania majątku, monarchizm nie stracił poczucia, że jest piastunem jedności państwa i nieustającą strażą nad jego dobrem.

*) Ob. „Ateneum" zesz. wrześniowy r. b., str. 526.

Świetność monarchicznéj tradycyi została znacznie powiększoną przez kościół. Papieże nadali najsamprzód władzy cesarskiéj, a następnie władzy królewskiéj nowy i niezwykły urok przez namaszczenie. Powoli téż do dawnéj tradycyi dołączyło się przekonanie, że monarchizm jest instytucyą, pochodzącą bezpośrednio od Boga, oraz że wybraniec „namaszczony przez Pana“, czyli „pomazaniec boski“, nie może być uważany za zwykłego śmiertelnika, albowiem jest istotą posiadającą nadziemską moc leczenia i uzdrawiania.

Następnie, utrwalenie się dziedzicznéj monarchii było najdonioślejszą reformą w organizmie państwa średniowiecznego. Słusznie bowiem nazwano elekcyjne królestwo z istoty swéj niezupełném i pozbawioném żywotności. Każdego nowego elekta uważały stany sejmujące za stosowne wyzuć z części prerogatywy i każde opróżnienie tronu przypominało reprezentacyi, że wybrany zajmuje wobec niéj stanowisko strony, która musi przyjąć wymuszone przy elekcyi zobowiązania. Nietylko więc, że sam akt elekcyi potężnie wstrząsał całą budową państwową, narażając kraj na podwójne wybory i na ciągłą interwencyę obcych mocarstw, ale co było dla monarchizmu wybieralnego najzłowróżebniejszém to, że przerywał tradycyę w rządach i niszczył całe dzieło dokonane z mozołem przez potężnych i rozumnych królów. Elekcye, prócz anarchii, jaką sprowadzały na każdy kraj i prócz smutnego widoku przeistoczenia stronnictw politycznych w obozy nieprzyjacielskie, stawiały w dodatku monarchizm w sprzeczności z własną naturą i zadaniami, nakazującemi dążyć do dziedziczności. W następstwie owa sprzeczność sprowadzała na koronę ustawiczną podejrzliwość sejmów i wywoływała dążenie reprezentacyi stanowéj ku rozciągnięciu jak najściślejszéj kontroli nad prerogatywą królewską. W państwach, które do XVII-go wieku zachowały elekcyjność tronu, jak np. w Danii, Szwecyi, Węgrzech, Czechach i Niemczech, spotykały się ustawicznie dwa prądy przeciwne sobie. Monarchizm dążył wytrwale do pozyskania dziedziczności tronu i do zapewnienia tym sposobem koronie niezawisłéj władzy rządowéj, a reprezentacya stanowa upierała się przy elekcyi, jako jednym z najcenniejszych klejnotów w wieńcu przywilejów stanowych i przy pomocy elekcyi chciała rozpostrzéć wszechwładny wpływ na władzę królewską. Stosunek wzajemny i przewaga jednego z tych dwóch prądów zmieniała się nieustannie i pozostawała w zależności od mocy ducha elekcyjnego monarchy. Niektórym z nich, jak naprzykład Maciejowi Korwinowi węgierskiemu, udawało się ujarzmić reprezentacyę swym wpływem, pomimo pozorów uległości dla zasady: „*quod populus vult, Deus vult*“. Z tém wszystkiém, w elekcyjnéj monarchii praca polity-

czna i rozszerzenie prerogatywy królewskiéj szły wraz z potężnym mocarzem do grobu, gdy tymczasem dziedziczność tronu pozwalała następcom prowadzić daléj rozpoczęte dzieło i zapewnić nareszcie w ciągu XVI-go i XVII-go wieku władzy królewskiéj daleko okazalsze wobec sejmów stanowisko.

Jakkolwiek monarchizm elekcyjny nie mógł się poszczycić tym samym owocem kilkowiekowéj pracy, co dziedziczny, to jednak pierwszy zarówno, jak i drugi, korzystał przy każdéj sposobności z wad konstytucyi stanowéj, a wskazówki oświecające, w jaki sposób należy z nich korzystać, znajdował w prawie rzymskiém i w nauce politycznéj, która przejęła od starożytnych pojęcie państwa. Prawo państwowe rzymskie czuwało przedewszystkiém nad całością i jednością państwa, a nie nad samoistnością poszczególnych stanów, których nie znało. W późniejszéj dobie rozwoju prawo rzymskie złożyło „*imperium*“ w ręku jednéj osoby i utożsamiło państwo z dostojeństwem imperatora na mocy zasady „*quod principi placuit legis vigorem habet*“; stąd łatwo zrozumiéć, że wpływ tegoż prawa musiał w nauce politycznéj z XIV-go i następnych wieków wytworzyć nowe pojęcie o jedności i całości państwa.

Przedewszystkiém jednak, prawo rzymskie było pożądaném dla monarchizmu i to nietylko jako źródło przekonywające o potrzebie jedności państwowéj, ale i jako najdzielniejszy środek odzyskania zwierzchnictwa, oraz funkcyi administracyjnych, odstąpionych stanom w chwilach niebezpieczeństwa i słabości. Korona spostrzegła wcześnie, jaką skuteczną pomocą była dla niéj liczna legia doktorów prawa i juryści poczęli od XV-go wieku zajmować urzędy we wszystkich kancelaryach, radach jawnych lub sekretnych panującego, wypierając zewsząd duchowieństwo. W Niemczech wpływ legistów rozpoczął się dopiéro w pierwszéj połowie XV-go wieku, lecz we Francyi już w XIV-ém stuleciu królowie posługiwali się owemi „*chevalier ès lois*“, którzy posiadali „*les ames de fer et de plomb*“ i byli najżarliwszemi bojownikami idei państwowo-rzymskiéj. Juryści stanowili dla monarchizmu nieoceniony materyał, który należało odpowiednio i umiejętnie spożytkować. W ciągu téż prawie trzech wieków wyrasta powoli i z mozołem cały organizm władz monarchicznych, który współzawodniczył z instytucyami wytworzonemi przez stany i wpływ ich na każdym kroku podkopywał. Instytucye królewskie były w stanie działać energiczniéj i administrować troskliwiéj, niż stanowe; prawo zaś rzymskie dawało urzędnikom monarchicznym ustawiczną możność interpretowania na korzyść korony, chwiejnych zwyczajów, na których się wsparła reprezentacya stanowa.

Niwelujący prąd, z ducha prawa rzymskiego płynący, stawał się w ciągu XVI-go wieku coraz silniejszym i wypowiadał coraz zaciętszą walkę pierwiastkom prawa prywatnego, tkwiącym w konstytucyi stanowéj. Wszelkie przywileje stanowe i wszystkie korporacye uczuły się zagrożonemi w podstawach bytu, a funkcye publiczne, zdobyte z mozołem przez sejmy i sejmiki, windykowali legiści z powrotem na rzecz korony. W ciągu wieku XVI-go i XVII-go reprezentacya stanowa opiérała się zawzięcie władzy monarchicznéj. Przeciwko nauce wskrzeszającéj pojęcia absolutnego państwa rzymskiego wystąpił szereg pisarzów, broniących stanowiska reprezentacyi, oraz przywilejów poszczególnych stanów.

Jak w oczach pisarzów politycznych, broniących przywilejów stanowych, Machiavelli i jego naśladowcy uchodzili za zbrodniarzy i *sui generis monstra*, tak samo legistów zwano „*vulturii togati*“, a sejmy wraz z sejmikami wyliczały szeregi krzywd, pogwałceń i lekceważeń, jakich doznawały bez przestanku. Skargi jednak nie na wiele się przydały, a opór nie okazał się dostatecznie silnym. W ciągu wieku XVI-go władza monarchiczna wzrosła znakomicie na siłach, a to dzięki nietylko legistom, ale i wadom, które zmniejszały żywotność konstytucyi stanowéj. Duch stowarzyszenia prywatnego, jak to wielokrotnie nadmieniono, wytworzył w organizacyi państwowéj nadmierną samodzielność stanów i sejmików, w zawodowém lub terytoryalném odgraniczeniu. Swoboda indywidualna nie była skarbem ogólnym, lecz przywilejem wybranych, a ciężar podatków, spadający przeważnie na poddanych możnowładztwa, pozbawiał reprezentacyę stanową ścisłego i żywotnego związku z masą pracującego ludu. Bez poparcia jednak pracowników gleby, oraz rękodzielników miast, a przedewszystkiém bez wszczepienia w wyzyskiwane masy przekonania, że przywileje powstały zarówno dla ich dobra, jak i dla pożytku uprzywilejowanych, konstytucyę stanową musiała ogarnąć martwota i sejmy wraz z sejmikami nie zdołały oprzéć się władzy monarchicznéj, która powoli zaczęła się opiekować poddanymi możnowładztwa, oraz zasłaniać ich przed wyzyskiem i zbytnią samowolą, a przytém coraz więcéj nabywała przeświadczenia, że wobec stanów uosabiających interes własny, przedstawia całość i dobro państwa.

Ważnym bezwątpienia powodem wzrostu władzy monarchicznéj była reformacya religijna w XVI-ym wieku; przez nią bowiem rozdwojenie wśród reprezentacyi stanowéj zarysowało się silniéj, a rozterka i waśń społeczna wystąpiły namiętniéj. W konstytucyi cesarstwa niemieckiego do dawnego podziału na trzy kurye stanowe przybył nowy, tak zwany „*corpus evangelicorum* i *corpus catholicorum*“

z których każdy miał prawo odrzucić prawodawcze projekty, które mu się ze względów wyznaniowych nie podobały. W sejmach krajowych, zarówno jak i w prowincyonalnych, reformacya spotęgowała niewątpliwie dawne wady i błędy. Stany uprzywilejowane grożą téż od czasu do czasu nieprzybyciem na sejm, jeżeli się spotkają z towarzyszami swemi innego wyznania, wśród miast poczucie solidarności, opiérające się długo wyływowi swarów kościelnych, ustępuje miejsca rozdwojeniu, a władza monarchiczna, dzięki fanatycznéj zaciekłości, na miejsce dawnéj zasady: „*religionem imperare non possumus quia nemo cogitur ut credat invitus*“, zaczyna podstawiać nową: „*cujus regio, ejus religio.*“

Rozdwojenie, nieudolność i egoizm, pociągające ustawicznie reprezentacyę ku prywacie, zamiast ku publicznemu dobru, ułatwiły znakomicie władzy monarchicznéj zadanie i pozwoliły jéj z walki, wypełniającéj wiek XVI-ty i XVII-ty, wyjść zwycięsko w znakomitéj większości krain europejskich.

Najtrudniejszém zadaniem władzy królewskiéj było rozluźnienie węzłów, łączących stany uprzywilejowane z ich poddanymi i utorowanie koronie przystępu do mas, przytwierdzonych do gleby, oraz do rękodzielników miejskich, wyzyskiwanych przez możnowładztwo i przez korporacye municypalne. Z władzą patrymonialną stanów uprzywilejowanych toczył monarchizm najuporczywszą walkę, a jeżeli nie był w stanie usunąć jéj w zupełności, to przynajmniéj licznym nadużyciom położył pewien kres i uczynił dowolne zwiększanie powinności i opłat należnych od włościan możnowładczych, zawisłém od pozwolenia korony. Prócz tego, monarchizm starał się w domenach o podniesienie rolnictwa przez otoczenie opieką swobodnéj pracy włościańskiéj, a tą działalnością rzetelnie ekonomiczną, podkopującą przytwierdzenie do gleby, zyskiwała sobie korona serca ludności rolniczéj.

Na początku XVII-go wieku (1614 r.) monarchizm francuski uważał już zwoływanie stanów generalnych za zbyteczne, a sejmiki prowincyonalne ciągnęły jeszcze gdzieniegdzie przez czas pewien żywot skromny i zależny od korony, któréj niewolniczo ulegały. W Hiszpanii kortezy znikają w końcu XVII-go wieku, a miejsce dumnéj reprezentacyi Aragonii i Kastylii zajmuje „*absolutum dominium*“. W Danii anarchiczne rządy sejmowe utorowały drogę absolutyzmowi w r. 1661, w Szwecyi Karol XII-ty w najkrytyczniejszéj chwili nie pozwolił zebrać się delegacyi sejmowéj w celu obrad nad potrzebami państwa, w Niemczech zaś krajowe sejmy znikały jedne po drugich: jedynie w Meklemburgu i Würtembergu spotkać było można reprezen-

tacyę stanową w ciągu XVIII-go wieku. Węgry, Czechy i Belgia zachowały w prawdzie dawną konstytucyę, ale monarchizm zaprowadził w niéj ważne reformy. Przedewszystkiém elekcyjny tron okazał się nadal niemożliwym, a dziedziczność władzy królewskiéj nieodzowną. Razem zaś z elekcyjnym tronem, wyrzekły się Węgry w r. 1681, prawa stawiania monarsze zbrojnego oporu, a Czechy zadowolniły się pozorami władzy, które korona raczyła sejmom zostawić. W Belgii jedynie, reprezentacya zachowała nieco dawnéj siły, to téż, gdy sejmy Brabantu nie okazywały Maryi-Teresie powolności, przemyśliwano o środkach represyi, a nawet o zamachu stanu. Zaznaczyć jednak wypada, że jakkolwiek burze elekcyjne niemieckie, otwiérały wrota sprzedajności oraz interwencyi obcych mocarstw, to do pewnego stopnia łagodził ich niweczący wpływ ten wzgląd, że w cesarstwie, wytworzyło się 360 zwierzchniczych i daleko więcéj półzwierzchniczych kraików, które od dawna przyjęły dziedziczność tronu za zasadę państwową. Wreszcie, w Holandyi, jakkolwiek władza monarchiczna nie zdołała się rozkrzewić, jednakże statuderat w r. 1674 stał się dziedzicznym.

Im silniejsze w obec sejmików i sejmów zdobył sobie monarchizm stanowisko, tém staranniéj ściérał ze swéj władzy dawne, patrymonialne znamiona i tém troskliwiéj przywracał jéj polityczny charakter.

W XVIII-ym wieku, Fryderyk II pruski, znaném orzeczeniem: „*le roi est le premier serviteur de l'Etat*,“ usunął jeszcze skrupulatniéj wszelką prywatno-prawną przymieszkę z politycznego charakteru korony, mianując ją najpotężniejszym czynnikiem państwowego życia. Téj natury na wskroś politycznéj, reprezentacya stanowa odzyskać nie zdołała. Pozbawiona funkcyi politycznych, pogrążała się w coraz to większém samolubstwie i przedstawiała pod koniec XVIII-go wieku, tam gdzie jeszcze istniała, smutny obraz społecznego i politycznego rozkładu. Gdy też w Anglii wyznawali monarchowie jawnie i szczerze, że nigdy i nigdzie nie czują się tak bezpiecznymi jak w otoczeniu swych wiernych i przywiązanych parlamentów, panujący kontynentalni upatrywali w reprezentacyi grono uprzywilejowanych, które po nad dobro państwa, zwykło kłaść prywatę i w imię ciasnego samolubstwa, chce kłaść zaporę reformom władzy królewskiéj, dążącym do ogólnego pożytku. Dla tego to Ludwik XV oświadczył kategorycznie, iż prędzejby się zgodził na abdykacyę, niż na zwołanie stanów generalnych Francyi.

Zanim jednak monarchizm zdołał pozbyć się krępujących więzów i zanim usunął reprezentacyę stanową zupełnie, lub uczynił ją po-

wolném narzędziem, musiał stoczyć szereg walk jawnych i skrytych, które wypełniły więcéj niż dwa stulecia. Bezwzględność władzy królewskiéj, występująca często w wyraźnéj formie absolutyzmu, zmuszała stany uprzywilejowane do uporczywéj obrony. Reprezentacya w kształcie zwyczajnych sejmów i sejmików, stała się niedostatecznym środkiem walki wobec współzawodnika, dzierżącego w swém ręku władzę wykonawczą, liczny personel urzędniczy i najemne wojsko. Okazała się więc potrzeba nieunikniona uzupełnienia konstytucyi stanowéj i z konieczności powrócono do dawnego środka, wypróbowanego w walce z monarchizmem, t. j. do związków federalnych.

We wszystkich téż krajach, obok zwyczajnéj reprezentacyi, funkcyonującéj peryodycznie, wytworzyła się forma sejmowania nadzwyczajnego, wywołana chwilowo, lub przez czas dłuższy, niezwykłemi okolicznościami. Właśnie rządy ordynaryjnych sejmow i sejmików, krępujące władzę monarchiczną, a będące uorganizowaną niemocą, doprowadziły w XVI i XVII wieku do takiéj anarchii i walk prywatnych, że zarówno bezpieczeństwo państwa, jak i dobro poszczególnych stanów, domagały się środków zaradczych, któremi chwilowo stały się związki federacyjne. We Francyi pojawiły się ligi, w Aragonii unie, w Kastylii hermandady, w Niemczech przeróżne związki, zwane „*pacta privata*,“ lub ligami, w Czechach i Węgrzech, konfederacye noszące cechę nadzwyczajnego i przemijającego sejmowania, spowodowanego niebezpieczeństwem i potrzebą, którym zwykła reprezentacya podołać nie była w możności. Ponieważ sejmy i sejmiki stanowe, powstały pierwotnie z federacyi stanów, przeto w razie nadzwyczajnych okoliczności, przyszło uprzywilejowanym dość łatwo powrócić do dawnego środka związkowego. W monarchii elekcyjnéj, samo opróżnienie tronu, powodowało już ową nadzwyczajną okoliczność, wstrząsającą spokojem kraju i zmuszającą stany do odnowienia związku na czas trwania bezkrólewia. Prócz tego, występowały coraz to liczniejsze przyczyny, pobudzające do jednoczenia się poza zwyczajnemi sejmami i sejmikami. Zagrożone przywileje skłaniały do łączenia się przeciw monarsze. Reformacya religijna XVI wieku, stała się także powodem federacyi przeciw władzy panującego, lub przeciw różnowiercom; wreszcie, ponieważ władza królewska zobowiązana była względem stanów różnemi *paktami*, przeto konfederacye stały się narzędziem wymuszającém na koronie dotrzymanie zobowiązań i niejako trybunałem politycznym, pociągającym monarchizm do odpowiedzialności za czyny, sprzeciwiające się zaprzysiężonym ugodom.

Federacyjne związki uważane były wszędzie przez stany uprzy-

wilejowane za najwyższą i najskuteczniejszą strażnicę całéj konstytucyi stanowéj, za pośrednictwem któréj stany wykonywały prawo zbrojnego oporu. Gdzie zwyczaj nie nadawał im wyraźnie tego znaczenia, tam zapatrywano się na nie jako na wypływ prawa naturalnego, które w istocie konstytucyi stanowéj spoczywało. Ażeby pozyskać należytą siłę wobec monarchizmu, konfederacye przyjmowały ogólnie formę ordynaryjnych sejmów, lecz oprócz tego, przywłaszczały sobie wszystkie atrybucye władzy królewskiéj, a w wydawaniu rozkazów i uchwał nie uwzględniały protestów mniejszości, obezwładniających zwykłą reprezentacyę. Jeżeli monarchizmowi wydawał się wpływ sejmów i sejmików szkodliwym dla dobra kraju i dla znaczenia korony, to konfederacye w jakiéjkolwiekbądź formie musiały się stać widmem grożącém władzy królewskiéj. Konieczność jednak zniewalała często panujących do łączenia się ze związkami federacyjnemi. Trzeba było bowiem przedewszystkiém zapanować nad niemi, aby się nie stać ich niewolnikiem i wypadało nieraz przez dłuższy czas tolerować wyjątkowe rządy, ażeby, wśród szczęśliwszych okoliczności, odebrać przywłaszczone atrybucye władzy monarchicznéj.

Gdy reprezentacya stanowa w końcu XVI i z początkiem XVII w. pogrążyła się w prywacie, udaremniając monarchizmowi obronę państwa, trzeba było nawet saméj koronie uciec się do związków, aby przy ich pomocy osiągnąć to, czego nie dopuszczały zwyczajne sejmy. Cesarz niemiecki, ażeby sprostać w walce Ludwikowi XIV-mu, był zmuszony posługiwać się ligami, rzesza bowiem nie chciała nic słyszéć o armii, a sejmy o pomocy materyalnéj, niezbędnéj do jéj wystawienia. Jak tylko jednak chwila przesilenia przeminęła, monarchizm odczuwał groźne niebezpieczeństwo, tkwiące w związkach federacyjnych dla jego władzy. Wogóle téż, korona nie zaniedbywała zwracać się stanowczo i energicznie przeciwko konfederacyom, gdy okoliczności były po temu i gdy na pomyślny rezultat liczyć pozwalały.

Konfederacye uważane więc były za organ dominujący po nad koroną, kiedy tymczasem reprezentacya stanowa zajmowała co najwyżéj współrzędne z stanem królewskim miejsce. Nic więc dziwnego, że posługując się z konieczności ligami, uniami i wszelkiego rodzaju federacyjnemi związkami, korona występowała zawsze przeciwko nim, jako ustalonéj i w pozory legalności uzbrojonéj formie nadzwyczajnego sejmowania, która w nagłości zwykłą reprezentacyę stanową uzupełnić miała. We Francyi królowie oświadczali zwykle, że w danym wypadku, z powodów szczególnych, uznają ligę jako organ legalnie działający; niemniéj jednak dodawać zwykli, że na przyszłość uważać będą podobne związki za niemożliwe, a wszelkie uzurpowanie

przez takowe władzy publicznéj, jak np. pobiérania podatków, traktować będą jako zwyczajną rebelię.

Konfederacye skupiały niegdyś w jedną rzeszę samoistne korporacye i stany, dając tém samém początek trwałéj reprezentacyi. Później zaś, jako organ nadzwyczajnego sejmowania, trwały dopóty, dopóki konstytucya stanowa nie ustąpiła miejsca oświeconemu lecz absolutnemu monarchizmowi. Jedynie więc forma przejawiania się federacyjnych związków mogła rościć prawo do oryginalności i stworzyć pozorne mniemanie, jak np. w Aragonii, że instytucya powyższa jest wynalazkiem specyalnéj jakiéjś krainy. Historya bowiem wszystkich państw kontynentalnych poucza, że federacye zjawiły się wszędzie, gdzie się tylko konstytucya stanowa rozwinęła, albowiem wypływany one z najkardynalniejszych zasad, na których się wspiérał porządek stanowy. Gdzie tylko panowało przekonanie, że reprezentacya jest rzeszą, czyli rodzajem *quasi*-prywatnego stowarzyszenia uprzywilejowanych, gdzie każdy stan i wszelka korporacya, brały tylko taki udział w ciężarach publicznych, na jaki się zgodziły, a tém samém każdy obowiązek przybierał charakter zobowiązania dobrowolnego, gdzie większość nie miała prawa zmusić mniejszości do przyjęcia uchwały, a monarchizm uważany był za stan współrzędny z innymi uprzywilejowanymi, tam pierwiastek federacyjny przejmował na wskróś konstytucyą państwową, i spostrzeżenie powyższe nie było tajném statystom XVIII-go stulecia.

Wobec tak wybitnych znamion prawno-prywatnych, w jakie obfitowała każda konstytucya stanowa, mogą się na pozór wydawać dziwnemi porównania jéj z nowożytnemi konstytucyami, opartemi na reprezentacyi politycznéj, a uzupełnianemi jeszcze niekiedy systemem rządów parlamentarnych. Zbadawszy jednak uważnie proces rozwoju instytucyi stanowych, wydadzą się zrozumialszemi złudzenia historyków i statystów, które owym porównaniom dały początek. Niewątpliwie, każda konstytucya stanowa przejęła zasadnicze pojęcia stowarzyszenia a treść politycznego życia wciskała gwałtem w formy i zasady zapożyczone z prawa prywatnego. Z tego to powodu, państwa ówczesne sprawiają wrażenie federacyi, czyli zrzeszenia się prowincyonalnych, oraz korporacyjnych interesów, a reprezentacya prowincyonalna lub krajowa wydaje się być reprezentacyą interesów własności dominialnéj, w połączeniu z interesem potężniejszych korporacyi municypalnych.

Nie ma téż prawie konstytucyi stanowéj, którąby od początku do końca pozostała wierną prawno-prywatnym pojęciom stowarzyszenia, jak z drugiéj strony, nie ma chyba konstytyuci kontynentalnéj,

któraby na równi z angielską, spojoną została w najgłówniejszych momentach zasadami czysto politycznéj natury. W owych zaś częściowych przeistoczeniach zdaje się tkwić powód, dla czego każdy prawie z historyków swéj rodziméj konstytucyi, podnosi z dumą jéj podobieństwo do konstytucyi angielskiéj, a niekiedy nawet pragnie w niéj widziéć zwiastuna nowożytnego porządku państwowego. Do pewnego stopnia podobieństwo z W. Brytanią istniało niezaprzeczenie, tylko zaznaczyć należy, że, gdy ustrój stanowy odzyskał na kontynencie jedynie odrobinę formy lub treści politycznéj, a główne podwaliny federacyjne pozostały nietkniętemi, konstytucya angielska przechowała, zupełnie na odwrót, tylko odrobinę ornamentyki lub zasad prawno-prywatnych, ale duch na wskroś polityczny panował w niéj coraz to wyłączniéj.

Trudno z tém wszystkiém nie przyznać słuszności zdaniom, dowodzącym, że Brabant zapewnił swobodę indywidualną wszystkim klasom mieszkańców na równi z Wielką Brytanią. Jeżeli bowiem możnowładztwo angielskie chlubiło się tém, że w dobie starć z monarchizmem pamiętało nie tylko o swéj własnéj wolności, lecz i o swobodzie ubogiego ludu, jeżeli zaznaczono z dumą, że przed progiem najuboższéj chaty angielskiéj zatrzymać się musi cała władza królewska, choćby nawet w téj chacie wiatr i deszcz hulały swobodnie, to tak samo w Brabancie rządzono się zasadą „*pauvre homme en sa maison roi est*“ i usunięto wcześnie kontynentalną maksymę: „*nulle terre sans seigneur*,“ zastępując ją inną, przychylną dla rolniczego ludu: „*nul seigneur sans titre.*“ Inne państwa kontynentalne wytworzyły, jak to poprzednio wykazaném zostało, stan odrębny, wyzyskujący mocą przywilejów klasy uboższe i słabsze, o możnowładztwie zaś Brabantu, można było powiedziéć to samo co i o angielskiém, a mianowicie, że nie odłączało dobra swego od dobra całego ludu, lecz zawsze utożsamiało się z niém, ponosząc ofiary z krwi i mienia na rzecz państwowéj obrony. Istniał jeszcze drobny kraik fryzyjski gdzie także powtarzano z dumą, iż każdy fryzyjczyk pozostanie wolnym, dopóki wiatr z obłoków dąć będzie. Z tém wszystkiém jednak, dodać należy, że Fryzya zapewniała swobodę jedynie właścielom ziemi, lecz za to bez ograniczenia, zarówno wielkim, jak i małym.

Historya konstytucyi stanowéj we Francyi i Czechach, przedstawia również ciekawe odstępstwa od prawno-prywatnych poglądów. Reprezentacya stanowa nie nosiła wogóle charakteru praw politycznych, któreby przysługiwały pewnym klasom społecznym z tytułu obywatelstwa kraju, ale pozostała stowarzyszeniem, do którego otwiérały przystęp przywileje, zyskiwane częściowo i to w celu bronienia

swych interesów stanowych, oraz korporacyjnych. W początkach mieli wszyscy uprzywilejowani moc osobistego bronienia swych interesów na sejmie lub sejmiku, z czasem jednak, system reprezentacyi okazał się niezbędnym i wystąpił w formie prawno-prywatnego pełnomocnictwa, do sprawowania i przedstawiania stanowych interesów. Tymczasem we Francyi i w Czechach, stopniowo wyrabiało się poczucie reprezentacyi politycznéj, która dążyła do zastąpienia interesów stanowych dobrém całéj ziemi lub krainy, jako jednostki społeczno-politycznéj. We Francyi, stan trzeci domagał się większéj liczby reprezentantów w sejmach generalnych i prowincyonalnych, dla tego, że uosabiał przeważną liczbę ludności, w Czechach tenże sam motyw występował na widownię z pewném jeszcze uzupełnieniem, albowiem większy obszar terytoryalny wraz z ludnością, miały wpływać na ustosunkowanie liczby reprezentantów. Prawo uczestnictwa w sejmach i sejmikach traciło więc wobec powyższych prądów charakter prawa rzeczowego a nabierało doniosłości politycznéj, jako prawo reprezentowania pewnéj cząstki prowincyi lub kraju. Prócz tego w Czechach, monarchizm występował upornie z reformą systemu reprezentacyjnego, która nie tylko, że w sejmach rządom mniejszości kładła skuteczną zaporę, ale w dodatku czyniła zamach na samoistność sejmików prowincyonalnych oraz sejmów poszczególnych krain. Wreszcie Déak wykazał, że i w Węgrzech porządek stanowy ulegał niekiedy zasadzie politycznéj. Tak np. instrukcye sejmikowe określały jedynie stosunek wyborców do wybranego, ale bynajmniéj nie miały siły obowiązującéj dla sejmu, który był w mocy powziąć uchwałę wprost im przeciwną i nie zwracać uwagi na protesty komitatów opozycyjnych.

W ciągu poprzednich rozdziałów niniejszéj pracy, zwracano dość często uwagę na to, że konstytucye prowincyonalne, zarówno jak i krajowe, odstępowały chwilowo lub na czas dłuższy, czy to od głosowania stanami (*par ordre*), czy też od zasady, domagającéj się, aby wola większości stanów nie miała siły obowiązującéj względem stanu protestującego. W formie zatém, zarówno jak i w treści porządku stanowego, czuć było przedświt politycznych pojęć, ale główne podwaliny stanowości, trwały niewzruszenie i ustępowały dopiéro pod naporem absolutnego monarchizmu. Podobieństwo też organizacyi stanowych do konstytucyi angielskiéj, w jednym lub kilku szczegółach, nie nadawało bynajmniéj pierwszym więcéj siły żywotnéj, ani też więcéj wytrwałości wobec monarchizmu. Reprezentacya stanowa Aragonii, ustąpiła miejsca absolutyzmowi właśnie wtedy, gdy poczęła wotować

subsydya, bez warunków krępujących koronę, a więc, przed odpowiedzią monarchy na skargi i użalania się stanów.

Porównywanie więc konstytucyi stanowych, z konstytucyą angielską, zwłaszcza z końca XVII-go wieku, t. j. doby rozwoju rządów parlamentarnych, nie wytrzymuje pod względem prawno-państwowym krytyki. Prawdą jest, że w formie a nawet nieco i w zasadach porządku państwowego Brytanii, występowała niekiedy przymieszka prawa prywatnego, wielmożna w organizacyi stanowéj. Zwłaszcza w wieku XVIII-ym, pozory podobieństwa z kontynentem wydawały się chwilowo łudzącemi i one to wytworzyły porównania, oddalające się zbytnio od podstawy państwowo-prawnéj. Zaprzeczyć się bowiem nie da, że ani możnowładztwo patrymonialne, ani odrębny stan miast, ani przytwierdzenie do gleby włościan, ani wszechwładność sejmików wobec parlamentu, lub mniejszości wobec większości, ani wreszcie przeistoczenie parlamentu w organ rządzący i zwierzchniczy, nie zdołały się rozkrzewić na ziemi angielskiéj i wszystkie typowe zasady stanowego porządku znikały wówczas w życiu państwowém Anglii, gdy się rozwinęły w pełny a trujący kwiat na kontynencie. A oprócz tego, na co przez długi czas nie zwracano uwagi, konstytucyjny porządek W. Brytanii spoczął na szerokiéj i trwałéj podstawie samorządu lokalnego, który na stałym lądzie Europy był jeszcze w XVIII-ym wieku niemożliwym. Samorząd zaś lokalny, w codziennych, drobnych sprawach parafii (*parish*), zaciérał skwapliwie wszelkie różnice stanowe i łączył wszystkie warstwy społeczne w jeden pracujący i działający wspólnie naród.

Niewątpliwie, mogli się w XVIII-ym wieku znajdować uczeni, których wzrokowi uszły kapitalne różnice, zachodzące między konstytucyą angielską a stanowymi na kontynencie. W każdym razie jednak, przytoczyć można cały szereg statystów, a między nimi, głośne nazwiska, którzy pojmowali, albo téż przeczuwali siłę jednoczącą i żywotną, właściwą organizacyi państwowéj angielskiéj a któréj brakło konstytucyom stanowym. De Réal np. należy do tych, którzy prawie instyktownie odgadywali w konstytucyi brytańskiéj niezwykłe pierwiastki. Porównywując holenderską konstytucyę z polską, utrzymuje de Réal, że jedynie angielska wytworzyła społeczeństwo, w którém wszystkich, zarówno ubogich, jak i bogatych, zajmuje dobro publiczne. Montesquieu znowu w „Duchu praw,“ krótko a jasno zdefiniował różnicę, zachodzącą między konstytucyą stanową a angielską. Pierwsza odznaczała się tém, że jedna część społeczeństwa była u drugiéj w poddaństwie, Anglia zaś usunęła wszelkie władze pośre-

dnie między panującym a ludem i to jéj zapewniło jak największą swobodę. Najdokładniéj jednak przedstawił treść polityczną konstytucyi brytańskiéj, w przeciwstawieniu do organizacyi stanowych, De Lolme. Dzieło jego posiada po dziś dzień wartość naukową i zadziwia przenikliwością obserwacyi, gdy wykazuje, dlaczego w Anglii prawo wotowania subsydyów, lub prawo stawiania zbrojnego oporu i t. p., inny wywierało skutek aniżeli na kontynencie. Zawsze też uczeni XVIII-go wieku, poświęcając uwagę porządkowi stanowemu, dostrzegali w nim pierwiastek federacyjny, będący przyczyną niemocy, a którego w ustroju państwowym W. Brytanii doszukać się nie mogli.

W XIX-ym wieku, zwłaszcza po pracach Gneista, porównywanie konstytucyi angielskiéj ze stanowemi stało się z punktu widzenia prawa państwowego jeszcze bardziéj niemożliwém. Juste cytuje zdanie, ośmielające się upomniéć o pewne podobieństwo jedynie dla staréj konstytucyi Brabantu, a Denis i Salamon, przedstawiając dzieje swych narodowych konstytucyi, zwracają się z porównaniami częściéj w stronę dawnéj Polski, aniżeli Anglii. Częściowe reformy, jakie w konstytucyach stanowych XVI i XVII wieku, dostrzedz było można, wywoływały jednak wśród dziejopisów współczesnéj nam doby więcéj umiarkowania w sądzie, oraz więcéj współczucia dla smutnego losu reprezentacyi stanowéj. Desjardins w gorących słowach wyraził żal, że stany generalne przestały wspólnie z monarchizmem pracować nad dobrem Francyi, a w Węgrzech przechowało się prawie po najnowsze czasy żywe uwielbienie do starego i w wielu razach przestarzałego gmachu konstytucyjnego. Współczucie powyższe stanie się zrozumiałém, jeśli uprzytomnimy sobie, w jak bezwzględny sposób monarchizm zachodniéj Europy walczył z reprezentacyą stanową. Jakkolwiek też korona była zwycięskim zwiastunem idei jedności i całości państwa na zachodnim kontynencie, to z drugiéj strony zniweczyła udział społeczeństwa w życiu publiczném, a tém samém unicestwiła w znacznéj części i przywiązanie do publicznego dobra. Jednostronność zatém rozwoju, tkwiąca w porządku stanowym, była również udziałem monarchizmu oświeconego. Jednostronność powyższa objawiała się wprawdzie w kierunku odmiennym, ale wady i niedostatki z niéj płynące dały powód do łagodniejszego osądzenia reprezentacyi stanowych.

Niemniéj wszakże porównywanie organizacyi stanowych z angielską nie wytrzymuje poważnéj krytyki. Na takie poniżenie konstytucyjnéj budowy W. Brytanii nie zgadzają się przedewszystkiém pisarze angielscy. Hallam stwierdza, że już w wieku XV-ym uważa-

no Anglię za jedyny kraj swobodny, a Macaulay, nazywający organizacyę dawną Holandyi najniewygodniejszą na świecie, twierdzi, że konstytucya angielska poczęta wielką kartą, owa konstytucya, którą wszystkie inne wolne konstytucye świata naśladowały, mimo swych przywar, może być uważana za najlepszą z tych, jakiemi się kiedykolwiek wielkie społeczeństwo rządziło.“ Zdaje się téż ostatecznie, że jak dawna konstytucya angielska nie była podobną, zwłaszcza ze względów formy, do kart konstytucyjnych XIX-go wieku, tak samo żadna z konstytucyi stanowych, w całości biorąc, nie była podobną do konstytucyi angielskiéj.

A. Rembowski.





Prądy w najnowszéj literaturze niemieckiéj.



(Dokończenie *).

Wymieniłem już poprzednio Laubego i Gutzkowa. Są oni w dramacie jedynymi przedstawicielami „młodych Niemiec,“ czyli owych pisarzów czwartego dziesięciolecia, których dopiéro wymuszony gwałtowną potrzebą dekret świętéj pamięci niemieckiego sejmu związkowego zamianował szkołą literacką, aczkolwiek mieli oni większe upodobanie w zwalczaniu jeden drugiego. Henryk Laube, natura w głębi duszy całkiém prozaiczna, próbował swoich sił, podobnie jak w wieku przeszłym Chr. Feliks Weisse, we wszystkich rodzajach poezyi dramatycznéj, zarówno w tragedyi historycznéj jak i w komedyi. Usiłował on daremnie, podobnie jak i niektórzy inni poeci, wykończyć ułamek tragadyi Schillera „*Demetrius*“ (1872); z większym zato skutkiem studyował uwagi Lessinga nad angielskiemi, hiszpańskiemi i niemieckiemi tragedyami z życia Essexa, ażeby samemu postawić na nogi lepszego „Hrabiego Essexa“ (1856), który téż po dziś dzień utrzymuje się na scenie. Jako kierownik sceny wytworzył on szkołę, a chociaż Hebbel widział się przez niego odepchniętym od Burgteatru, to z drugiéj strony Laube ma tę wielką zasługę, że odepchniętemu i napół zapomnianemu Grillparzerowi dopomógł do odzyskania napowrót swych praw na teatrach austryackich. Nieporównanie obfita w treść i powabna komedya Grillparzera „Biada temu, kto kłamie“ (*Weh dem der lügt*), wogóle mówiąc, dopiéro dzięki Laube-

*) Ob. „Ateneum“ zesz. wrześniowy r. b., str. 000.

mu otrzymała zadośćuczynienie za krzywdę, jakiéj doznała przy pierwszém przedstawieniu. J. Gutzkow był przez jakiś czas praktycznym kierownikiem teatru w Dreznie; atoli znaczenie jego, właśnie odwrotnie niż u Laubego, polega na własnych jego pracach. Jego tragedye historyczne są zapomniane, a przez dokonywane od czasu do czasu próby wystawiania jego dramatu „Serce i świat“ (1842) poecie nie wyświadcza się przysługi. Opracowany tutaj konflikt, podobnież jak konflikt w dramacie Gustawa Freytaga „*die Valentine*,“ jest przestarzały. Rzuciwszy okiem na liczbę tomów zebranych dzieł Gutzkowa, Voltaire by powiedział, że z tak wielkim pakunkiem nie maszeruje się do wieczności. Przy olbrzymiéj działalności Gutzkowa (ur. w Berlinie 1811, zm. we Frankfurcie 1878 r.), która mu utrudniała skupienie się i koncentracyę, i przy jego nie bardzo szczęśliwym żywocie, wystarcza i tak, że cztery z pomiędzy jego dzieł utrzymały się do dziśdnia w repertuarze, a oba jego utwory dramatyczne: „Pierwowzór Tartuffe'a“ i sięgająca młodzieńczych dziejów Fryderyka Wielkiego, komedya historyczna „Warkocz i miecz“ (*Zopf und Schwert*. 1844) są najlepszemi sztukami, jakie po „Minnie“ Lessinga posiadamy wogóle w dziedzinie komedyi niemieckiéj, — gdyż „Stłuczony dzbanek“ Kleista należy do zupełnie innego rodzaju komedyi. Śliczny „Szach królowi“ palatynackiego poety Hipolita Schauferta (1835 — 1872), przedstawiający po szekspirowsku nienawiść króla Jakóba I do palenia tytuniu, został wprawdzie uwieńczony nagrodą (1869), od dawnego czasu jednak wielce niesłusznie pozostawiono go na uboczu. Najgłośniejszego dramatycznego utworu Gutzkowa, jego tradedyi „Uriel Acosta“ (1847), przerobionéj z dawniejszéj próby nowelistycznéj, nie jestem w stanie tak bezwarunkowo pochwalić. Jeżeli ktoś, wskutek tendencyi, walczącéj za wolność wiary i badania, zestawia ten utwór z „Natanem“ Lessinga, to należy przypomnieć, że „poemat dramatyczny“ Natan — Lessing wiedział bardzo dobrze, dlaczego tak go nazwał — jako dramat, wykazuje niebezpieczne braki. Owéj zaś pełni myśli i wzniosłości, która u Lessinga dozwala pomijać wątpliwości poetyczne, nie znajdzie się w tolerancyjnym dramacie Gutzkowa. Mądrość Spinozy, jako chłopca, nawet największym jego czcicielom nie wydaje się właśnie zaletą sztuki.

Jużciż, jeżeli spojrzeć na mnóstwo skądinąd ulubionych, poczęści wybornych poetów, którzy daremnie dobijali się i dobijają o trwałe stanowisko na scenie, to powodzenie, jakie sobie wywalczył „Uriel Acosta“, musi być cenione wysoko. Z pomiędzy wszystkich dramatów Juliusza Mosena (1803—1867) obecnie nie bywa grywany ani jeden. Gustaw Freytag, czczony jako powaga w kwestyach dramaturgicz-

nych wskutek swojéj „Techniki dramatu“ (1863), która się doczekuje jednego wydania za drugiém, tylko swoją wyborną komedją „*Die Journalisten*“ (1854), podobnie jak Adolf Wilbrandt (ur. 1837 w Rostocku) tylko powstałymi pod tamtéj wpływem „Malarzami“ (1872) zdobył sobie trwałe, wielkie powodzenie. „Fabiusze“ Freytaga bywają nieraz zachwalani jako tragedya wzorowa, łącząca w sobie zalety Schillera i Szekspira. Podzielają oni jednak los wszystkich tragedyi historycznych, jakie napisano w Niemczech od czasów Kleista: tu i owdzie wynurzają się na powierzchnię i znikają. „Hrabia Waldemar“ Freytaga ma tę wyższość, że jako rola dla występów gościnnych ogląda on częściéj światła kinkietów. Jakież to wrażenie wywołały rzymskie tragedye Wilbrandta: „Gracchus“ (1873) i „Messalina“ (1874), a przecież są one dziś zapomniane, gdy tymczasem jego komedye: „Niedościgły“ (1870), „Zaślubieni“ i posępny dramat „Córka pana Fabrycyusza“ (1883) nie straciły jeszcze nic ze swéj siły przyciągającéj. Streszczone opracowanie podania o Nibelungach, dokonane przez Wilbrandta w jego „Krymhildzie“ (1877), było tak chybione, że całkowite niepowodzenie trzeba nazwać zasłużonem. Korowód dramatów osnutych na pieśni o Nibelungach, wyprzedza o trzy stulecia stary Hans Sachs, następnie wraz z trylogią Fouque'go rozpoczyna się nowoczesna praca dramatyzacyjna nad dawnym eposem: Uhland, Raupach, Hermann, Dorn, Geibel, Ettmüller, Dahn, Siegert i wielu innych, męczyli się nad tém samém zadaniem. Raupach ze swojém „Schronieniem Nibelungów“ (*Der Nibelungen Hort*, 1835) i Geibel ze swoją słabowitą „Brunhildą“ (1857) mogli się poszczycić niejakiém powodzeniem scenicznėm; talent Fr. Hebbla z jego szperającym rozumem mało się nadawał do tego przedmiotu, lecz jego „Nibelungowie“ (1862) są dziełem, które może zaszczytnie stanąć nie obok, ale o jeden stopień niżéj aniżeli Jordana opracowanie epiczne. Tylko największy geniusz dramatyczny Niemiec, Ryszard Wagner, zapanował pod względem poetycznym nad tą potężną treścią i „prastarą dal“ odzyskał żywcem dla teraźniejszości; jego tetralogia „Pierścień Nibelunga“ w części poetycznéj była ukończona już w początkach szóstego dziesięciolecia; w roku 1876 wraz z pierwszém wystawieniem w Bayreuth rozpoczął się zwycięski pochód Wagnerowskich Nibelungów po scenach Europy i Ameryki.

Z pomiędzy wszystkich utworów dramatycznych, które od kilkudziesięciu lat były uwieńczane jużto coroczną nagrodą imienia Schillera, jużto przy osobnych konkursach, z jednym i jedynym wyjątkiem, żaden nie zyskał prawa obywatelstwa na scenie. Sędziowie doszli w końcu do tego, że nagrody Schillera, wyznaczonéj za najlepszą pra-

cę dramatyczną, udzielali poetom, którzy wcale nie próbowali swych sił w dramacie, a postępowanie to było bądź co bądź lepsze, aniżeli uwieńczenie sztywnéj „Sofonisby“ Geibla (1868), przedmiotu, nad którym w ciągu całych stuleci znęcała się już do upadłego literatura wszechświatowa. Henryk Kruse, którego tragedyę „Hrabina“ sędziowie uznali za niższą od „Sofonisby,“ okazał w tragedyach talent niepospolity, natomiast Henryk Bulthaupt z Bremy dowiódł swemi dramatami, że wyborne zrozumienie kwestyi dramaturgicznych, jakie wykazał w swych słusznie cenionych dziełach, Dramaturgii dramatu i opery, nie może jeszcze uzdolnić do samoistnéj twórczości dramatycznéj

Podobnie jak Geibel, zajmujący przecież tak wybitne stanowisko w nowszéj liryce niemieckiéj, tak również i inni poeci, cieszący się wziętością w zakresie liryki, powieści i noweli, kusili się daremnie o zdobycie wawrzynów dramatycznych. Szlachetnym i rodzimym, bogatym w idee, nienagannym w formie, podobnie jak w liryce i eposie, pokazał się i w swoich dramatach hrabia Schack. Formę komedyi arystofanesowskiéj, zamienionéj tak po mistrzowsku przez Platena na satyrę literacką, wypełnił on, podobnie jak przed nim Robert Prutz, treścią polityczną, bądź wyszydzając rewolucyjne i reakcyjne głupstwa roku 1848 w „Pośle cesarskim“ (*Der Kaiser-bote*), bądź też występując z oskarżeniami przeciwko Francuzom w „Kankanie“ („Komedye polityczne“, 1873). Upadek ostatnich Hellenów, wydanych zdradziecko Gotom przez fanatyzm chrześciański, Schack przedstawił w „Heliodorze“ (1878), opowiedzianą po raz piérwszy przez Dantego historyę Ugolina w „Pizańczykach“ (1872), a koniec Pauzaniasza w tragedyi „Timandra“ (1880). Wydane w najnowszych czasach poezye Schacka są poronionym płodem starości; co się jednak tyczy obojętności, jaką okazały sceny dla wymienionych dopiéro co tragedyi, to zasłużony dziejopis dramatu hiszpańskiego mógłby słusznie wypowiedzieć z tego powodu swe oburzenie. Tylko że, niestety, nic to nie pomoże; już Ryszard Wagner doświadczył tego i wyznał w gorzkich wyrazach, że poczucie estetyczne, podobnie jak i poczucie honoru w kwestyach literatury i teatru jest w Niemczech jeszcze bardzo mało rozwinięte. Schackowi atoli, przy wszelkich zaletach jego poezyi, zbywa na porywającém cieple, dzięki któremu taki wyrabiacz dramatów. jak Wildenbruch, stojący skądinąd o wiele niżéj od Schacka, umié sobie zjednać publiczność. W poezyi sztuka powinna przychodzić w pomoc naturze; tymczasem u Schacka zbyt silnie odczuwamy wrażenie wytworu kunsztownego. Robota i zamiar autora zakłóca częstokroć i dramata Pawła Heysego. Wyśmienity, gładki nowelista, rozwinął i w dramacie wielką płodność, wydał bowiem do roku 1883 już 13 to-

mów dzieł dramatycznych, co więcéj, piérwszym ogłoszonym przez niego utworem poetycznym była tragedya „Franciszka z Rimini“ (1850), głośna historya miłosna, zaczerpnięta z „Piekła“ Dantego, którą niedawno (1891) w nader ponętny sposób udramatyzował także Marcin Greif. Już Uhland wypracował szereg scen „Franciszki.“ Heyse próbował swych sił we wszystkich rodzajach poezyi dramatycznéj. Jego pierwsza, opierająca się o Schillera, tragedya w jambach „Sabinki“ była roku 1889 uwieńczona w Monachium nagrodą, a większość jego utworów dramatycznych doznała chwilowego powodzenia na scenie. Poważne jego stanowisko w literaturze i stosunki otwierały mu od samego początku podwoje teatrów, z trudnością odmykające się dla urodzonych dramaturgów jak Hebbel i Fitger. Owiany szczęśliwym humorem dramat Heysego z dziejów Pomorza „Hans Lange“ (1866), podobnie jak i melodramat „Elisabeth Charlotte“ (1864) utrzymały się w repertuarze aż do chwili obecnéj. Tragedya „Hrabia Königsmarck“ i „Elfryda” (1874) przedstawiają szczególniejszy interes, ponieważ możemy je porównać ze szkicami Schillera. Porównanie wypada coprawda nieprzychylnie dla zdolności dramatycznych Heysego. Wszystko tu jest gładkie i poprawne, ale zarazem powierzchowne. Takie przedmioty jak „Alkibiades,“ którego śmierć chciał udramatyzować już Lessing, i „Koniec don Juana“ (1883) pokazują, że wytworny, ulubiony poeta dam nie jest zdolen owładnąć tragicznością. W wykonaniu „Wesela na Awentynie,“ grywanego dość często z powodu wdzięcznéj roli aktora, przedstawiającego Kaligulę, prawdziwy poeta dramatyczny nie byłby nigdy popełnił tylu błędów. Natomiast Heyse pracował szczęśliwie nad jednym rodzajem poezyi dramatycznéj, zaledwo uprawianym w literaturze niemieckiéj. *Proverbes* i *Comédie* Alfreda de Musset należą do najcenniejszego dobytku literatury francuskiéj i francuskiego teatru. Występuje tu na jaw cała powabna gracya, *esprit,* obrotność i wesołe używanie życia, które bynajmniéj nie wyklucza poświęcającéj się namiętności, odwagi i wierności, słowem, najlepsze przymioty Francuzów i ich wady ze strony najponętniejszéj. Trzeba widzieć w komedyi francuskiéj przedstawienie „Kaprysów Maryanny“ lub „Nie igra się z miłością“ (*On ne badine pas avec l'amour*), ażeby odczuć cały urok tych prawdziwie narodowych utworów poetycznych. W niemczyźnie daje się to naśladować tylko bardzo niedoskonale. Pierwszą szczęśliwą próbę przedsięwziął Geibel, dramatycznem przysłowiem „Prawdziwe złoto czyści się w ogniu“ (*Echtes Gold wird klar im Feuer*, 1882), wyznaczając większą rolę żywiołowi moralnemu (aktorka odrzuca propozycyę miłości i zaślubia pewnego księcia i każe mu wrócić do jego

obowiązków), co się nie bardzo zgadza z duchem poezyi Mussetowskiéj. Otóż w ślady Musseta i Geibla wstąpił także Heyse w kilku po większéj części pełnych werwy i przykuwających do siebie jednoaktówek, stwierdzając stanowczy talent do tego rodzaju utworów. Wyłącznie do dramatu historycznego zwrócił się inny, żyjący w Monachium poeta Marcin Greif, mistrz drobnych, pełnych nastroju obrazków lirycznych. W jego nowszych dramatach z historyi Hohenstaufów, wsławienie panującego w Bawaryi domu Wittelsbachów zajmuje stosunkowo zawiele miejsca, tak iż do powodzenia tego szeregu dramatów na scenach bawarskich mogła się przyczynić tendencya patryotyczna. Los ostatniego Hohenstaufa, Konradyna, straconego jako jeniec wojenny w Neapolu, nazywamy zwykle tragicznym, a od czasu jak Herder polecił ten przedmiot dla tragedyi, cały tłum dramaturgów, pomiędzy nimi Klinger i Uhland (i Schiller zamierzał napisać „Konradyna“), biedził się nad tym przedmiotem, udramatyzowanym w końcu przez Greifa. Zadowalające rozwiązanie tego zadania nie nie udało się jeszcze nikomu, i tutaj zdaje się istotnie mieć słuszność Immermann, zarzucający Hohenstaufom brak prawowitéj krwi dramatycznéj („*legitim dramatisches Blut*“). To co w zwykłym sposobie mówienia nazywamy losem tragicznym, nie koniecznie przez to samo bywa takiém w sensie dramatyczno-technicznym. Juźciż w swoim „Księciu Eugeniuszu“ (1880) Greif dowiódł, że potrafi bardzo zręcznie ukryć dramatyczne braki przedmiotu; jednakże porównanie pomiędzy opracowaną z przerażającą stanowczością kwestyą dyscypliny wojennéj w „Księciu Homburga“ Kleista a pozorną niełaską cesarską z powodu wywalczonego wbrew rozkazowi zwycięstwa nad Turkami pod Belgradem—wypadnie zawsze na niekorzyść nowszego utworu. Stanowczo najlepszym pomiędzy utworami dramatycznemi Greifa jest jego tragedya „Nero“ (1877).

W dziejach literatury Heyse będzie zawsze wymieniany jako nowelista, a Greif jako liryk, choćby napisali jeszcze nie wiém ile dramatów, i odwrotnie, ładne nowele Wildenbrucha niesłusznie bywają lekceważone dla jego dzieł dramatycznych, podlegających wielu zarzutom. Gdyby w Prusiech istniała angielska godność „poety uwieńczonego“ (*poeta laureatus*), to zapewne Wildenbruch, poeta prusactwa, jak go nazwano, zostałby zamianowany poetą nadwornym, chociaż i ten hyperlojalny poeta musiał się doczekać tego, że jego „*Generalfeldobrist*“ był w Prusiech zakazany. O właściwym powodzie zakazu nie dowiedziano się, jak i wogóle praktykowana w najnowszych czasach przez policyę pruską z brutalną samowolą i najśmieszniejszą niekonsekwencyą, lecz prawnie bynajmniéj nie uzasadniona cenzura tea-

tralna, podobnie jak Falstaff na pytanie księcia Henryka, nie raczy przytaczać powodu swych zakazów. Toć surowi landraci zakazywali już takich sztuk, które sam cesarz wczasie przedstawień w Berlinie wyróżniał szczególniejszą pochwałę. Co prawda, wrazie zakazania wszystkich dzieł dramatycznych Wildenbrucha, literatura niemiecka nie doznałaby estetycznego uszczerbku. Ernest von Wildenbruch (ur. 1845), radca legacyjny w Berlinie, wystąpił naprzód bez osobliwego powodzenia z „Pieśniami bohaterskiemi“ o Vionville i Sedanie, gdzie jako oficer walczył pospołu z innymi. Dopiéro w 1882 zwrócił na siebie uwagę tragedyą „*Die Karolinger.*“ W tym samym roku ogłosił tragedyą o upadku ostatniego króla anglosasów „Haralda.“ „Mennonita“ i „Ojcowie i synowie“ wprowadzają nas w czasy porażki pod Jeną i następującego potém podźwignięcia państwa. W „Marlowe'ie“ została udramatyzowana nowela Tiecka, w któréj są scharakteryzowani bezpośredni poprzednicy Szekspira; „Nowe przykazanie“ (*Das neue Gebot*) przenosi głośnego „Proboszcza z Kirchfeld“ Anzengrubera w dobę historyczną: wczasie walki kulturnéj tragedya ta, przychodząca zapóźno w r. 1886, byłaby silnie podziałała. W ostatnich latach Wildenbruch, który jako urzędowy poeta teatru nadwornego w Berlinie, stał się do pewnego stopnia nastepcą Raupacha, podjął także nanowo wspomniany już plan Raupacha, zmodyfikowany odpowiednio do czasu: chce mianowicie w szeregu utworów dramatycznych przedstawić dzieje Hehenzollernów w marchii Brandeburskiéj. Kiedy się ukazał pierwszy tom „Historyi niemieckiéj w wieku XIX“ Treitschkego, wtedy ułożono koncept: Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię i królewsko-pruską ideę państwową, Hohenzollernów do jéj urzeczywistnienia i pana v. Tritschkego do jéj wyjaśnienia. Należałoby jeszcze dodać: i pana von Wildenbrucha do jéj wsławienia w wierszach nader wątpliwéj dobroci. Nie chciałbym, ażeby mię źle zrozumiano. Pielęgnowanie uczucia ojczystego, chęć poświęcenia z radością mienia i krwi za to, co jest najszczytniejszém, za honor narodowy, jest nam przedewszystkiém potrzebne; poeta winien służyć patryotyzmowi. Pytanie tylko, w jaki sposób ma mu najlepiéj służyć. Zola, w którego pismach teoretycznych znajduje się wogóle niejedno godne zastanowienia, zwraca się na jedném miejscu przeciwko poezyi szowinistycznéj. Jeżeli każecie krzyczéć w teatrze *vive la France*, to jestto okrzyk zupełnie banalny; jeżeli wszakże tworzycie dzieła, które roznoszą po ziemi sławę waszego narodu i waszego języka, jeżeli tworzycie poezye, które na podobieństwo helleńskich są w stanie przetrwać byt państwowy narodu, to tym sposobem przedłużyliście życie samego narodu i wyświadczyliście ojczyźnie istotną przysługę. Rzecz to naturalna,

że w zjednoczoném silnie, nowém cesarstwie niemieckiém patryotyzm i w poezyi znajduje inny wyraz, aniżeli w rozpadającém się świętém cesarstwie rzymskiém niemieckiego narodu w wieku XVIII. Lecz oddziaływanie przy pomocy patryotycznych frazesów, zamiast prawdziwéj poezyi, będzie po wszystkie czasy i w każdym kraju zasługiwało na naganę. Zapewne, słuchacz czuje się w danéj chwili zapalonym i porwanym, ale téż jestto tylko chwilowe, nie artystyczne oddziaływanie. „Dziewica Orleańska“ i „Wilhelm Tell“ Schillera, „Herman i Dorota“ Goethego, „Książę Homburski“ i „Bitwa Hermanna“ Kleista, „Lohengrin“ i „Pierścień Nibelunga“ Wagnera, działają także bezpośrednio na uczucie patryotyczne, a przecież poezya istnieje w nich nie tylko gwoli natarczywéj tendencyi i lojalności.

Największe powodzenie Wildenbruch zdobył sobie swojemi „Quitzowami“ (*Die Quitzows*, 1888), obrazem bezprawnéj gospodarki szlacheckiéj w Marchii i stłumienia anarchii przez pierwszego Hohenzollerna. Przy przeciwstawieniu Fryderyka I i Dytrycha von Quitzow niewątpliwie unosił mu się przed oczyma sposób, w jaki Grillparzer w swoim świetnym dramacie „Szczęście i koniec króla Ottokara“ przedstawił Rudolfa Habsburskiego i króla czeskiego. J. Feliks Dahn w najlepszym po „Królu Roderyku“ (1875) z pomiędzy swoich utworów dramatycznych, mianowicie w „Wierności niemieckiéj“ (1875), malując kontrast pomiędzy królem Henrykiem a Arnulfem bawarskim, niemcem północy i południa, przypomina mistrzowski pierwowzór Grillparzera. Atoli jakże artystycznie, wierny patryota austryacki z wątku saméj rzeczy uczcił założyciela monarchii habsburskiéj, a z jaką narzucającą się tendencyą i jak niedramatycznie postąpił sobie Wildenbruch! Potrzeba tu właśnie przeprowadzić tego rodzaju porównanie, ażeby poznać całą czczość tych sztuk teatralnych. Bądź jak bądź, w berlińskich scenach ludowych „Quitzowowie“ przedstawiają wiele cech dodatnich, a talent Wildenbrucha pokazuje się tutaj spotęgowanym. Wsławienie cesarza Wilhelma II w obrzydliwych wierszydłach „Nowego pana“ nie ma z literaturą nic do czynienia. Zdaje mi się, że to Fritz Mauthner pisał: dla takiéj roboty nie ma krytyki, lecz tylko order.

Ostatniemi czasy Wildenbruch w udramatyzowanéj powiastce „Święty śmiéch“ (*Das heilige Lachen*, 1892) naraził się na stanowcze i całkiem zasłużone niepowodzenie. Sama atoli idea wprowadzenia na scenę powiastek zasługuje na zupełne uznanie. Gdyby siły i wydatki, obracane obecnie na całkiem niedorzeczne sztuki wystawne, dla których przecie większe miasta posiadają własne teatry, oddać na usługi poezyi, to zapewne dałby się osiągnąć rezultat, zaspokajający

zarówno kasę teatralną, jak i krytykę. Juliusz Verne ze sztukami wystawnemi połączył przynajmniéj interes pouczenia geograficznego. Wolfgang Kirchbach w dobrze pomyślanéj i poetycznie przeprowadzonéj powiastce scenicznéj „Ostatni ludzie“ (1889 r.), usiłował nowoczesne cuda wystawności oddać na usługi poezyi, dotychczas jednak nie spotkał się z odwzajemnieniem u żadnéj reżyseryi. Co prawdziwy poeta może stworzyć z żywiołów powiastki ludowéj, pokazał to aktor austryacki, Ferdynand Rainmund, jeden z najlepszych dramaturgów, którym się wogóle należy wspomnienie w dziejach niemieckiego teatru i literatury. Naturalnie, że nasze teatry ludowe, znajdując się pod rozkładowym wpływem operetki, nie są już w stanie zdobyć się na stylowe wystawienie „Rozrzutnika“, „Chłopa milionowego“, „Króla Alp i wroga ludzkości“. Coprawda, pełne humoru i dowcipu utwory Rainmunda bywają wciąż jeszcze grywane i przyjmowane wdzięcznie przez niezepsutą część publiczności, ale aktorowie coraz mniéj umieją ugodzić we właściwy ton, odpowiedni do tego rodzaju baśni ludowych. Jakim sposobem wytwory fantazyi należy zużytkować alegorycznie, nie pozbawiając ich głębszéj myśli i nie wytwarzając z nich mar tendencyjnych, tego autor „Świętego śmiechu“ mógłby się był nauczyć od Rainmunda. O udramatyzowanie baśni wschodniéj pokusił się także dytmarszanin Fryderyk Hebbel (1813—1863 r.) w swoim „Rubinie“ (1857 r.); podobnież udramatyzował on podany w księdze ludowéj przedmiot, dotyczący „Genowefy“ (1843 r.), a w „Gygesie i jego pierścieniu“ (1856 r.) motywy powiastki połączył z krętackiemi niemal wywodami psychologicznemi. Rozkładowo szperający rozum Hebbla, jego głęboka, lecz razowcowa natura przeznaczyła go właśnie jaknajmniéj na poetę powiastek. Toć nawet w swoich „Nibelungach“ nie umiał sprostać mitologicznym żywiołom przedmiotu. A jednak Hebbel, który naprzód w r. 1841 wystąpił ze swą „Judytą“ przeciwko niepoetycznym sprawkom „młodych Niemiec“, przewyższa o całą głowę wszystkich swoich spółzawodników w dramacie. Jako liryk, Hebbel stworzył rzeczy znakomitsze; jego balada „Czar miłosny“, balada o umierającym braminie należy do rzeczy najlepszych, jakie wogóle posiadamy; tak samo jego epos „Matka i dziecię“ w pośród wszystkich podobnych prób stoi najbliżéj „Hermana i Doroty“. Lecz ciężka biéda, z jaką musiał walczyć aż do ożenienia się z aktorką wiedeńską Krystyną Enghaus, przeszkodziła, jak to sam z żalem przyznawał, harmonijnemu rozwojowi człowieka i artysty. Jak w jego życiu stosunek do wspierającéj go matki jego dzieci z Hamburga, albo raczéj jego rozbrat z nią pozostaje plamą niezmytą, tak samo w jego utworach poetycznych pozostaje „przykra do zniesienia resztka ziemsko-

ści.“ Właściwe dzieło jego życia tragedya „Moloch“, która miała unaocznić rozwój kultury wśród barbarzyńców, pozostała ułamkiem, a i utworzony całkiem niezależnie od Schillera „Demetrius“ (1864 r.) nie doczekał się zupełnego wykończenia. Od Schillera Hebbel trzymał się w znacznéın oddaleniu, choć z drugiéj strony nie przylgnął on do Szekspira, jak Otto Ludwig; jako surowa, samodzielna natura, kroczył on swemi własnemi drogami. Nie był on niczyim uczniem, albowiem wielki wpływ na jego rozwój umysłowy, jaki sam przypisywał poezyi Uhlanda, leży przecież zbyt daleko po za granicami dziedziny dramatycznéj, a Uhland, jakkolwiek był naturą pouczającą, szkoły osobnéj nie wytworzył. Może inny poeta niemiecki, którego pomiędzy żyjącymi uważam za najoryginalniejszego i najznakomitszego dramaturga, mianowicie bremeński malarz Artur Fitger (urodz. 1840 r.) okazuje się jeszcze najbliżéj spokrewnionym z dramatyczną twórczością Hebbla. Posiadamy cztery tragedye Fitgera: grywaną bardzo rzadko z powodu religijnéj wolnomyślności bohatérki „Czarownicę“, nie grywaną wogóle z powodu skrupułów politycznych, mniéj téż udatną tragedyę „Z Bożéj łaski“, dramat historyczny „Adalbert von Bremen“ i odgrywające się za czasów Restauracyi angielskiéj przecudne dzieło „Róże z Tyburn“ (1888 r.); — o ile znam literaturę, najlepszy to nowszy dramat niemiecki. Zdaje mi się, że oprócz Bremy i Monachium nigdzie go nie grywano. I sam Hebbel osiągał powodzenie na scenach tylko niektóremi z pomiędzy swoich utworów: „Judytą“, „Maryą Magdaleną“ i „Nibelungami“. Osobliwe zagadnienia płciowe, które Hebbel stara się rozwiązać psychologicznie, utrudniają zrozumienie jego utworów, których wady występują odrazu, gdy tymczasem wielkie zalety ujawniają się dopiéro przy głębszém wniknięciu. Lecz Hebbel jest właściwym przedstawicielem tragedyi realistycznéj. W czasach, gdy Karolina Birch-Pfeiffer zalewała teatry swemi sentymentalnemi melodramatami, które wskutek pojednawczego zakończenia jeszcze bardziéj zalecały się względom posępnéj publiczności, dla dzieł Hebbla trudno było uzyskać miejsce. Dramat był reprezentowany przez panią Birch-Pfeiffer, komedya przez Roderyka Benedix'a. Edward Bauernfeld, którego dzieła stały znacznie wyżéj od tworów Benedixa, jakkolwiek wielce szanowany, po za granicami Austryi nie mógł odrodzonego płytkiego Kotzebuego wyprzéć z zajmowanego przezeń stanowiska. Potrzeba zresztą być sprawiedliwym; Benedix dostarczał sobie niewinnych komedyi, a tu i owdzie, np. w „Kuzynie“, „Kłamstwie“ udawały mu się rzeczy, godne pochwały. Za naszych dni, kiedy farsy Mosera-Schönthala i po prostu wstrętne, napuszone bazgraniny obrotnego pana Oskara Blumenthala

zapanowały na teatrach niemieckich, musimy już ku Benedixowi zwracać nasz wzrok do góry. Kierowany przez Blumenthala teatr Lessinga w Berlinie jest gorzkiém naigrawaniem się z wielkiego imienia, które teatr ten ciągnie razem ze sobą w błoto. Jeżeli kiedy wypadnie pisać dzieje opłakanego stanu teatru za naszych czasów, to w rozdziale, zatytułowanym „Scena pod panowaniem giełdy“, teatr Lessinga będzie zasługiwał na szczególniejsze uwzględnienie. Nigdy jeszcze panowanie Francuzów w teatrze niemieckim nie było tak bezwarunkowe, jak jest od wielu lat w teatrze Lessinga i Rezydencyjnym w Berlinie. Kiedy ludzie wykształceni całego świata na uroczystym pagórku w Bayreuth składają hołdy geniuszowi niemieckiego dramatu, na ulubionéj scenie nowoczesnéj berlińczyków panują Sardou i Dumas.

No, a nowa, naturalistyczna szkoła, która przecież wychodzi właśnie z Berlina? Z Berlina? Ależ nie, ona twierdzi, że pochodzi od Ibsena i Tołstoja, a w jéj oryginalność niech sobie wierzy ten, kto nie wié nic o dramacie społecznym przeszłego stulecia, o „Maryi Magdalenie“ Hebbla. We wstępie do niniejszych artykułów wykazałem, że jestem wolny od jakichkolwiek uprzedzeń względem naturalizmu. Kto się uczył w historyi, że tak Boileau i Gottsched, jak i burzliwcy i zapędowcy, tak Wiktor Hugo, jak i Zola, że wszyscy oni napadali na swoich poprzedników w imię naśladowania natury, a własne swoje dzieła zachwalali, jako zgodne z prawdą naturalną, ten nie będzie ani z Wilbrandtem, Heysem i Dahnem wzdrygał się przed hasłem „naturalizm“, ani téż wraz Hartem, Bleibtreuem i Sudermannem nie będzie odkrywał w tém nowéj ewangelii i zbawienia dla sztuki, lecz zastrzeże sobie swój sąd od wypadku do wypadku. Umysły lękliwe będą pod względem religijnym i obyczajowym gorszyć się nowelą Sudermanna (ur. 1857 w pobliżu Królewca) „*Katzensteg*“ (1889 r.), a cierpki pesymizm, straszliwie przygnębiający nastrój, jaki się unosi nad całém wschodnio-pruskiém opowiadaniem z roku 1814/15, i pod względem estetycznym niejednego czytelnika nie zadowoli [1]). Ja zaliczam „*Katzensteg*“ do najpotężniejszych utworów, istniejących w piśmiennictwie nowelistyczném, tak pod względem estetycznym, jak i etycznym, uważam go za wyborny i podziwiam poetę, który coś podobnego napisał; jak z drugiéj strony jego lubieżne naśladowania Guy de Maupasanta w „Historyach w półmroku“ („*Geschichten im Zwielicht*“) wydają mi się obrzydliwemi. Obie nowele „*Die Geschwister*“

---

[1]) O Sudermannie patrz „Ateneum“, zesz. majowy r. b., str. 290—302. (Przyp. red.).

i zwykle najbardziéj wychwalona „*Frau Sorge*“ są doskonałe, lecz nie stoją na téj saméj wyżynie sztuki, co nawskroś oryginalny „*Katzensteg*“; zresztą „*Frau Sorge*“ znajduje się pod silnym wpływem nowel chłopskich Björnsona. O ile jednak chwalę w Sudermannie naturalistycznego twórcę nowel, o tyle muszę się wyrazić nieprzychylnie o Sudermannie, jako naturalistycznym dramaturgu. „Honor“ (1890) znalazł w Niemczech taki poklask i rozpowszechnienie, jakie na mocy zwyczaju i prawa przystało tylko wytworom paryskim. „Koniec Sodomy“ (1891 r.) spotkał się z bardziéj podzieloném przyjęciem. Kiedym pewnemu przyjacielowi wypowiedział odrazę z powodu „Końca Sodomy“, ten surowo wierzący teolog odpisał mi, że chyba m ja nie widział téj sztuki, na nim bowiem te dramatyczne ucieleśnienie zdania biblii *stipendium peccati mors est* (zapłatą grzechu jest śmierć) zrobiło prawdziwie podniosłe wrażenie. We mnie oba dramaty Sudermanna budziły taki sam wstręt przy widzeniu, jak i przy czytaniu. Chwali się tu przedewszystkiém wierne przedstawienie tylnéj oficyny, owéj rodziny, o któréj nie można powiedzieć żeby upadła, lecz dla któréj pojęcia obyczajności i przyzwoitości wogóle wcale nie istnieją, oraz jéj przeciwieństwo z wykształconym po kupiecku i powodowanym innemi pojęciami honoru synem. Wzór znajduje się w „Dzikiéj kaczce“ Ibsena; da się to wykazać rys za rysem. Sposób, w jaki hrabia Trast rozróżnia honor i obowiązek, jest nietylko sofistyczny, lecz zarazem nielogiczny, a ślub w zakończeniu doprowadza nas do nieboszczyka Ifflanda, który istotnie swojemi czasy był naturalistą i z powodu naśladowania płytkiéj rzeczywistości spotykał się z naganą od Schillera. Nadzwyczajnego zaś powodzenia „Honoru“ nie należy szukać w przyczynach literackich, ani też nie można go zwalczać wykazaniem słabych stron estetycznych. Jest-to protest przeciwko społecznemu uprzywilejowaniu stanu oficerskiego, protest, który, choć jest mowa tylko o oficerach rezerwy, występuje z wielkich scen tendencyjnych sztuki i święci w niéj polityczne zwycięstwo stronnictw opozycyjnych. Kiedy następnie Sudermann w „Końcu Sodomy“ przedstawił towarzyskie zepsucie berlińskich sfer giełdziarskich i zarażonych przez nie kół artystycznych, chociaż w sposób osmagany już przez Schillera w epigramacie:

Wollt ihr zugleich den Kindern der Welt und den Frommen gefallen,
Malet die Wollust nur, malt auch den Teufel dazu: [1])

---

[1]) Jeżeli chcecie podobać się jednocześnie dzieciom tego świata i pobożnym, malujcie tylko lubieżność, malujcie do tego i dyabła.

wtedy gościom teatru Lessinga podobało się to daleko mniéj. Pewna jednak gazeta socyalno-demokratyczna zauważyła trafnie: Sudermann potępia tutaj zgniliznę burżuazyi, podobnie jak niegdyś Beaumarchais w „Weselu Figara“ postawił pod pręgierzem panujące sfery starego rządu (*l'ancien régime*).

Bezwątpienia, w „Honorze“ i „Końcu Sodomy“ Sudermann chciał stworzyć dramaty tendencyjne. Tylko że wskutek tego nie należy zaraz czcić w „Honorze“ jakiéjś nowéj ery dramatycznéj, gdyż pod względem poetyckim jest on bardzo słaby i w głównych rysach zależny od wzorów obcych; co się zaś tyczy „Końca Sodomy“, to niejedno jest tutaj niemoralne, a ja nie mogę się przekonać, ażeby autorowi chodziło tutaj tak bardzo naseryo o tendencyę moralną całości. Dramat społeczny, rzekomy wynalazek naturalizmu, dokonany przez Hauptmanna, Vossa, Bährа, Sudermanna, Conradiego, Fuldę, jest tylko wskrzeszeniem prób dramatycznych „okresu burzy i zapędów.“ I Lenz, Henryk L. Wagner, Karol Lessing, v. Grimmingen, ba, nawet Schiller w „Zbójcach“ i „Intrydze i miłości“ pragnęli oddziaływać ze sceny przeciwko wadliwościom i na korzyść reform społecznych. Lenz, którego przecie Bleibtreu wysławia także jako torującego nowe drogi poetę w przeciwieństwie do błędnego ognika—Goethego, chciał przedstawić w swoich dramatach szkodliwość wychowania prywatnego, niebezpieczeństwo, grożące córkom obywatelskim wskutek obcowania z oficerami i t. p. Dumas młodszy w kilku swoich dramatach chciał wykazać konieczność nowego urządzenia prawnego rozwodów, które téż przyjaciel jego Naquet nareszcie przeprowadził. I tutaj chodzi przedewszystkiém o to, w jaki sposób poeta obowiązujące go raz na zawsze zadanie poetyczne umié w szczególnym wypadku połączyć ze swobodnie obraném zagadnieniem społeczném i takowe rozwiązać. Nawet tam, gdzie zagadnienia Ibsena, np. w „Kobiécie morza“ i „Heda Gabler“, wzbudzają wątpliwości, siła dramatyczna głębokiego, lubo częstokroć sofistycznego szperacza, posiadającego bogate doświadczenie, trzyma słuchacza na uwięzi. Zupełnie wszakże inaczéj ma się sprawa, jeżeli młodzi pisarze, których całe doświadczenie życiowe zasadza się na niejakich stosunkach z damami, należącemi do sfer berlińskich, przedstawionych w „Końcu Sodomy“, występują z pretensyą rozwiązywania kwestyi społecznych w swych, ubogich w akcyę obrazkach rzeczywistości. Rzadko zapewne dostawała się na scenę sztuka, w któréjby autor tyle nałgał, co np. Ludwik Fulda w swojéj „Niewolnicy“ (1891 r.). Dramat ten jednak, opierający się na nieznajomości życia i w najwyższy stopniu niedojrzałém pojmowaniu małżeństwa, rości sobie pretensyę do rozwiązania kwestyi kobie-

céj, jako *pendant* do „Nory“ Ibsena. Ograniczonym spektatorkom niechby sobie zawracała głowy teorya, że troska o gospodarstwo domowe jest hańbiącą niewolą dla kobiét; poklask, z jakim się spotkała ta sztuka, byłby zawstydzającym dla niemieckiéj publiczności teatralnéj, gdybyśmy w rzeczach teatru mieli wogóle jeszcze jaki wstyd. Lecz cóż może być zbyt złego dla publiczności, która przeszło dziesięć lat znosi cierpliwie panowanie krytyczne takiego Pawła Lindau, a teraz przyjmuje chętnie to, co Blumenthal uważa za stosowne dla swego interesu i dla swoich przyjaciół w interesie!

Bezwątpienia, wprowadzony przez pana Ottona Brahma nowy i lepszy Schiller — Gerhard Hauptmann (ur. na Śląsku 1862 r.) nie pozyskał uznania, jakiego sobie życzył jego prorok. Hauptmann stoi niezawodnie znacznie wyżéj od takiego Fuldy; lecz właśnie dlatego odstręcza on od siebie publiczność, ponieważ wskutek swéj samodzielności nie może na wzór Fuldy przebrać się w szaty Sardou. Pierwsze przedstawienie dramatu „Przed wschodem słońca“ (1889 r.) z jego bohaterkami, dotkniętemi dziedzicznym obłędem pijackim, z okrzykami boleści położnicy—środek naturalistyczny, którym, mówiąc nawiasem, posiłkował się już Plautus — i z jego bohatérami socyalno-demokratycznemi wywołało skandal na „scenie wolnéj“; „Uroczystość pokojowa“ (1890 r.) i „Samotni ludzie“ (1891 r.) wzbudziły zaciekawienie, a pozbawiona akcyi opisowość w „*College Crampton*“, dzięki wybornemu komikowi berlińskiemu, wywołała tak wesoły skutek, jakiego Hauptmann prawdopodobnie nie miał na myśli. W dramacie „Tkacze“, napisanym w dyalekcie śląskim, zwrócił się właśnie niedawno do opracowania kwestyi robotniczéj. Hauptmann posiada bezwarunkowo pewną właściwą sobie moc i moralną powagę, dotąd jednakże nie poszczęściło mu się stworzyć czegoś posiadającego wartość literacką; ze wszystkich jego dotychczasowych prac można poznać tylko pewne uzdolnienie, błąkające się jeszcze po manowcach. Stoi on na lewém skrzydle naturalistów, gdy tymczasem Ryszard Voss (ur. na Pomorzu 1851 r.), uczeń i naśladowca Heysego w nowelach włoskich, pomimo swych licznych dramatów społecznych, w gruncie rzeczy stoi zdala od szkoły naturalistycznéj. Toć nawet Wildenbruch, podniecony laurami dramatycznemi Sudermanna, w pierwszym akcie swojéj „Dzierlatki“ zapragnął rozwiązać kwestyę robotniczą; w następnych atoli trzech aktach zupełnie o tém zapomniał i „naiwną“ dawniejszéj komedyi, przebraną za robotnicę fabryczną, postawił w położeniu, istotnie niebezpieczném dla jéj cnoty. W obozie naturalistycznym istnieje prawdziwy poeta dramatyczny, który mógłby całkowicie dojrzéć przy obeznaniu się ze sceną; jest-to berlińczyk Karol Bleibtreu (ur. 1859 r.). W swoich potężnych dramatach

historycznych „Przeznaczenie“ (1887 r.), „Sąd ostateczny“ (1888 r.) przypomina on Grabbego, nie wpadając w jego dziwactwa. Zarówno w obrazach bitew, jak i w swoich dramatach nadaje on osobom i wypadkom tyle żywości, że odstępuje ona istotnie od wszelkich szablonów i może być w najlepszém znaczeniu nazwana naturalistyczną. Jednakże żaden z pomiędzy dramatów Bleibtreua nie doczekał się wystawienia publicznego; tylko wskutek dobrowolnéj ugody „sceny niemieckiéj“ „Przeznaczenie“ zostało wystawione na jednym poranku teatralnym r. 1890. Pomimo posuniętych prawie do śmieszności braków wystawienia, pierwsze trzy akty, przedstawiające stłumienie buntu paryskiego przez jenerała brygady Napoleona i staranie się tegoż o rękę Józefiny Beauharnais, zrobiły wrażenie potężne. Oba ostatnie akty, mianowicie rozłączenie z Józefiną, opracowane przez Karola Heigla we własnym często grywanym dramacie (Monachium 1882), i odpłynięcie na wyspę św. Heleny, są tylko obrazami bez akcyi dramatycznéj. Pomimo jednak wszystkich, zasługujących na wytknięcie braków, Bleibtreu mógłby się wyrobić na rzeczywiście nowoczesnego potężnego dramaturga, gdyby sceny nasze chciały zużytkować istniejącą siłę, zamiast ją skazywać na zagładę w dramacie do czytania.

Musimy to sławić jako osobliwie szczęśliwe zrządzenie, że drogę do teatru znalazł jeszcze za życia inny naturalista — Ludwik Anzengruber, poeta ludowy w najlepszém znaczeniu tego wyrazu, podobnie jak i jego ziomek austryacki Raimmund. Urodzony roku 1839 w Wiedniu, Anzengruber został naprzód pomocnikiem księgarskim, w roku 1860 porzucił to zajęcie i wstąpił do teatru; po dziewięciu latach aktor przyjął nieznaczny urząd policyjny, ażeby od r. 1871 poświęcić się całkowicie poezyi. Od 19-go roku życia pisał bez ustanku sztuki teatralne i — palił je, dopóki spór, wywołany przez staro-katolicyzm, nie pobudził go w roku 1870 do wystąpienia z „Proboszczem z Kirchfeld.“ Nie jestto najlepsza jego sztuka, lecz ustaliła ona jego sławę. Anzengruber należy zarówno do historyi poezyi, pisanéj w gwarach ludowych, oraz historyi opowiadań wiejskich, jak i do dziejów niemieckiego teatru. Herder a po nim Goethe występowali w obronie gwar ludowych przeciwko tyrańskiemu panowaniu narzecza miśnijskiego, Jan Piotr Hebel swojemi poezyami alemańskiemi na początku tego stulecia po raz piérwszy zjednał napowrót wziętość utworom poetycznym, pisanym w gwarze ludowéj; od połowy szóstego dziesięciolecia dolnoniemieckie poezye Fritza Reutera rozpoczęły swój pochód zwycięski po Niemczech. Już przed nim profesor monachijski Franciszek Kobell wystąpił ze zbiorami poezyi w narzeczu górno-bawarskiém, którém

w gruncie rzeczy posługuje się i Anzengruber; w roku 1868 Kobell wydał także zbiór górno-bawarskich sztuk ludowych. Nowela wiejska, któréj piérwszy przykład wsunął Goethe w drugie opracowanie „Cierpień Werthera,“ stała się samodzielną przez „Oberhof“ Immermanna, a Bertold Auerbach wprowadził ją w modę swemi „*Schwarzwälder Dorfgeschichten.*“ Herman Schmid i Maksymilian Schmidt opowiadali swoje historye w narzeczu górno-i dolno-bawarskiém. Tym sposobem był przygotowany grunt do wprowadzenia na scenę sztuki ludowéj, jaką reprezentuje Anzengruber. Ucieleśmił on w swych postaciach niezłomną, przyrodzoną siłę z jéj szorstkością, głębokie uczucie i zmysł poetyczny, ograniczność i naturalną chytrość, wierność i namiętność, słowem wszystkie przyrodzone właściwości, jakiemi się odznaczają nasi niemieccy mieszkańcy Alp. Czuł on i żył wraz z ludem i tworzył pod wewnętrznym wpływem saméj istoty życia ludowego, a nie zniżał się sztucznie do jego punktu widzenia. Nie masz dostatecznéj pochwały dla utworów dramatycznych Anzengrubera. Od czasów „Sprzysiężenia kobiet“ („*Ekklesiazusai*“) Arystofanesa nie utworzono jeszcze scen, odznaczających się takim śmiałym, a jednak nawet na naszych powściągliwych scenach dozwolonym komizmem, jaki wykazują „die Kreuzelschreiber“ (ludzie, którzy nie umieją napisać swego nazwiska i zamiast tego robią krzyż). Jakaż obfitość humoru, połączonego z najgłębszą powagą moralną, stanęła tutaj na usługi Anzengrubera! Każda z jego osób jest typową dla naszych górali, nie tracąc najbardziéj indywidualnego zabarwienia. Swojemi dramatami chłopskiemi Anzengruber wytworzył szkołę, i przynajmniéj Herman Schmid w niektórych swych utworach dramatycznych, jak „*Der Tazelwurm*,“ „*Die Zwiderwurzen*,“ stworzył rzeczy dobre. Monachijski teatr ludowy przy Gärtnerplatz postawił sobie następnie za zadanie pielęgnować rodzaj dramatyczny, stworzony przez Anzengrubera, a naśladowany przez Ganghofera, Neuerta, panią Hartl-Milius i innych. Upłynęły już całe lata, odkąd „Monachijczycy“ ze swemi sztukami chłopskiemi wędrują po Niemczech i Ameryce, zdobywając sobie wszędzie poklask stylową grą wspólną i zgodném z naturą, choć nie pozbawioném wskutek tego poezyi, jak to uważają za konieczne naturaliści berlińscy, przedstawieniem niepodrobionego życia ludowego.

Wszystkie atoli pocieszające i niezdrowe zjawiska, świadczące o poważnych wiernych dążnościach lub zgubném wyzyskiwaniu, jakie wybrałem z nowszych dziejów niemieckiego dramatu i teatru, wszystko to ustępuje w cień przed działalnością olbrzymiego umysłu, który wycisnął swoje piętno na historyi sztuki niemieckiéj z ostatnich lat czter-

dziestu. Nie może nam tu chodzić o podobanie się lub niepodobanie muzyki Ryszarda Wagnera (1813 — 1882), lecz o jego stanowisko w dziedzinie dramatu niemieckiego a nawet całéj kultury niemieckiéj, które się stało historycznem.

Gottsched ogłosił był operę za najgorszego wroga dramatu i rzeczywiście na krótki czas wyparł ją prawie z teatru niemieckiego. „Co jest za głupie, ażeby mogło być wypowiedzianém, to podkłada się pod muzykę“ — taki był sąd Voltaire'a o operze w czasach, kiedy austryak Willibald v. Gluck pracował już nad jéj reformą dramatyczną. Natomiast „Don Juan“ Mozarta wzmocnił w Schillerze dawną ufność, że z opery, podobnie jak niegdyś z chórów bakchickich wyłoniła się tragedya w formie szlachetniejszéj. Nie wiedział on, że już Lessing w szkicach do trzeciéj części Laokoona domagał się nowego, jeszcze nieznanego rodzaju połączenia muzyki i poezyi, w którym każda z tych sztuk będzie mogła rozwinąć właściwą jéj istotę i w swobodném działaniu wspólném wytworzą artystyczną całość dramatyczną. W istocie, założyciele opery we Florencyi w wieku XVI, Peri i Rinuccini, nie chcieli stwarzać jakiegoś nowego rodzaju muzyki, lecz tylko wskrzesić nanowo dramat starożytny; to téż Gluck, usuwając samowolnie śpiewaków i żądając od muzyki dramatycznego wyrazu oraz wewnętrznéj prawdy, postępował zgodnie z zamiarami założycieli opery. Mozart, który w „Porwaniu z seraju“ i „Zaczarowanym flecie“ oparł się o niemiecką operę, jaką w przeciwieństwie do opery włoskiéj pielęgnowano szczególnie w Hamburgu, pomimo swego włoskiego wykształcenia domagał się opery niemieckiéj. Według Wagnera, brakowało mu tylko poezyi, ażeby stworzyć arcydzieła w zakresie dramatu muzycznego. Lecz, dzięki geniuszowi Rossiniego, opera włoska zdobyła sobie nanowo panowanie w całéj Eurpie. Karol Marya Weber i następujący po nim romantycy (Marschner, Spohr) z trudnością mogli zapewnić poważanie swym właściwościom dramatycznym. Weber, będący i na stanowisku kapelmistrza w Dreznie poprzednikiem Wagnera, we własnym programie, obok panowania opery włoskiéj i francuskiéj, żądał także opery niemieckiéj, nadającéj wyraz charakterowi niemieckiemu. Jednakże, z winy autorki tekstu nie mógł on osiągnąć swego celu w operze refomatorskiéj „*Euryanthe.*“ Wagner natomiast był z natury poetą i będąc jeszcze chłopcem, ułożył szereg tragedyj; dopiéro kiedy usłyszał „Egmonta“ Goethego z muzyką Beethovena, począł sam zajmować się muzyką, ażeby z jéj pomocą podnieść wrażenie swych dramatów. Ten punkt wyjścia Wagnera potrzeba uwzględnić jaknajbaczniéj, gdyż Wagner musi być oceniony nie jako muzyk, lecz jako dramaturg. Własny swój stosunek zaznaczył on pewnego razu

dobitnie, mówiąc: „Pozwalam sobie tylko o tyle wdawać się w muzykę, o ile spodziewam się urzeczywistnić w niéj zamiary poetyckie.“ To téż osobiste sporządzenie tekstów było dla niego rzeczą samą przez się zrozumiałą, o czém nie myślał jeszcze żaden kompozytor, prócz dzielnego Lortzinga. Tymczasem dzięki Beethovenowi, muzyka instrumentalna nabrała nieprzeczuwanéj dotąd głębokości i zdolności do oddawania charakterów. Więc téż młody Wagner w zachwycającéj noweli „Pielgrzymka do Beethovena“ kładzie w usta Beethovena własne swoje myśli reformatorskie, które następnie rozwinął w szeregu pism: „Opera i dramat“ (3 tomy), “Sztuka i rewolucya,“ „Dzieło sztuki w przyszłości,“ „Sztuka i klimat,“ „Niemiecka sztuka i niemiecka polityka“, i wielu innych. Opera ma wzbudzać pozór dramatu, a więc łudzić; powinna ona traktować poważnie to, co udaje. Muzyka jest środkiém do wyrażenia dramatycznego, w operze uczyniono z niéj rzecz główną, akcya dramatyczczna jest jedynie więcéj niż powodem i pretekstem do robienia muzyki. Arye, duety, chóry i t. d. są samemi tylko pojedyńczemi formami muzykalnemi, które swobodny ruch poety czynią niemożliwym, a nawet samemu muzykowi nie pozwalają na rozwinięcie własnéj jego sztuki, która w symfoniach Beethovena wytworzyła sobie swą wielką formę jednolitą. Jak poeta tworzy w dramacie jedną spoistą całość, tak samo i muzyk powinien postępować z orkiestrą, t. j. powinien ją traktować symfonicznie. Również złośliwe jak i niedorzeczne potwarze, w których zarzucano Wagnerowi nienawiść do melodyi i tym podobnym rzeczy, nie zasługują na poważne odparcie. Naturalnie, że niema muzyki bez melodyi. Jak jednak przebieg myśli w noweli Sienkiewicza jest łatwiejszy do pochwycenia aniżeli w „Dziadach“ Mickiewicza, tak samo niewprawne ucho łatwiéj pochwyci aryę z „Normy“ aniżeli rozwinięcie tematu w symfonii Beethovena lub w rapsodyi Chopina. W swoim czasie kwartetom Mozarta, a nawet jego „Figarowi“ i „Don Juanowi“ tak samo zarzucano brak melodyjności, jak za dni naszych Wagnerowi. Więc jeżeli ktoś zgoła wyzyskuje melodyjnego „Tannhäsera“ i „Lohengrina“ przeciwko wrogiemu melodyi „Pierścieniowi Nibelunga,“ to należy przypomnieć, że ci sami krytycy po piérwszém wystawieniu „Lohengrina“ szydzili sobie, że dzieło to nadaje się do zaostrzenia kar na skazańców, nikt bowiem nie zechciałby dobrowolnie słuchać téj muzyki.

Aliści kwestya wagnerowska była i jest nie sporną kwestyą muzyczną, lecz kwestyą stanowiska sztuki dramatycznéj w życiu publiczném. Będąc kapelmistrzem w małych niemieckich teatrach prowincyonalnych, Wagner sądził, że jeżeli praca ich nie wydaje zadowalających rezultatów, to wina tego spoczywa w ich ograniczonych wa-

runkach. Udał się tedy do Paryża, gdzie właśnie podówczas wielka opera Meyerbeera rozwinęła swój największy blask, i tutaj musiał się przekonać, że o powodzeniach teatralnych i modzie decyduje tylko powierzchowne nagromadzenie środków efektownych bez prawdy wewnętrznéj. Wagner dosadnie scharakteryzował wielką operę historyczną Meyerbeera i jego naśladowców jako „Skutki bez przyczyny.“ W „Rienzim“ był on sam jednym z owych naśladowców, lecz właśnie w Paryżu poczuł się po raz piérwszy artystą niemieckim, tutaj poetę, przepełnionego tęsknotą za krajem, porwały podania o latającym Holendrze, Tannhäuserze i rycerzu z łabędziem (Lohengrin). Potém nastąpiły lata działalności w charakterze kapelmistrza w Dreznie, i Wagner musiał nabrać coraz głębszego przeświadczenia, że w granicach szablonu wielkomiejskich instytucyj zabaw, jego ideał dramatu i teatru nie da się urzeczywistnić. Przy wymaganiach, stawianych niemieckiemu teatrowi pod względem repertuaru, niepodobna wytworzyć stylu narodowego, jaki wykształcił i u siebie Francuzi i Włosi. Jak Schillerowi i Kleistowi, tak samo i Wagnerowi unosił się przed oczyma obraz teatru greckiego, w którym cały naród zgromadził się w uroczystym nastroju, ażeby pozwolić oddziaływać na siebie podnoszącéj i oczyszczającéj potędze tragedyi. Tymczasem zaś widział on przed sobą roztargnienie zblazowanych abonentów, którzy wieczorem w teatrze chcieli przyjemnie i bez umysłowego wysiłku wypocząć sobie po swych zajęciach całodziennych. Wskutek udziału w majowém powstaniu drezdeńskiém roku 1849, Wagner został wygnany z Niemiec, a dzieła jego zniknęły ze wszystkich scen oprócz małego teatru dworskiego w Weimarze, zostającego pod kierunkiem Franciszka Liszta; wtedy wykończył on swoją tetralogię o Nibelungach i on, wygnaniec, oświadczył, że dzieło to pozwoli wystawić tylko na specyalnie w tym celu wzniesionéj scenie przed specyalnie w tym celu zgromadzoną publicznością. Przyszły czasy, w których Wagner zwątpił o możności przeprowadzenia swego śmiałego przedsięwzięcia; aż wreszcie w r. 1864 król Ludwik II prześladowanemu poecie przyrzekł wspaniałomyślnie ochronę i poparcie. Roku 1876 mogło się odbyć w Bayreuth piérwsze przedstawienie „Pierścienia Nibelunga,“ a w roku 1882 takież przedstawienie „Parsifala.“ Kiedy w kilka miesięcy petem Wagner umarł, przeciwnicy jego wołali w radości: no, teraz historya Bayreuth skończona. Tymczasem wbrew oczekiwaniom tak przyjaciół jak i nieprzyjaciół stało się zupełnie przeciwnie. Pod kierunkiem pani Cosimy Wagner, przedstawienia w Bayreuth poczęły wzbudzać wzmagające się z roku na rok zaciekawienie; stało się możebném do zakresu przedstawień uroczystych wciągnąć „Trystana i Izoldę,“ „Meistersingerów

z Norymbergi,“ „Tannhäusera,“ i właśnie przy dramatach, grywanych wszędzie oddawna, ujawniło się znaczenie Bayreuth jako idealnéj sceny wzorowéj. „Dyrygowałem Tannhäuserem,“ mówił mi w przeszłym roku nadworny kapelmistrz w Monachium, „zapewne przeszło dwieście razy, poznałem go jednak dopiéro tutaj.“ Nie wszystko, co zamierzał Wagner, zostało dotychczas wprowadzone w wykonanie, gdyż nie tylko jego własne dzieła, ale także opery Glucka, Mozarta, Beethovena, Webera, „Faust“ Goethego miały być dawane w teatrze odświętnym; ukazujące się nanowo wielkie dzieła młodszych poetów i kompozytorów miały wychodzić z uroczystego pagórka w Bayreuth. „Oj ci Niemcy! chcą miéć teatr narodowy wprzód, nim się stali narodem,“ mówił z szyderstwém Lessing w roku 1768. Wielki narodowy czyn artystyczny w Bayreuth [1]) był możebny dopiére po zjednoczeniu politycznem Niemiec. Jeżeli wszakże w dziedzinie polityki pomiędzy narodami występują coraz bardziéj najjaskrawsze przeciwieństwa, to na pagórku uroczystym w Bayreuth przedstawiciele wszystkich narodów składają bez zawiści hołd wielkiemu dramaturgowi germańskiemu, w którego dziełach jest wcielone najwyższe dzieło sztuki, dokonane przez zdążający ku schyłkowi wiek dziewiętnasty.

D-r Max Koch.



[1]) Por. Max Koch „Was kann das deutsche Volk von Richard Wagner lernen?“ (Czego się może nauczyć naród niemiecki od R. Wagnera?). Berlin 1888.



KONWERSYA
LISTÓW ZASTAWNYCH.



I. Konwersya procentowa.

Zmiany na rynku pieniężnym, podrożenie lub stanienie kapitału, wywołują konieczność zmieniania stopy procentowéj od pożyczek udzielanych na zastaw nieruchomości, tudzież emitowanych na ich podstawie listów zastawnych. Nie tak to jednak łatwo instytucyi kredytu hypotecznego podążać za biegiem giełdy. Jak nieruchomość, stanowiąca podstawę operacyi instytucyi, jest nieruchliwą i skamieniałą, tak i sama instytucya staje się ciężką w swych ruchach i niepodatną do szybkich zmian.

Bank handlowy, którego pasywa stanowią wkłady krótkoterminowe, a aktywa weksle, lub inne zobowiązania, nie przekraczające terminu kilkomiesięcznego, ma bardzo łatwe zadanie przy zmianie stanu rynku: ogłasza, iż od początku przyszłego miesiąca, albo nawet wcześniéj, zmienia stopę procentową — i rzecz skończona. Bank zaś hypoteczny, który wypuścił listy zastawne, mające znajdować się w obiegu przez ćwierć, pół wieku, a niekiedy i dłużéj, nie może się posiłkować tak uproszczoną procedurą, ale musi przedsiębrać cały szereg operacyi finansowych, zwanych konwersyą.

O ile idzie o wydanie nowych pożyczek i listów zastawnych, sposób postępowania banków hypotecznych, nie różni się wcale od praktyki, przyjętéj przez banki handlowe. Na mocy prawa z roku 1869 Towarzystwo kredytowe ziemskie w Królestwie Polskiém, podniosło stopę procentową z 4 do 5% tak od pożyczek, jak i od listów zasta-

wnych, wydanych na mocy tego prawa, — w podobny sposób ruskie banki ziemskie zniżyły stopę procentową, ze 6% na 5% od pożyczek i listów zastawnych, wydanych od dnia 1 lipca 1891 r.

Trudność cała polega na pogodzeniu z nowém położeniem rzeczy pożyczek dawniéj zaciągniętych i emitowanych na ich podstawie listów zastawnych. I tak np. stan rynku pieniężnego pozwala dzisiaj emitować listy zastawne na 4%, tymczasem w obiegu znajdują się listy zastawne, wydane wczoraj i dawniéj na 5%, — dla czego właściciel ziemski, który wczoraj, przed rokiem, a choćby 10-ciu i więcéj laty zaciągnął pożyczkę, ma jeszcze przez lat 30, 40 i dłużéj płacić corocznie 5%, kiedy stopa procentowa zniżyła się o 1%? Jest to widoczna niesprawiedliwość, któréj usunięcie jest właśnie zadaniem konwersyi.

Pierwsza taka operacya dokonaną została w roku 1840 przez Śląskie Towarzystwo kredytowe. Instytucya ta emitowała 4% listy zastawne, które w obiegu sprzedawane były z premią 7%, to jest listy 100 talarowe sprzedawały się po 107. To zachęciło Towarzystwo do zniżenia stopy procentowéj, a dla dopięcia tego celu wydało publikacye do właścicieli listów zastawnych z wezwaniem, aby w czasie od połowy 1839 do początku 1840 zgłosili się do otrzymania za listy zastawne zapłaty w gotowiźnie, po nominalnéj cenie, — od listów zaś, których właściciele nie zgłoszą się, Towarzystwo zadeklarowało płacić od początku 1840 r. procent tylko, w stosunku 3½%; kto zaś w ciągu 1839 r. zgodzi się na zamianę 4% listów na nowe o niższym procencie, ten otrzyma premią w stosunku 1%. Rezultat okazał się nader pomyślnym. Na 40 milionów talarów listów zastawnych, zaledwie 26,000 żądało zapłaty w gotowiźnie, 500,000 nie zgłosiło się, a reszta dobrowolnie skonwertowaną została. Nie długo po dopełnionéj konwersyi listy zastawne 3½% stały wyżéj równi.

W podobny sposób dokonaną została konwersya przez Towarzystwa kredytowe Prus Zachodnich i Prus Wschodnich.

W czasie kiedy system amortyzacyjny nie był jeszcze w użyciu, konwersya nie przedstawiała poważnych trudności ani w stosunku do posiadaczy listów zastawnych, ani w stosunku do dłużników instytucyi. List zastawny ulegał wypowiedzeniu z terminem 6-o miesięcznym, prawo to przysługiwało tak jednéj, jak i drugiéj stronie, nie zachodziła przeto żadna przeszkoda dla instytucyi do spłacenia w każdym dowolnym czasie zobowiązania przez nią zaciągniętego w formie listu zastawnego za 6-o miesięczném naprzód wypowiedzeniem, i wydania w to miejsce innego zobowiązania na dogodniejszych dla niéj warunkach.

Stosunek do dłużników instytucyi żadnéj skutkiem konwersyi nie uległ zmianie. Dłużnik płacił bowiem od zapożyczonéj sumy tylko procent, a nic nie wnosił na umorzenie kapitału, który skutkiem tego nie zmniejszał się stopniowo, ale pozostawał w niezmiennéj wysokości aż do chwili wypowiedzenia. Konwersya miała przeto wpływ tylko na wysokość procentu, ale nie oddziaływała na kapitał, na szybszą, lub powolniejszą jego amortyzacyą. Dłużnik Śląskiego Towarzystwa, który od sumy 10,000 płacił do roku 1840 corocznie procentu 400, po dopełnionéj konwersyi z 4 na 3½% płacił tylko 350, bez żadnych dalszych konsekwencyi.

Inaczéj zupełnie rzecz się ma dzisiaj przy systemie amortyzacyjnym.

Najprzód, w stosunku do posiadaczy listów zastawnych. Pożyczka zaciągnięta przez instytucyą u kapitalisty, który przyjmuje zobowiązanie w postaci listu zastawnego, jest to umowa dwustronna, któréj warunki obowiązują obie strony. Jak posiadacz listu zastawnego przy podniesieniu się stopy procentowéj np. 5 na 6%, nie ma prawa żądać zwrotu swego kapitału, który pierwiastkowo oddał na 5%, ale czekać musi aż póki w okresie amortyzacyjnym los listu jego z urny nie wyciągnie, tak samo i instytucya, która przyjęła zobowiązanie płacenia od wydanego przez siebie listu zastawnego 5% przez pewien szereg lat, nie ma prawa przy zniżeniu się stopy procentowéj na 4%, żądać od swego wierzyciela przyjęcia napowrót kapitału przed upływem umówionego terminu.

W stosunku do dłużnika położenie zmienia się o tyle, iż ponieważ rata, którą on płaci, mieści w sobie dwa pierwiastki: procent i część kapitału, to zmiana wysokości raty wpływa nietylko na stopę procentową, ale i na rozmiar części, przeznaczonéj na umorzenie kapitału.

Tak np. dłużnik, który zaciągnął w Towarzystwie kredytowém ziemskiem 5% pożyczkę z r. 1869 w sumie rs. 100,000, konwertując ją po upływie lat 12 na takąż pożyczkę 4%, umarzać będzie dług swój od 23 półrocza słabiéj, aniżeli wówczas, gdyby pozostał przy dawnéj pożyczce 5%, a mianowicie:

w półroczu	umarza się z kapitału:	
	przy pożyczce 5%	przy pożyczce 4%
23	860	850
24	882	864
25	904	878
26	926	892
28	973	921

w półroczu	umarza się z kapitału:	
	przy pożyczce 5%	przy pożyczce 4%
30	1023	950
40	1309	1114
50	1676	1306 i t. d.

Skutek takiego ciągłego zmniejszania się kwoty amortyzacyjnéj w stosunku jednéj pożyczki do drugiéj jest ten, iż skonwertowana pożyczka nie będzie mogła być umorzona w terminie pierwotnie zakreślonym, t. j. w ciągu lat 36½ i trzeba albo termin trwania pożyczki przedłużyć, albo spłacić całkowitą pożyczkę 5% i wziąć nową pożyczkę w listach zastawnych 4%, czyli obok konwersyi procentowéj, dopełnić jeszcze drugą konwersyę seryjną, o któréj niżéj mówić będziemy.

Znana jest druga jeszcze droga, polegająca na têm, aby jednocześnie ze zmniejszeniem stopy procentowéj, podwyższyć w odpowiednim stosunku skalę amortyzacyjną, przez co konwersya procentowa może nastąpić bez konieczności przedłużenia terminu amortyzacyjnego i bez przejścia z pożyczką do nowéj seryi. Kombinacya ta stosowana była przy konwersyi 6% pożyczki ruskich banków ziemskich na 5%, a ponieważ polega na rachunku, który w każdym pojedyńczym wypadku oddzielnie przeprowadzić należy, przeto najlepiéj da się wyjaśnić na konkretnym przykładzie. Przypuśćmy tedy wypadek, w którym dłużnik sumy 10,000 rs. zaciągniętéj w 6% listach zastawnych na lat 43½, przystępuje do konwersyi po upływie lat 10 od chwili jéj zaciągnięcia. Od pożyczki téj płaci on półrocznie 3% t. j. 300 rs. na procent i ¼% t. j. 25 na amortyzacyą, czyli razem rs. 325. Oprócz tego wnosi dłużnik pewną opłatę na rzecz kapitału rezerwowego, kosztów zarządu i dywidendy dla akcyonaryuszów, ale opłata ta uskuteczniana bywa niezależnie od raty, na którą zatêm wpływu żadnego nie wywiera i dla tego ją tu pomijamy. Po upływie lat 10 dłużnik zamortyzował rs. 674 kop. 76, tak, iż pierwotna pożyczka rs. 10,000 w chwili dopełnienia konwersyi, wynosi już tylko rs 9,325 kop. 24.

Przy zniżeniu stopy procentowéj o 1%, rata półroczna powinna uledz zmniejszeniu o 50 kop. na 100 rublach, czyli na całéj pożyczce o 50 rubli, — ponieważ jednak w chwili konwersyi dług wynosi już tylko rs. 9,325 kop. 24 i ta tylko suma ulega konwersyi, przeto zmniejszenie raty następuje tylko o 47 kop. na setce, czyli o 46 rub. 64 kop. na całéj pożyczce. Obniżka raty dochodziłaby do takiéj wysokości w tym tylko wypadku, gdyby okres amortyzacyjny trwał 43½ roku;

ponieważ jednak upłynęło już lat 10, a zasadą konwersyi było nieprzedłużenie terminu umorzenia, przeto powiększyć należało fundusz amortyzacyjny, jak w tym wypadku o 11 kop. na setce przy każdéj półrocznéj racie; a na całéj pożyczce o rs. 9 kop. 98.

Przy tym zatém systemie ostateczny rachunek konwersyi pożyczki 100-rublowéj, wziętéj przed 10 laty przedstawia się jak następuje:

Zniżka procentu o 1% zmniejsza ratę półroczną o . . .	kop. 50
skutkiem umorzenia 6 rs. 74 kop. od umorzonéj téj sumy nie płaci się	„ 3
Korzyść zatém ze zniżonego procentu wynosi	kop. 47
Z drugiéj natomiast strony trzeba podwyższyć opłatę na fundusz amortyzacyjny, i ta dopłata zniża osiągniętą na procencie korzyść o	kop. 11
Zniżenie zatém raty półrocznéj wynosi	kop. 36

czyli innemi słowy, przy konwersyi pożyczki z 6% na 5% skutkiem niepodniesienia długu do pierwotnéj wysokości i nieprzedłużenia terminu amortyzacyjnego ulga nie wynosi 1% rocznie, ale tylko 0,72%, a na przykładzie naszym 10,000 pożyczki, zmniejszenie półrocznéj raty następuje o rs. 36 kop. 66 zamiast rs. 50.

Z przykładu tego pokazuje się, iż przy powyższéj kombinacyi rozmiar ulgi skutkiem konwersyi nie dla wszystkich jest jednakowy, zależy on od przestrzeni czasu, jaki dzieli chwilę wzięcia pożyczki od chwili jéj skonwertowania, — im więcéj czasu upłynie, tém silniéj powiększyć potrzeba fundusz amortyzacyjny, a skutkiem tego ulga jest mniejsza, i na odwrót im pożyczka jest młodsza, tém mniejsza wymagana jest dopłata do funduszu amortyzacyjnego, a skutkiem tego ulga jest większa.

Finansowa ta kombinacya przeprowadzoną została w sposób następujący: Ponieważ na początku roku 1891 znajdowało się w obiegu 6% listów zastawnych ruskich banków ziemskich na sumę 263,000,000 rubli; a jednorazowe skonwertowanie tak wielkiéj sumy okazało się niemożebném, przeto postanowiono przeprowadzić konwersyą częściowo. W tym celu połączone banki ziemskie zawarły umowę ze syndykatem ruskich banków handlowych, mocą któréj syndykat podjął się przyjąć 5% listy zastawne na 75 milionów rubli po kursie 99%, poczém konwersya nastąpiła na następujących warunkach:

1. Zmiana pożyczki na niższoprocentową ma miejsce tylko na żądanie dłużnika, — pierwszeństwo mają wcześniéj zgłaszający się

aż do czasu wyczerpania całkowitéj sumy 75,000,000, rozdzielonéj stosunkowo pomiędzy wszystkie banki ziemskie.

2. Wycofanie z obiegu 6% listów zastawnych, następuje przez nadzwyczajne losowanie do wysokości sumy, mającéj uledz konwersyi.

3. Właściciel wylosowanego listu otrzymuje nominalną jego cenę w gotowiźnie, albo téż jeżeli sobie tego życzy, w nowym 5% liście zastawnym po cenie nominalnéj. Na sumę 75,094,300 rubli wylosowanych 6% listów zastawnych, wypłacono gotowizną tylko 8,934,000, reszta zamieniona była dobrowolnie na 5% listy.

4. Przez pierwsze 3 półrocza dłużnik płaci raty w takiéj saméj wysokości, jak przy 6% pożyczce, dopiéro od czwartego półrocza następuje zmniejszenie raty wedle zasad wyżéj wskazanych, — różnica zaś raty w pierwszych trzech półroczach przeznaczona jest na pokrycie kosztów konwersyi.

Ponieważ z żądaniem konwersyi zgłaszali się dłużnicy ze sumą rs. 151,694,800, a na mocy pierwotnéj umowy z syndykatem, konwersya mogła być dopełniona tylko na sumę rs. 75,000,000, przeto w następnym roku 1892, zawartą została z tymże syndykatem nowa umowa o konwersyą dalszych 75 milionów na tych samych co poprzednio warunkach.

Poznawszy zasady konwersyi procentowéj i różne sposoby jéj stosowania poświęcić jeszcze winniśmy słów kilka różnicy, zachodzącéj pomiędzy konwersyą pożyczek, a konwersyą listów zastawnych.

Przy pojmowaniu listu zastawnego jako kopii pożyczki, udzielonéj właścicielowi nieruchomości, różnica żadna istniéć nie powinna, gdyż list zastawny nie może przynosić innego procentu niż ten, jaki płacony jest od pożyczki; tam zaś gdzie nie ma tak ścisłego związku pomiędzy listem zastawnym a pożyczką, gdzie każda z tych operacyi traktowana jest oddzielnie, konwersya listów zastawnych dokonywa się nie na korzyść dłużników, korzystających z pożyczek długoterminowych; ale w wyłącznym interesie banków. Wyzyskując korzystną konjunkturę rynku pieniężnego, banki wypowiadają właścicielom listów zastawnych kapitały, lokowane w tychże listach i konwertują je na listy o niższéj stopie procentowéj, od dłużników zaś pobierają nadal do końca okresu amortyzacyjnego procent pierwotnie stypulowany. W ten sposób cała korzyść z konwersyi listów wysokoprocentowych na niskoprocentowe wpływa do kasy banków, bez żadnéj ulgi dla korzystających z pożyczek. Złe stąd wynikające neutralizuje się

jednak tém, iż przy wzajemnéj konkurencyi banków są one zmuszone robić dłużnikom ustępstwa pod grozą utraty klienteli.

O konwersyi pożyczek bez jednoczesnéj konwersyi listów zastawnych nie słyszeliśmy, bo téż taka operacya nie przedstawiałaby bankom żadnéj korzyści.

W czasie dyskusyi nad konwersyą procentową, jakie się toczyły na zjazdach przedstawicieli ruskich banków ziemskich, dawało się często słyszéć odróżnienie konwersyi listów zastawnych od konwersyi pożyczek, ale rozróżnienie to miało tam znaczenie raczéj proceduralne, aniżeli zasadnicze. Przez konwersyę pożyczek rozumiano operacyę, do któréj konieczne jest zgodzenie się na zamianę ze strony dłużnika, spłata przez tegoż długu dawnemi listami i przyjęcie w zamian listów o niższéj stopie procentowéj,—przez konwersyę natomiast listów zastawnych rozumiano wykupywanie przez banki dawnych listów i wypuszczanie w ich miejsce nowych, tańszych listów, a następnie zniżanie od pożyczek stopy procentowéj w miarę nadchodzących żądań ze strony dłużników.

Przy konwersyi procentowéj, mającéj na celu ulżenie ciężaru opłat, ważném jest, aby koszta saméj operacyi konwersyjnéj nie pochłaniały znacznéj części korzyści, osiągniętéj ze zniżenia stopy procentowéj.

Koszta, wynikające z różnicy kursu pomiędzy niżéj i wyżéj oprocentowanemi listami zastawnemi, są nieuniknione, — są one tém mniejsze, im zręczniéj i szybciéj wyzyskana jest chwila, w któréj kapitał jest tani i obfity. Inne koszta zależą od poglądu na to, czy konwersya oprócz zniżenia stopy procentowéj nie pociąga za sobą żadnych skutków prawnych, czy też stanowi ona nowacyę, wedle któréj dawny dług zostaje umorzony, a w jego miejsce powstaje dług nowy, przy tym bowiem poglądzie należy wykreślić z hypoteki dawny intabulat, zeznać nową obligacyę, płacić stemple, wyjednać od wierzycieli ustąpienie pierwszeństwa hypotecznego, co wszystko połączone jest z kosztami.

Przy wyżéj opisanéj konwersyi listów zastawnych ruskich banków ziemskich, sprawa ta została korzystnie dla dłużników rozstrzygnięta w ten sposób, że oprócz deklaracyi, w któréj dłużnik oświadcza zgodzenie się na konwersyę, żadnych innych formalności ani kokosztów nie wymagano.

Trudności, jakie w tym punkcie napotkało galicyjskie Towarzystwo kredytowe ziemskie, zostały usunięte przez ustawę z d. 14-go czerwca 1889 r., z inicyatywy tegoż towarzystwa dla całéj Austryi wydaną, wedle któréj prawo zastawu, zahypotekowane na korzyść

wierzytelności, instytucyi emitującéj listy zastawne, nie zostaje naruszone, jeżeli w celu obniżenia stopy procentowéj wydane zostają listy zastawne o niższéj stopie procentowéj, byleby tylko kwota zahypotekowanéj wierzytelności pod względem kapitału i należności dodatkowych nie została podwyższoną.

Przy konwersyi procentowéj listów zastawnych naszego Towarzystwa kredytowego ziemskiego, trudno będzie zwolnić dłużników od skutków nowacyi, art. 115 ustawy wymaga bowiem, aby akt wypłaty pożyczki obejmował w sobie pomiędzy innemi wymienienie seryi i numerów listów zastawnych, a to pociąga za sobą konieczność sporządzenia nowego aktu, mocą którego następuje umorzenie pożyczki zaciągniętéj w listach zastawnych, wymienionych w dawnym akcie seryi i numerów, i udzielano pożyczki w listach zastawnych z nowém wyszczególnieniem seryi i numerów, a czynności téj niepodobna nie nazwać nowacyą.

Ustawy miejskich towarzystw kredytowych nie wymagają wyszczególnienia w akcie wypłaty numerów, ani seryi, — numery winny być notowane w podrzędnéj księdze, utrzymywanéj dla kontroli w wydziale hypotecznym (§ 27 Tow. kred. m. Warszawy, § 27 Tow. kred. m. Łodzi),—miejskie zatém towarzystwa miałyby ułatwioną konwersyę, gdyby sobie jéj same nie utrudniały przez niewolnicze naśladownictwo towarzystwa ziemskiego i zapisywanie do aktu wypłaty numerów i seryi listów, jakkolwiek ich ustawy obowiązku tego na nie nie nakładają. Stało się tu tak samo, jak ze seryami, które towarzystwa miejskie niezgodnie z brzmieniem swych ustaw, wprowadziły za przykładem towarzystwa ziemskiego, ku wielkiéj szkodzie swych uczestników.

II. Konwersya seryjna.

Towarzystwo kredytowe, udzielając pożyczek na długi szereg lat, nie czeka z nową pożyczką do czasu całkowitego umorzenia dawnéj, ale już po zamortyzowaniu $^1/_{10}$ części, udziela nowy kredyt w wysokości, wyrównywającéj umorzonéj części dawnéj pożyczki.

To spotkanie się dwóch pożyczek wytwarza pewne kolizye, które domagają się wyrównania.

Przy systemie amortyzacyjnym wysokość rat, płacić się mających na umorzenie pożyczki, normuje się wedle wysokości sumy pożyczkowéj i długości okresu amortyzacyjnego. Jeżeli w jednym z tych czynników następuje zmiana, jeżeli powiększoną lub zmniejszoną zostaje pożyczka, skrócony lub przedłużony okres amortyzacyjny,

to odpowiednia zmiana zajść musi i w wysokości płaconéj przez dłużnika raty. Przy opłacie na prawach procentu składanego 1% rocznie na amortyzacyę i 5% na odsetki, kapitał umarza się w ciągu lat 36½. Jeżeli zaś w trakcie okresu amortyzacyjnego wysokość pożyczki zostaje podwyższona, wówczas opłata ta nie starczy już na zaspokojenie kapitału w zakreślonym pierwotnie terminie lat 36½ i zachodzi konieczność podwyższenia skali opłat. Głównie trzeba tu miéć na uwadze, aby w pierwotnéj pożyczce żadne zakłócenia nie zaszły, aby umowa co do niéj zawarta, we wszystkich szczegółach była wykonana i dlatego całkowita rata, jaka była przeznaczona na jéj umorzenie i oprocentowanie, musi wyłącznie na ten cel być zużytkowana, a dla odnowionéj pożyczki ustanowić należy nową ratę, stosownie do warunków, na jakich ona udzielona została. Stąd rodzi się konieczność dla dłużnika płacenia dwóch rat: jednéj w dotychczasowéj niezmiennéj wysokości, drugiéj od pożyczki odnowionéj. Przy pożyczce tedy 100,000 po upływie lat 9, kiedy umorzono z niéj 10,433, a zatém więcéj aniżeli $1/10$ część, stowarzyszony ma prawo do odnowionéj pożyczki w takiéjże wysokości, a że na taką sumę nie można wystawić listów zastawnych, których najmniejsza sztuka wynosi 100 rubli, przeto dopłaca 67 rubli gotowizną, i otrzymuje listy zastawne w okrągłéj sumie 10,500 rubli. Ponieważ każda z otrzymanych pożyczek musi być oddzielnie amortyzowana, przeto stowarzyszony obowiązany jest płacić 6% od otrzymanéj pierwotnie pożyczki 100,000 i drugie 6% od odnowionéj pożyczki 10,500,—czyli przez lat 27½ musi płacić 12% od sumy 10,500 rs. na amortyzacyę i procent, a dopiéro po upływie lat 27½, kiedy pierwotna pożyczka 100,000 zostanie w zupełności umorzoną, opłata od 10,500 wynosić będzie 6% rocznie.

Stowarzyszony jednak rzadko kiedy tak długo czeka, po upływie lat sześciu znowu umorzoną zostaje $1/10$ część pożyczki, domaga się tedy drugiéj odnowionéj pożyczki, i w ten sposób po upływie 29 półroczy ma już trzy pożyczki: 100,000, 10,500 i 10,500, i obowiązany płacić od nich trzy raty: $6{,}000 + 630 + 630 = 7{,}260$ rocznie.

Z postępem czasu, w miarę umarzania i odnawiania, ilość pożyczek i rat pomnaża się, a ten ciągły wzrost obowiązków płatniczych staje się dla stowarzyszonego nader uciążliwym, i paraliżuje cel Towarzystwa, który polega na umarzaniu pożyczek w dogodnych dla dłużnika ratach, nie przewyższających dochodu, z dóbr osiąganego.

Wzrost obowiązków płatniczych byłby usprawiedliwiony, gdyby istotnie dług wzrastał. Tak jednak nie jest, — w gruncie rzeczy nie ma trzech długów, lecz istnieje tylko jeden, — po upływie 14½ roku stowarzyszony nie jest więcéj dłużny, aniżeli przed ich wpływem,—był

dłużny 100,000 i jest dłużny 100,000, tymczasem opłata, która przed 15 laty wynosiła 6,000 rubli rocznie, po upływie lat 15 wzrosła do 7,260, nie licząc oddzielnéj od każdéj z trzech pożyczek opłaty na koszta administracyi, która przy skali 45% rocznie podnosi się z 400 do 484 rubli.

Uchronienie stowarzyszonego od spadającego na niego przy odnawianiu pożyczek ciężaru powiększających się rat, może nastąpić tylko przez przedłużenie okresu amortyzacyjnego; wówczas raty będą niezmienne co do swéj wysokości, ale zmienne co do ilości; nie będą one wyższe, ale będzie ich więcéj. Umorzenie $1/10$ części nastąpiło przez upłatę 18 półrocznych rat, jeżeli przeto do pożyczki dodaje się nowa $1/10$ część, to trzeba dodać i nowych 18 rat półrocznych.

Stowarzyszony ma w takim razie do opłacenia dawną pożyczkę 89,500 + odnowioną pożyczkę 10,500 = 100,000, pierwszą w ciągu lat 27 $1/2$, drugą w ciągu dalszych lat 9 = 36 $1/2$, obie za pomocą półrocznych rat w sumie 3,000 rs.

Dwie te pożyczki razem wzięte pod względem wysokości kapitału, terminu umorzenia i rozmiaru raty równają się jednéj pożyczce 100,000, ulegającéj umorzeniu w ciągu lat 36 $1/2$, dla uproszczenia przeto stosunku, rachunek dawnéj pożyczki zamyka się, pozostała jéj reszta dołącza się do odnowionéj części, i stąd powstaje nowa pożyczka na całą sumę 100,000, rozpoczynająca na nowo swój 36 $1/2$-letni okres umorzenia.

Tak stawia się sprawa w stosunku do dłużnika, — nie zapominajmy jednak, że istnieje i wierzyciel w osobie właściciela listu zastawnego,—ten otrzymał zobowiązanie Towarzystwa, które powinno być spłacone w ciągu 36 $1/2$, tymczasem po upływie lat 9, kiedy się należy jeszcze 89,500, Towarzystwo dopożycza stowarzyszonemu 10,500, a dla ulżenia mu płacenia rat, zamiast podwyższyć skalę opłat, przedłuża termin umorzenia o lat 9. Ulga ta dana dłużnikowi, staje się ciężarem dla wierzyciela, — on otrzymał list, ulegający zapłacie w ciągu lat 36 $1/2$, nie można przeto terminu zapłaty o 9 lat przedłużyć.

Ta sprzeczność interesów dłużnika i wierzyciela, wywołała potrzebę konwersyi, która polega na tém, że dłużnik przedewszystkiém winien spłacić całkowitą resztą dawnéj pożyczki, a mianowicie 89,500, którą spłacony zostaje wierzyciel przez wycofnięcie w takiéjże ilości listów zastawnych, poczém dopiéro dłużnik otrzymuje nową pożyczkę w listach zastawnych na całkowitą sumę 100,000 rs.

Ponieważ pożyczki i listy zastawne wydawane są seryami, z których każda ma oddzielny termin umorzenia, przeto stowarzyszo-

ny, pragnąc otrzymać odnowioną pożyczkę, winien Towarzystwu zapłacić nieumorzoną część pożyczki w listach takiéj seryi, w jakiéj pożyczka udzieloną mu została.

Dla jaśniejszego wykazania konieczności spłacenia dawnéj pożyczki wyłącznie tylko listami téj seryi, do któréj pożyczka należy, uciekać się musimy do cyfr.

Przypuśćmy tedy, że stowarzyszony, który otrzymał pożyczkę 100,000 rubli w listach zastawnych seryi II-éj Towarzystwa kredytowego ziemskiego, po upływie lat 10-ciu pożyczkę tę spłaca, czy to dla zupełnego zwolnienia się z długu, czy też dla otrzymania pożyczki odnowionéj. W tym czasie umorzono już z pierwotnie zaciągniętéj pożyczki 13,592, i pozostaje jeszcze do spłacenia 86,408. Jeżeli stowarzyszony wnosi sumę tę w listach zastawnych seryi II-éj, to tak stosunek dłużnika do Towarzystwa, jak i tego ostatniego do właściciela listu zastawnego zostaje stanowczo uregulowany i ukończony. Towarzystwo traci z jednéj strony prawo do pobierania rat od dłużnika, a z drugiéj zwalnia się od obowiązku oprocentowania i umarzania odpowiedniéj ilości listów zastawnych.

Jeżeli natomiast stowarzyszony, który otrzymał pożyczkę w listach zastawnych seryi II-éj, spłaca ją listami seryi III-éj, to Towarzystwo traci z jednéj strony wszystkie raty, jakieby wnosić był obowiązany stowarzyszony, ale z drugiéj strony nie zostaje w tym samym stosunku zwolnione od obowiązku wykupienia listów zastawnych, serya bowiem III-cia, jako o dwa lata późniéj w obieg puszczona, uległa mniejszemu zamortyzowaniu, aniżeli serya II-ga, listy zatém seryi III znajdują się w obiegu w większéj ilości, aniżeli listy seryi II-éj i na amortyzacyę pierwszych potrzebny jest fundusz większy, aniżeli na amortyzacyę drugich.

Przy systemie amortyzacyjnym, pomimo równéj wysokości rat płaconych przez dłużnika, każda rata późniejsza przeznaczona jest w większéj ilości na amortyzacyę z jednéj strony pożyczki, z drugiéj listów zastawnych. Jeżeli zaś dłużnik płaci wcześniejszą ratę, a Towarzystwo amortyzuje list starszéj emisyi, wówczas wytworzyć się musi niedobór.

Po dziesięciu latach od początku okresu amortyzacyjnego seryi II-éj, umorzono listów zastawnych téj seryi przez przeciąg 20 półroczy, dłużnik zaś seryi III-éj płacił raty tylko przez 16 półroczy, stąd pomiędzy wpływem od dłużnika na amortyzacyę, a rozchodem Towarzystwa na wycofanie listów zastawnych wytwarza się następująca różnica:

Serya II		Serya III		
w półroczu	obowiązek umorz. listów	w półroczu	wpływ na amortyzacyę	niedobór
21 —	819	17 —	742	77
22 —	840	18 —	761	79
23 —	861	19 —	780	81
24 —	882	20 —	799	83
25 —	904	21 —	819	85 i t. d.

Przez cały zatém czas, jaki wedle planu amortyzacyjnego pozostaje do umorzenia pożyczki, zaciągniętéj listami zastawnemi seryi II-éj, a opłaconéj listami seryi III-éj, to jest przez lat 26 ½, Towarzystwo musiałoby każdego półrocza czynić dopłaty dla zadośćuczynienia swoim obowiązkom względem pozostałych w obiegu listów zastawnych seryi II-éj.

Po upływie 73 półroczy od chwili wydania listów zastawnych II-éj seryi, znikłyby z obiegu listy tak II-éj, jak i III-éj seryi, — pierwsze wskutek umorzenia ich przez Towarzystwo z odpowiednią każdego półrocza dopłatą, drugie przez zwrócenie ich Towarzystwu drogą przedterminowéj spłaty; dłużnik wszakże, który otrzymał pożyczkę w listach zastawnych III seryi zapłaciłby dopiéro 69 rat i byłby obowiązany jeszcze przez 4 półrocza wnosić raty, wynoszące razem 12,000 rs.

Suma ta, wnoszona przez stowarzyszonego w ostatnich dwóch latach okresu amortyzacyjnego seryi III-éj, kiedy Towarzystwo nie ma już obowiązku wycofania z obiegu listów zastawnych, stanowiłaby kompensatę za dopłaty, jakieby Towarzystwo w ciągu lat 26 ½ zmuszone było czynić dla zadośćuczynienia swoim obowiązkom co do amortyzowania listów zastawnych seryi II-éj. Przy dokładnym rachunku dopłaty czynione przez Towarzystwo, z doliczeniem do nich procentu składanego, powinny w zupełności być pokryte dwuletniemi ostatniemi ratami, przez stowarzyszonego wnoszonemi i pomiędzy wpływem a rozchodem Towarzystwa nastąpić powinna zupełna równowaga.

W ostatecznym tedy rezultacie Towarzystwo nicby nie straciło na przyjęciu listów seryi III-éj zamiast II-éj, — uczynić tego jednak nie może z powodu braku funduszów, jakieby musiało przez przeciąg lat 26 ½ co półroku dopłacać do rat wnoszonych przez stowarzyszonych, a nie starczących na obowiązkową amortyzacyę listów.

Sposób na to byłby chyba ten, aby dłużnik spłacający listami seryi III-éj pożyczkę, zaciągniętą w seryi II-éj, zapłacił nie tyle, ile rzeczywiście od niego się należy, ale ile dłużny jest w tym samym

czasie stowarzyszony, który otrzymał pożyczkę w listach seryi III, a mianowicie ponieważ 21-sze półrocze seryi II odpowiada 17-mu półroczu seryi III, przeto stowarzyszony, który w 21-ém półroczu dłużny jest listami zastawnemi seryi II-éj 86,408 rs., musiałby spłacić listami seryi III-éj tyle, jak gdyby zamiast 20 tylko przez 16 półroczy dług swój umarzał, i pozostał jeszcze dłużnym 89,568 rs., czyli musiałby listami seryi III-éj zapłacić rs. 3160 więcéj, aniżeli się od niego rzeczywiście należy.

W ten sposób ani Towarzystwo nie potrzebowałoby czynić żadnych dopłat do funduszu amortyzacyjnego, ani termin umorzenia pozostałych w obiegu listów zastawnych seryi II-éj nie potrzebowałby być o 4 półrocza przedłużony.

W zamian za to trzebaby było po upływie lat 26½ ostatnie 4 raty, które wnosić będzie dłużnik, korzystający z pożyczki seryi III-éj, w ogólnéj sumie rs. 12,000 [1]), wypłacać stowarzyszonemu, który uskutecznił spłatę listami seryi III-éj zamiast II-éj i nadpłacił z tego powodu wyżéj wzmiankowaną kwotę rs. 3,160.

System ten przedstawia dla kapitalisty wcale korzystną lokacyę kapitału, a Towarzystwu daje możność czynienia zadość obowiązkom względem właścicieli listów zastawnych, i nie widzimy żadnéj przeszkody w jego stosowaniu, o ileby się znalazł stowarzyszony, któryby w ten sposób chciał dopełnić przedterminowéj spłaty pożyczki.

Zobaczmy teraz jakie wytworzy się położenie, jeżeli spłata nastąpi listami wcześniejszéj seryi, a mianowicie zamiast II-éj seryi listami seryi I-éj.

Tu Towarzystwo traci wszystkie raty, jakie stowarzyszony płacić powinien do czasu upływu terminu amortyzacyjnego seryi II-éj, a natomiast zwolnione zostaje od obowiązku stopniowego umarzania listów seryi I-éj, a ponieważ na amortyzacyą seryi I-éj, jako wcześniéj emitowanéj, a tém samém więcéj umorzonéj, wpływa każdego półrocza większa suma, aniżeli na amortyzacyą II-éj seryi, przeto przy téj spłacie Towarzystwo ma większe wpływy, aniżeli rozchody na amortyzacyą.

Serya I-sza rozpoczęła bieg swój na 10 lat przed seryą II-gą, i listy jéj mogą być wylosowane w peryodzie od rozpoczęcia seryi do jéj ukończenia, t. j. przez lat 46½; w rachubie naszéj przyjmiemy czas przeciętny, a mianowicie, że listy I-éj seryi, złożone do przedterminowéj opłaty w miejsce listów seryi II-éj, wypuszczone zostały na lat

---

[1]) Właściwie tylko 10,697 rs., — gdyż ostatnia rata nie wynosi już całych 3,000 rs. ale tylko 1,697 rs.

5 przed temiż listami seryi II-éj, — po upływie przeto lat 10 czyli 20 półroczy od chwili otrzymania pożyczki seryi II-éj, upłynęło już dla seryi I-éj lat 15 czyli 30 półroczy, i przy pożyczce 100,000 rs. różnica przedstawia się jak następuje:

Serya II			Serya I			
w półroczu		obowiązek umorz. listów	w półroczu		wpływ na umorzenie	przewyżka wpływu nad rozchód
21	—	819	31	—	1049	230
22	—	840	32	—	1075	235
23	—	861	33	—	1102	241
24	—	882	34	—	1129	247
25	—	904	35	—	1158	254 i t. d.

Po umorzeniu pożyczki seryi I-éj stowarzyszony, który ją otrzymał, przestaje naturalnie płacić raty, a listy téj seryi, jako do przedterminowéj opłaty przedstawione, w swoim czasie z obiegu wycofnięte zostały. W obiegu wszakże pozostały listy seryi II-éj w miejsce których przedstawione były do spłaty listy seryi I-éj. Dopóki stowarzyszony seryi I-éj płacił raty, istniał fundusz nawet z nadwyżką na umarzanie listów seryi II-éj, trwało to począwszy od 31 do 73 półrocza, pożyczka zaciągnięta w I-éj seryi w zupełności została zaspokojona i dalsze wnoszenie rat ustało. Ponieważ jednak listy zastawne II-éj seryi zostały o 5 lat czyli 10 półroczy późniéj w obieg puszczone, pozostało ich przeto w obiegu jeszcze na sumę rs. 22,869, które Towarzystwo ma obowiązek zamortyzować w ciągu 10 półroczy i przez ten czas płacić od nich 5 procentowy kupon.

Na zaspokojenie tego obowiązku służą nadpłaty, jakie w ciągu 42 półroczy wpływały do Towarzystwa w ilości większéj, aniżeli ono na amortyzacyę przeznaczyć było obowiązane, i nadpłaty te wraz ze składanym procentem starczyć powinny na umorzenie w ciągu ostatnich 5 lat pozostałych w obiegu listów zastawnych II-éj seryi i ich oprocentowanie.

Przy spłacie zatém listami wcześniejszéj seryi, Towarzystwo nic forszusować nie potrzebuje, przeciwnie wpływają do niego fundusze nad potrzebę, które dopiéro w przyszłości wydatkować przyjdzie; — tu jednak nastręcza się trudność, iż fundusze te, aby starczyły na pokrycie niedoboru przy końcu okresu amortyzacyjnego, powinny ciągle procentować i przynosić nawet procent od procentu. Towarzystwo kredytowe zaś z natury i organizacyi swéj nie może podejmować operacyi finansowych, przy którychby składane do jego kas fundusze bezustannie procentowały.

W ten sposób przedterminowa spłata listami zastawnemi, czy to wcześniejszéj czy téż późniejszéj seryi wywołuje poważne trudności, dla uniknienia których koniecznem jest, aby ona, czy to przy wystąpieniu z Towarzystwa, czy téż przy żądaniu pożyczki odnowionéj, nastąpiła listami zastawnemi téj seryi, w któréj pożyczka udzieloną została.

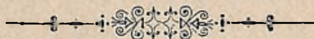
Kwestya przedterminowéj spłaty listami różnych seryi była przedmiotem bardzo wyczerpujących dyskusyi na zjazdach przedstawicieli ruskich banków ziemskich; zapadły tam rozmaite postanowienia, ostatecznie na IV zjeździe uchwalono, aby przy przedstawieniu do przedterminowéj spłaty listów zastawnych, niezgodnych ze seryami pożyczek, dopełniać przelania funduszów amortyzacyjnych seryi listów, ulegających zamianie, w ten sposób, aby termin ostatecznego wycofania listów zastawnych każdéj seryi, był zabezpieczony obowiązkami płatniczemi dłużników, — czyli innemi słowy, iż nie należy krępować się funduszem amortyzacyjnym danéj seryi, ale czerpać z funduszów innych seryi i w miarę potrzeby wzmacniać lub osłabiać losowanie danéj seryi, byleby tylko ostateczny termin wycofania listów zastawnych danéj seryi nie był przez to opóźniony.

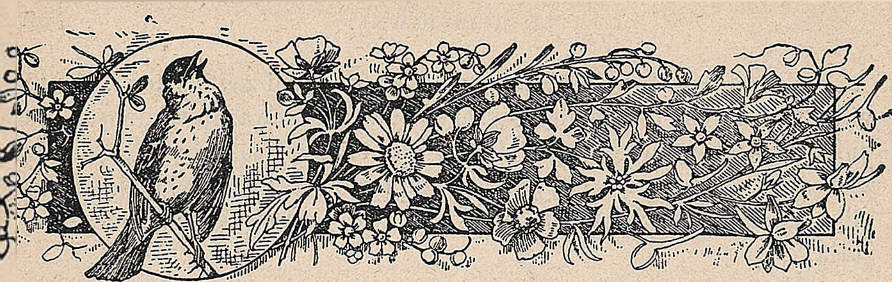
W naszém Towarzystwie kredytowém ziemskiém, operacya ta jest prawem wzbroniona, art. 153 ustawy bowiem stanowi: że Towarzystwo obowiązane jest w każdém półroczu umarzać przez losowanie listy każdéj seryi na sumę równą opłatom umorzonym przez stowarzyszonych na umorzenie odpowiednich pożyczek, — wobec tego przelewanie funduszu amortyzacyjnego z jednéj seryi do drugiéj jest niemożliwe.

Jedyny sposób wyjścia z tego labiryntu, który zresztą pociąga za sobą ważne niedogodności i nieobliczone straty dla dłużnika, dla instytucyi wreszcie i dla właściciela listu zastawnego, jest emitowanie listów zastawnych bezterminowych, przy których wszystkie te zawikłania i trudności upadają i znaczenie swe tracą.

Teoryę i praktyczne zastosowanie bezterminowych listów zastawnych w innem miejscu wyłożyliśmy, — a chociaż instytucye kredytowe, w naszym kraju operujące, uporczywie się trzymają dawnéj rutyny, to jednak wszędzie indziéj, a świéżo i w Cesarstwie, bezterminowy list zastawny stanowcze odnosi zwycięztwo.

J. Kirszrot-Prawnicki.





Z PIŚMIENNICTWA EKONOMICZNEGO.

„Les progrès de la science economique depuis Adam Smith.“ Par Maurice Block Paris, 1891. Dwa tomy, po 500 stronic zgórą każdy.

Dzieło, którego nagłówek przytoczyliśmy, poważne objętością, ma przedstawić dzieje postępu nauki ekonomii politycznéj od Adama Smitha aż do naszych czasów. Nazwisko M. Block'a jest dość znane; jedna to z gwiazd francuskiéj nauki gospodarstwa społecznego w duchu liberalnym, „klasycznym“. Jest on bezwątpienia jeden z koryfeuszów szkoły, zwanéj „klasyczną“ czyli „prawowierną“ (*orthodoxe*), a opierającéj się na nauce Adama Smitha; składa się ona z świetnego grona głośnych autorów, dzierżącego dotąd jeszcze prawie niepodzielnie prym w nauce francuskiéj. Poczet ten uznanych znakomitości posiada pomiędzy żyjącymi swymi członkami gwiazdy literackie, otoczone aureolą nieomylności naukowéj, jak Molinari, Paul Leroy Beaulieu, Leon Say. Do nich nie należy śmiały, młodzieńczego ducha buntownik i przez nich wyklęty Karol Gide, profesor uniwersytetu w Montpellier. Nazwiska Blocka i Molinarego były już dość słynne przed 40-tu laty. Block jest niesłychanie płodnym autorem rozpraw ekonomicznych; pisuje wciąż od tego czasu poważne dzieła i zasila nieustannie czasopisma francuskie i niemieckie swemi artykułami i sprawozdaniami. Ze sprawozdań tych, dotyczących naukowego ruchu ekonomicznego, ciągnących się długim szeregiem przez lata prawie w każdym numerze miesięcznika „*Journal des Economistes*“, dość łatwo mu przyszło zdobyć się na pokaźne dzieło 2-tomowe, o którém krótką sprawę zdać zamierzam. Czysto francuska jasność i ciętość stylu nie opuszczca p. M. Blocka na starość.

Pierwszorzędne te zalety autorskie, obok wielkiego oczytania

i łatwości obejmowania autorów przez niego czytanych, nie wynagradzają jednak zawodu, jakiego się doznaje od téj poważnéj firmy, która obiecuje dostarczyć prawdziwy obraz postępu nauki gospodarstwa społecznego. Pomimo że autor niekiedy dobrze jest musknięty dokonywającemi się w koło niego przeobrażeniami pojęć społecznych, rdzeń jednak jego poglądów ekonomicznych pozostał w stanie niejako stwardniałym i mało co zmienionym od czasu, kiedy rozpoczynał swój zawód publicystyczny. Czyni on wrażenie, jakby przespał lat 50 i w połowie tylko był na jawie w chwili pisania. Całe przeto dzieło staje się jednostronném, a żywość stylu i pominięcie wielu pisarzy czynią z niego długi pamflet. Niektóre teorye i licznych autorów sądzi niesprawiedliwie, o niektórych bardzo ważnych, jak Carey, ledwie raczy wspomnieć, a Fryderyk List nie istnieje dlań nawet; nie ma wzmianki o jego nazwisku na przeszło 1,000 stronach opisu historyi literatury ekonomicznéj. Postępy zaś nauki ekonomicznéj, które zostały dokonane i które musi przyznać, przypisuje wyłącznie swéj szkole ekonomicznéj wolnościowéj. Nie widzi i uznać nie chce, że cała ta szkoła, o ile się posunęła, to popchniętą została przez niepokonaną siłę ruchu społecznego. Strojąc się w obce piórka, liberalizm manczesterski przypomina Zagłobę, dzielącego się z każdym zasługą, lub *kulturtregera*, dowodzącego, że my Niemcom zawdzięczamy wszelką cywilizacyę.

Celem zrozumienia stanowiska autora i rozeznania jasnego, na czém polega jego jednostronność, trzeba sobie uprzytomnić kierunki, jakie przybrały istotne stosunki ekonomiczne i wykwitłe na ich podstawie teorye naukowe.

Ruch umysłowy i duchowy (religijny), który wyprowadził ludzkość europejską z wieków średnich w czasy nowożytne, objawił się też żywo we wszystkich dziedzinach społecznych, a nie najmniéj w ekonomicznéj. W téj ostatniéj polegał on na prostéj chęci, a raczéj chuci zbogacania się i dojścia przez to do wpływu i potęgi; namiętność to jest ogólna ludzka, wszystkich czasów, dotąd nieustająca. Ruch ten społeczeństw średniowiecznych europejskich rozpoczął się w żywszéj mierze od wojen krzyżowych i coraz częstszych stosunków handlowych ze Wschodem (rozwój miast włoskich), a spotęgował się mnóstwem podniecających czynników. Z nich najważniejsze były odkrycia drogi do Indyi Wschodnich i do Ameryki. Ówczesnym narodom i państwom pieniądz i kruszce szlachetne, złoto i srebro, z których tenże powstaje, przedstawiały się jako bezwarunkowo najważniejszy warunek bogactwa i potęgi, niby trochę jak niejednemu z nas pod koniec XIX-go wieku. Rozhukały się, wobec powyższych od-

kryć, namiętności patryotyczne, państwowe i niższe awanturnicze: usiłowano zdobyć drogich kruszców za morzem jaknajwięcéj, *per fas et nefas*, wszelkiemi godziwemi i niegodziwemi sposobami. To bałwochwalcze wielbienie cielca złotego, czyli przecenianie wartości złota i srebra stanowi istotę tak zwanego merkantylizmu, t. j. teoryi ekonomicznéj, panującéj niepodzielnie przez kilka wieków. Te państwa, które nie były tak szczęśliwe, jak Hiszpania i Portugalia, aby posiąść bajecznie obfite kopalnie złota i srebra w Ameryce, starały się dojść do tego szczęśliwego posiadania innym sposobem, t. j. przez tak zwany bilans czynny, czyli korzystny, wywozu i przywozu towarów. Starano się za pomocą ceł, zakazów i wynagrodzeń (premii), nakładanych na towary przechodzące granicę, urządzić takie zamiany z innemi państwami, aby jaknajwięcéj ściągnąć złota i srebra do własnego kraju, a więc sprzedawać i wywozić towary drogie, przerobione krajowym przemysłem i w zamian za to otrzymywać kruszce szlachetne w jaknajwiększéj obfitości, zakupywać zaś i sprowadzać do siebie przez granicę (importować) tylko towary tanie, które dają się przerabiać na drogie i sprzedawać znów zagranicy, celem uzyskania jaknajwięcéj obudwu szlachetnych kruszców.

Taka polityka rządów miała ważne skutki społeczne. Rządy w jéj duchu działające podnosiły przemysł i opierały się o miasta, aby sprostać przewadze szlachty. Nieszczęściem Polski było, że nie znalazł się na czele jéj rządu ani Colbert, ani Cromwell, którýby, jak tamci we Francyi i Anglii, dźwignął rodzimy przemysł i handel, stwarzając tém samém niespożytą siłę twórczą dla swego narodu. Ta siła twórcza postawiła powyższe narody zachodniéj Europy na czele cywilizacyi i uczyniła je najpotężniejszemi w świecie. Albowiem zmierzając energicznie i systematycznie do bogactwa i potęgi za pomocą ściągania szlachetnych kruszców przez przemysł uzyskano coś ważniejszego, niż najobfitsze kopalnie złota i srebra Hiszpanów w Ameryce, t. j. uzyskano siłę niepokonaną twórczą, wynikającą z rozumnéj pracy, czyli przemysłu wszelkiego.

Lecz aby dojść do tego olbrzymiego wyniku, powołano do życia wielkie mnóstwo urządzeń państwowych i społecznych, jak: cła wewnętrzne i zewnętrzne (wewnątrz państwa i na jego granicach), kontrolę państwową istotnie bardzo pieczołowitą dla zachęty produkcyi wszelkiéj i uporządkowania jéj, bractwa, cechy i t. d. Urządzenia te, skoro rozrosły się społeczeństwa żywotne, nie zawsze już były dostosowane do tego rozrostu i poczęły krępować dotkliwie dalszy rozwój narodów. W tém skrępowaniu rozrastających się społeczeństw tkwi przyczyna potężnéj reakcyi, jaka nastała w XVIII-ém stuleciu we

Francyi i Anglii przeciw wszelkim istniejącym instytucyom państwowym i społecznym (kościelnym). Przeciwieństwo do tychże stworzyło filozofię zeszłego wieku, głoszącą na wszelkie możliwe tony tak zwane prawo natury, czyli powrót do przyrodzonéj swobody działania, odjętéj człowiekowi przez te urządzenia. System merkantylny bowiem łączył się wyśmienicie z absolutyzmem państwowym, z wszechwładzą państwową, tłumiącą wówczas niekiedy istotnie wstrętnie wszelkie ruchy poszczególnych jednostek. Szczęśliwa Anglia obyła się bez gwałtownego ruchu rewolucyjnego. We Francyi powstała szkoła ekonomistów, przezwanych fizyokratami. Głosiła ona, że zamożność narodów tkwi nie w pieniądzu i szlachetnych kruszcach, lecz w pracy około wydobywania skarbów przyrodzonych, w ziemi, więc w pracy około roli. Tak oni, jak ich uczeń Adam Smith, oświadczyli się za jaknajwiększą wolnością każdego pojedyńczego człowieka, a tém samém za zniesieniem wielu istotnie podówczas niewygodnych już urządzeń. Nie zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem usiłowania ministra Turgota, fizyokraty, tchnące tym nowym duchem. Nie zdołał on przełamać oporu parlamentu, sprzeciwiającego się uparcie jego reformatorskim pomysłom usunięcia wewnętrznych ceł, bractw i korporacyi różnych przestarzałych. Reformy te byłyby stworzyły niezawodnie pewne ujście prądowi rewolucyjnemu i powstrzymały pewnie wielką rewolucyę francuską, a przynajmniéj złagodziły znacznie jéj przebieg.

Zasady szkoły liberalnéj znajdują swój wyraz głównie w dziele Adama Smitha „O zamożności narodów“. Na napisanie jego złożyły się zasady szkoły ekonomistów francuskich (fizyokratów), filozofia sensualistyczna Helwecyusza i osobisty wpływ słynnego pisarza i filozofa szkockiego Huma. Był on przyjacielem Ad. Smitha. Podwaliną zaś, na któréj wszystkie te pomysły wykwitły, był stan ekonomiczny Anglii, był rozwój jéj przemysłu i handlu na największą, niebywałą dotąd skalę. Rozwój ten usuwał przepisy zastarzałe, krępujące przedsiębiorczość ludzką zamiast jéj pomagać. Stąd widnieje w Smith'ie i jego duchowych potomkach: 1. Protest przeciw wszelkiemu w t r ą c a n i u s i ę p a ń s t w a do spraw ekonomicznych prywatnych. Mąż stanu, przezwany przez Smitha „podstępném zwierzęciem“, nie powinien zgoła istnieć. Państwo powinno ograniczać swą działalność na „produkowaniu bezpieczeństwa“ mienia i osoby. 2. I n t e r e s w ł a s n y jest prawie jedyną pobudką wszelkiéj działalności ludzkiéj szczególnie w dziedzinie ekonomicznéj. Każdy wié jaknajlepiéj, co mu potrzeba. 3. Skoro wszyscy wedle drogowskazu i n t e r e s u o s o b i s t e g o pokierują swemi czynami, wtedy całość, t. j. s p r a-

wy ogółu wezmą najlepszy kierunek same przez się. 4. Przeto zwracać należy uwagę głównie na jaknawiększe wytwarzanie dóbr, a mniéj na ich podział między ludzi, bo tenże dokona się sam przez się najlepiéj. 5. Praca jest jedyném źródłem i miarą wartości i każdy wszędzie znajdzie zarobek; wszędzie robotnik pilny i pracowity ma się dobrze; tylko próżniak cierpi biédę. (Z tego rozumowania pochodzą niedorzeczne twierdzenia, że każda prawdziwa zdolność zawsze będzie uznaną w społeczeństwie i że geniusz zawsze wybije się na wierzch). 6. Zasady ekonomiczne są prawdziwe po wszystkie czasy i pomiędzy wszystkimi ludźmi na kuli ziemskiéj, bo są one wynikiem przyrodzonego stosowania się człowieka do świata zewnętrznego, czyli wynikiem „natury“ ludzkiéj, żeby nie powiedziéć „szkockiéj“ z czasów Adama Smitha. Tenże bowiem tak rozumuje, jakby na podstawie, że wszyscy ludzie są jednacy i to nie inni, jak jego najbliżsi ziomkowie Szkoci „*every Scochman inside*“. 7. Ekonomia polityczna jest nauką specyalną spraw gospodarczych, nie potrzebującą tak bardzo się troszczyć o inne sprawy społeczne, albowiem jest ona szeregiem teoryi, osnutych na przyrodzoném układaniu się stosunków ekonomicznych.

Mięka, wrażliwa, trochę niezdecydowana dusza, a przytém bardzo utylitarne usposobienie Ad. Smitha sprawiły, że teorye jego nie są prawie nigdy absolutne. Poparte one są wprawdzie wielką liczbą dobrze dobranych przykładów, lecz téż zaopatrzone są wyjątkami od reguły i przykładami, popierającemi te wyjątki. Smith prawie zawsze pozostawia w swych dowodzeniach furtkę. Otwarte te furtki nadają jego pisaniu pozory głębokości i dalekich przewidywań układania się stosunków ekonomicznych. Adama Smitha istotnie niepodobna przydybać na żadnéj bezwzględności teoretycznéj. Jest on tu prawdziwym Anglikiem: celuje w rozbiéraniu i rozjaśnianiu szczegółów, lecz bynajmniéj nie w uogólnieniach. Nie była to natura „wylatująca ponad poziomy“, lecz raczéj przejmował się panującemi pojęciami ekonomicznemi, które opierały się na prawie natury i na reakcyi przeciw istniejącym urządzeniom państwowym i społecznym. Téj praktycznéj przezorności nie mieli jego następcy. Albowiem opierając się na teoryach mistrza, grzeszą bezwzględnością teoretyczną, palą mosty za sobą. Uczniowie ci stworzyli szkołę tak zwaną klasyczną, skrajnie liberalnego kierunku. M. Block, nie mogąc pod koniec XIX wieku wszystkiego w niéj pochwalić, ma dogodne pole wykazywania, że Adam Smith przecie tak daleko się nie posunął; istotnie „twórca ekonomii politycznéj“ nie czynił tego nie przez przepaścisto głębokie

pojmowanie spraw ekonomicznych, lecz z powodów tylko co powyżéj przytoczonych.

M. Block właściwie sam nie postąpił w swoich pojęciach po za to, co myślał Adam Smith. Usiłując zaś zmiażdżyć wszystkich, którzy rozwinęli swe pojmowanie rzeczy ekonomicznych po za dogmaty szkoły klasycznéj, stworzył, jak to już raz wyraziłem się, pamflet bardzo zarozumiałego pokroju. O jego wielkiém dziele 2-tomowém, choć przepełnionéni znaczną ilością szczegółów licznych z książek (których wszystkich może nie czytał, lecz które krytykował przez kilkadziesiąt lat) można powiedzieć „*non multum sed multa.*“ Czyni ono wrażenie zaokrąglonych w 2 grube tomy wycinków sprawozdań jego stereotypowych, bez których się nie obchodzi żaden numer prawowiernego miesięcznika *Journal des Economistes.* Zewnętrzny rozkład treści tego dzieła jest: w tomie I-ym: Wstęp, Księga I-sza Wiadomości zasadnicze, Księga II-ga: Wytwarzanie dóbr (produkcya); w tomie 2-im: Księga III-cia: Obieg wytworzonych dóbr (cyrkulacya), Księga IV-ta: Podział ich czyli dochody, Księga V-ta: Spożycie ich (konsumcya).

Zaprowadzony przez J. B. Say'a układ ten pojedyńczych części nauki ekonomicznéj nie jest najgorszym, ani przestarzałym, a to z powodu swéj jasności. Lecz stosowny on jest w dziele teoretycznêm, a mniéj na miejscu w pracy przedstawiającéj „postępy nauki ekonomicznéj“. Albowiem nie tyle chodziłoby tu właściwie o wyliczenie autorów i ich myśli w pojedyńczych działach nauki i powtarzanie się konieczne, o ile odznaczyli się w kilku z nich, jak raczéj o przedstawienie prądów i kierunków naukowych w dziedzinie ekonomicznéj. Takiego podziału żywych po sobie następujących przejawów w téj dziedzinie M. Block nie mógł przeprowadzić, bo potępia je wszystkie w czambuł i zdaje się ich nie rozumiéć nawet, czy nie wiedziéć o ich istnieniu. Niepodobna mu doprawdy przebaczyć np. tego, że zamilczał o Frederyku Liscie i całym kierunku narodowym w ekonomii politycznéj, stworzonym przez niego. Albo trzeba przypuszczać, że M. Block nic nie wié o tym największym może ekonomiście niemieckim, twórcy *Zollvereinu*, albo niepodobna oczyścić prawowiernego ekonomisty od niesłychanéj zaciekłości stronniczéj. Frederyk List istotnie obchodzi się trochę bez ceremonii z bożyszczem klasyków, Adamem Smithem. Ignorowanie jednak Lista w opisie dziejów postępu nauki ekonomicznéj równa się pominięciu Słowackiego w pewnéj historyi literatury polskiéj, wydanéj tuż przed 1860 r. List uosabia silną reakcyę przeciw „klasycznemu“ poglądowi, że jednostka jest celem produkcyi dóbr i że starać się trzeba o jaknajwiększe wytwa-

rzanie rzeczy, mających wartość zamienną (t. j. pożytecznych, łatwo przez posiadaczy zamienianych na inne pożyteczne). List wskazał wymownie, że celem wytwarzania dóbr jest społeczeństwo (naród), bez którego niepodobna pomyśléć jednostki ludzkiéj i że usilność produkcyjna zmierzać winna nie jedynie do wytwarzania jaknajwięcéj wartości zamiennych, lecz przedewszystkiém sił twórczych w narodzie nawet z uszczerbkiem pierwszych, np. za pomocą ceł ochronnych, te bowiem wprawdzie ograniczają z początku ilość wartości zamiennych, tamując przypływ fabrykatów obcych, lecz wytwarzają siły twórcze, to jest zdolności przemysłowe i zaopatrywanie społeczeństwa we własne, nie obce, wyroby. Block naturalnie téż nic nie wié o takim barbarzyńcu, jak Supiński, który istotnie pisywał tylko po polsku i mało jest przeto znany w literaturze wszechświatowéj, lecz z którego jednak czerpał niejeden głośny autor. Trudno zaś uniewinnić Blocka z tego, że ledwie raczy wspomniéć o amerykańskim irlandczyku Carey'u; tegoż zupełnie nie rozumié, czy nie czytał go wcale, a niemniéj Irlandczyk ten w swych (często wprawdzie jednostronnych) dziełach wykazał z prawdziwą genialnością całą potęgę ludzkiego stowarzyszania się w wytwarzaniu dóbr.

Z prawdziwą lubością Block przedstawia czytelnikowi cały *corps-de-balet* karłów umysłowych, określających pojęcia dobro, dobro ekonomiczne (bogactwo, mienie, usługa); zastanawia się z powagą nad autorami, wahającymi się uznać pożytek duchowy za dobro ekonomiczne. List-by w tém miejscu zrobił niesalonową uwagę o produkcyjności hodowcy nierogacizny, a nieprodukcyjności wychowawcy młodzieży. W Blocku tkwi „klasyczna“ niechęć do uznania, że człowiek sam się zmienia i że jak przez gimnastykowanie się narastają mu muskuły, które pozwalają wykonać trudne ćwiczenia i skoki karkołomne bez niebezpieczeństwa, tak téż i przy oświacie, umoralnieniu i zmyśle stowarzyszania narastają mu w jeszcze większym stopniu różne zdolności; są to siły twórcze, których poprzednio nie miał był i które mu pozwalają coraz lepiéj zużytkować przyrodę. W téj niechęci tkwi klasycyzm Blocka, bo wciąż w całéj liberalnéj literaturze dotąd pokutuje zdanie zacofane, że człowiek jest niezmienny po wszystkie czasy. Na str. 264 tomu I-go wywodzi, że logika i moralność ludzka były zawsze te same.

Jeżeli M. Block pominął milczeniem społeczno-narodową reakcyę Lista i Carey'a przeciw kosmopolitycznemu liberalizmowi szkoły klasycznéj, to już niepodobna mu było zbyć tak samo całéj rozrosłéj reakcyi socyalnéj, która jego samego unosi. Lecz zamiast wytłómaczyć sam lub uwydatnić tych pisarzy, którzy wyjaśniają postępującą

(wraz ze stosunkami ekonomicznemi) przemianę pojęć z liberalizmu klasycznego, burzącą zastarzałe urządzenia społeczne i państwowe ku myśli o lepszéj organizacyi społecznéj i państwowéj, zamiast tę zmianę pojęć uwydatnić, Block uparcie stoi na stanowisku Smitha i tylko na téj podstawie usiłuje wytłómaczyć wszelki postęp. Jestto tak samo, jak gdyby na wielkiéj i bystréj rzece ktoś płynący to pod wodę, to w poprzek prądu, chwalił się, że postąpił szybko ku ujściu i zaprzeczył temu, że go woda poniosła. Istnieje most między kierunkiem wolnościowo-indywidualnym a postępu społecznego; ostatni poniekąd wypływa z pierwszego i wtedy tylko ma przed sobą przyszłość, jeżeli zachowa cenne zdobycze idei wolności i indywidualizmu. Im lepsza będzie organizacya społeczna, tém wszystkim jednostkom będzie lepiéj; chodzi o to tylko, żeby wolność mniejszości nie stała się niewolą faktyczną większości, indywidualizm garstki nie tył krzywdą całości, ani téż mniejszość nie była miażdżona przez większość. Więc w gruncie rzeczy nie ma przeciwieństwa między dawnym kierunkiem a obecnym; lecz trzeba wszakże uznać, że to są kierunki różne, jak różném jest budowanie gmachu od jego rozbierania. Adam Smith i szkoła klasyczna są to budowniczy burzący budowle najczęściéj przestarzałe. Inni zabierają się mniéj lub więcéj zręcznie i uczciwie do budowy nowéj; często błądzą, bo to niełatwa sprawa na ruchomym gruncie zmieniających się wciąż stosunków. Ich wszystkich Block odsądza od rozumu, naukowości, a nawet od czci i wiary (np. I, str. 277: „*Perfidie de Cohn*“); jedyni u niego ekonomiści, zasługujący na to miano, są budowniczy rozbierający, t. j. wychodzący z zasady *laissez faire*'yzmu i przeciwni nietylko budowom dawnym (nie zastosowanym często istotnie do nowych warunków życia), lecz i projektom wszelkim budowli na przyszłość. Rozpamiętywania o inném przyszłém zorganizowaniu społeczeństwa wydaje im się zamachem na wolność jednostki, niszczeniem jéj indywidualności, podciąganiem ludzkości pod bezmyślny strychulec. Wstręt do organizacyi społecznéj objawia się u klasyków-ekonomistów, szczególnie wrogo przeciw wszelkiemu rozszerzeniu władzy państwowéj. Zawsze fałszywe jest u nich pojęcie państwa; widzą w niém kaftan potrzebny wprawdzie dla waryata, lub zbrodniarza, niby dla społeczeństwa dzikiego, lecz nie dla cywilizowanego. Na str. 409 tomu I-go Block mówi, że im społeczeństwo jest daléj posunięte w cywilizacyi, tém więcéj obywa się ono bez państwowéj pomocy. Nie rozumie on, że państwo nie jest takim kaftanem, lecz po prostu przedstawicielem społeczeństwa. Społeczeństwa, które go nie posiadają w téj lub innéj formie, nie mają możności rozporządzania sobą samemi. Zadaniem tego reprezentanta woli ogółu

nie jest krępowanie indywidualności, lecz przeciwnie, umożliwianie jéj rozwoju przez powściąganie szkodliwych instynktów członków społeczeństwa, ciemnych lub przewrotnych. Ciemnota i przewrotność, które w pewnéj dawce znajdują się w każdém społeczeństwie, są właśnie czynnikami krępującemi dzielność indywidualną. Tak jak pozostawienie „swobody indywidualnéj“ złodziejom i zbójom jest krępowaniem wolności reszty społeczeństwa, tak téż w skomplikowanych obecnych stosunkach ekonomicznych szanowanie swobody pewnych jednostek, znajdujących się w wyjątkowo korzystném położeniu, jest uprawnieniem ich do wyzyskiwania ekonomicznego innych ludzi. Coraz więcéj złożone warunki ekonomiczne stwarzają coraz więcéj takich korzystnych położeń dla niektórych jednostek, bez najmniejszego z ich strony wysiłku i zasługi; najczęściéj zasługę stworzenia takiéj korzystnéj sytuacyi ma całe społeczeństwo. Np. ktoś w bezludnéj lub zaniedbanéj okolicy ma w ręku środek komunikacyjny, posiada brzeg rzeki z jednéj i drugiéj strony; okolica się ożywia; rzeka staje się ważną arteryą komunikacyjną. Właściciel obu brzegów rzeki znajduje się w położeniu, które może wyzyskać dla siebie ze szkodą społeczeństwa. Aby tego się nie dopuścił, potrzeba dwóch rzeczy: 1) albo żeby sam się poczuł członkiem społeczeństwa swego i dobro jego utożsamiał ze swojém; 2) albo żeby go do tego zmusiło samo społeczeństwo: *a*) siłą swéj opinii i zwyczaju, *b*) lub siłą swego przedstawiciela (gminy, prowincyi, państwa). Wprawdzie i reprezentant ten często może dopuścić się nadużyć i właśnie liberalizm i szkoła klasyczna mają zupełną słuszność, występując przeciw nim. Występowanie to dawało im ten niesłychany urok, którym się cieszą jeszcze dziś u ludzi, co jeszcze nie zupełnie zoryentowali się w obecném życiu ekonomiczném. Lecz trzeba być albo bezdennym optymistą, twierdząc, że sama siła opinii publicznéj już powstrzyma od wszelkich nadużyć z korzystnego położenia i że każdy już teraz pod koniec XIX-go wieku będzie się czuł przedewszystkiém członkiem-patryotą swojego społeczeństwa; albo też bezdennym pesymistą, utrzymując, że państwo lub gmina mogą zasadniczo jedynie dopuszczać się nadużyć, a wyjątkowo tylko chronić społeczeństwo od nadużyć jednostek lub grup jednostek.

U Blocka przez całe dwa tomy napróżnobyś szukał zrozumienia tych spraw i sprawiedliwéj, nie polemicznéj, oceny działalności państwa. Coraz większy wpływ tego przedstawiciela ogółu zdaje się go niecierpliwić; nie widzi on, skąd ten wpływ się bierze w takich nawet społeczeństwach, dla których słowo wolność nie przestaje być w najwyższym stopniu czarującém; nie dostrzega on wcale, że one wciąż chcą pozostać przy haśle wolności, lecz że ją pojmują inaczéj, niż on

i szkoła liberalna. Nauka „klasyków“ zaś nie chce ich zrozumieć i przez to wytwarza potworne nieporozumienie.

Niepodobna w ramach krótkiéj recenzyi pomieścić krytyki przestarzałych już teraz teoryi Blocka, niesprawiedliwych jego sądów i przemilczań. Trzebaby właściwie o jego dwóch tomach napisać książkę obszerną. Twierdzi np. (t. I, str. 458), że robotnik zawsze znajdzie zarobek i że zawsze jego to wina, jeżeli go jest pozbawiony; zamiast zbić jednostronności, a podnieść dobre strony pisarzy socyalistycznych i komunistycznych francuskich i niemieckich, zbywa ich (str. 371, 373, 376 i w bardzo wielu innych miejscach) lekceważąco i namiętnie potępia tak, że ze słów jego niepodobna nabrać pojęcia o tych teoryach. J. Stuarta Milla chce znać tylko z początkowych pism jego, zwłaszcza z pierwszych wydań jego „Ekonomii politycznéj“, kiedy to ten znakomity angielski ekonomista i socyolog był pod wpływem swego ojca Jamesa, twardego zwolennika Rikarda, i stał mocno na gruncie klasycznym. O niesłychanie ciekawych zmianach pojęć J. Stuarta Milla, uwidoczniających się coraz wybitniéj za każdém niemal nowém wydaniem jego podręcznika nie ma wzmianki u Blocka. Stąd zdawałoby się, że Mill należy do zwolenników szkoły klasycznéj; w rzeczywistości zaś już w 3-ém wydaniu zajmuje wyraźnie chwiejne stanowisko, a w następnych opuszcza ją coraz wyraźniéj, szczególnie w „Autobiografii“, dziele pośmiertném.

Mnóstwo jest w Blocku usterek takich, jak zdanie, że do tworzenia się kapitałów więcéj się przyczynia oszczędność, niż praca“ (t. I, str. 333), oraz zupełnie antyspołeczne mniemania, jak, że poświęcenie ma w sobie poniekąd zawsze coś śmiesznego i nerwowego. Nie łatwo byłoby je wszystkie wytknąć.

Są w dziele Blocka niewątpliwie ustępy ciekawe i pouczające; do takich należy ustęp o automatyzmie (str. 173), t. j. tém, że w sprawach ludzkich, a nie najmniéj w ekonomicznych, wiele czynności przedsiębierzemy zupełnie bezmyślnie, samą siłą przyzwyczajenia. Także bardzo jasno i pięknie, choć treściwie, Block rozwija teoryę najmniejszego wysiłku (str. 275) *du moindre effort*. Teoryę tę stawia on na czele nauki „Ekonomii politycznéj“ w duchu istotnie pojednawczym; sądzi bowiem słusznie, że ją jako naczelną przyjmą ludzie nawet odmiennych od niego pojęć: jest-to zasada, że każdy człowiek stara się jaknajmniejszym wysiłkiem uzyskać jaknajwięcéj korzyści. Ale nie rozwija jéj zbyt głęboko i ani na myśl mu nie przychodzi teoryę tę zasadzać na korzyściach łączności i wzajemnéj pomocy ludzkiéj. Tak jak ją przedstawia, nie zawiera ona nic nowego, lecz co najwyżéj przy-

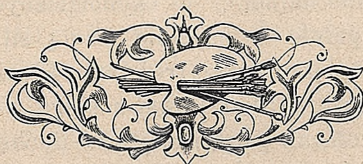
wdziewa nową sukienkę i stawia się na przedniém miejscu, czego jéj nikt nie zazdrości.

Nie da się także zaprzeczyć, że sumiennie i wyczerpująco rozbiéra autorów, których uważa za ekonomistów. Szczególnie cieszy się jego uznaniem profesor uniwersytetu wiedeńskiego, Karol Menger. Ten tworzy niejako szkołę nowo-liberalną i zajmuje mniéj więcéj takie same stanowisko teoretyczne w literaturze niemieckiéj, jakie zajmował Cairnes w angielskiéj; zowią ją niektórzy szkołą austryacką; do niéj się zaliczają Emil Sachs, profesor niemieckiego uniwersytetu w Pradze, Böhm, Bawerk i t. d.

Pod koniec oceny dzieła M. Blocka wypada dodać, że nie może ono robić wrażenia, iż napisane zostało jednym tchem, a przynajmniéj żeby odlaném zostało z jednéj sztuki, t. j. żeby górowała w nim jaka myśl naczelna, wiążąca w jedno wszystkie części. Jest ono raczéj zręczném połączeniem różnych gałęzi nauki, coś jakby encyklopedya. Każda część da się przeczytać i zrozumiéć bez konieczności oglądania się na poprzednie; z tychże ona bynajmniéj nie wypływa sama przez się, lecz tworzy jakby odrębną całość dla siebie.

Dla zwolennika szkoły klasycznéj i nieubłaganego wroga socyalizmu jest-to dzieło pierwszorzędne, jest-to arsenał nieoceniony broni, która się obficie znajduje w licznych wiadomościach i dowcipnych argumentach. Dla przeciwnika jest-to w każdym razie cenny zbiór wiadomości i pouczająca argumentacya, któréj wcale zbić nie łatwo.

Dr. Stanisław Kłobukowski.





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Wincenty hr. Łoś: 1) „Jędrek," powieść (Warsz. Centnerszwer 1891); 2) „Zięciowie domu Kohn et Comp.," powieść współczesna w dwóch tomach (Lwów, Centnerszwer 1892; str. 206, 184); 3) „Z różnych pułków," nowele i opowiadania 2 tomy, (Lwów, W. Hoschek, 1892, str. 236, 249); 4) „Tajemnica piątego pułku węgierskich huzarów," powieść (Warsz. Centnerszwer, 1892, str. 195).

Pracowicie i z wielką energią i wytrwałością dobija się Wincenty hr. Łoś imienia w powieściopisarstwie. W przeciągu lat czterech czy pięciu stał się on autorem jedenastu powieści lub zbiorów, nowel i opowiadań osobno wydanych, nie licząc tych, które nie doczekały się jeszcze edycyi książkowéj. Próbował wszelkich tematów z najrozmaitszych sfer społecznych, zarówno z arystokracyi, jak z finansów, zarówno z ludu jak z pomiędzy artystów i pisarzów, zarówno z koła oficyalistów jak wojskowych. Nie ma, zdaje się szczególnego upodobania do żadnéj warstwy; stara się każdą malować wiernie i mniéj więcéj bezstronnie, pod skorupą klasy społecznéj dopatrując się człowieczeństwa i według téj miary sądząc jéj wartość.

Czasami, zapewne, wydawać się może, iż autor z lubością się rozwodzi nad bytem pewnéj warstwy, np. gdy kreśli sceny z życia huzarów węgierskich. Ale pozór ten wynika z obranéj przez powieściopisarza formy. Podstawia się on na miejsce uczestnika życia tego, mówi jak huzar, nie mający o rzeczach innego pojęcia, jak jego koledzy, lecz podzielający we wszystkiém ich sposób widzenia, poglądy, nałogi i narowy. Byłoby atoli omyłką i niesprawiedliwością, gdyby się na samego autora składało to uwielbienie wszelakiéj tężyzny, jaką się jego huzarzy popisują. Niewątpliwie są w tych ludziach takie cechy, które powieściopisarza chwytają za serce, jak nieustraszona

odwaga, dzielność, poczucie honoru wojskowego posunięte do krańców, uczucia gorące; właśnie te cechy czynią tych ludzi sympatycznymi autorowi, tak, że łatwo mu przychodzi przejęcie się ich myślami, uczuciami i wyrażeniami; ale przecież po za sympatyą ma swoją opinię o ograniczonych ideałach téj grupy ludzi, a jeżeli go pociąga ku sobie rycerski tryb życia, to szczupłość zasobów umysłowych musi go odstręczać.

Arystokracya zazwyczaj bardzo niepochlebnie się przedstawia w powieściach hr. Łosia. Dawniéj robiono zazwyczaj powieściopisarzom naszym zarzut, że malowali hrabiów i książąt na czarno, nie znając wcale życia ich wewnętrznego, ze słyszenia tylko, z plotek tworzyli obrazy, będące karykaturą stosunków rzeczywistych. A przecież śmiało twierdzić można, że z wyjątkiem chyba czysto satyrycznych opowiadań, w żadnym utworze dawniejszym i pod względem ilości i pod względem jakości nie było tak lichych moralnie i umysłowo osobistości utytułowanych, jak właśnie w powieściach hr. Łosia. Nikczemności, podłości wszelkiego rodzaju, nie wyłączając nawet brutalstwa t. j. tego, co się ze względu na formy ogładzone zdarzać powinno najrzadziéj, przemagają tu stanowczo nad pierwiastkami szlachetnemi, nad rozumem, uczuciem, rycerskością. Są oczywiście i u hr. Łosia arystokraci zacni, ale w ich opisie zazwyczaj bywa on bardzo krótkim, gdy przeciwnie wady i zdrożności sfer wyższych roztacza bardzo szczegółowo, chociaż zapewne nie z niechęci do nich lub z braku ich znajomości.

Świat finansowy, bankierski traktuje hr. Łoś z pewną oględnością, daleką od tego satyrycznego zacięcia, z jakiém pospolicie bywał on u nas malowany. Oczywiście, nie zasłania autor stron ciemnych, a zwłaszcza śmiesznych, zwłaszcza téj dążności, wynikającéj z próżnéj ambicyi, żeby się za jakąbądź cenę dostać do sfery utytułowanéj; ale obok figur i stosunków, które z tego źródła biorą początek, nie zaniedbuje powieściopisarz uwydatnić cnót rodzinnych, zmysłu porządku, rozważnego działania, a nieraz i uczuć serdecznych, podniosłych, głębokich.

Pracowników pióra i pędzla, urzędników, oficyalistów, postaci ludowe malował dotychczas hr. Łoś mimochodem tylko i przeważnie wybiérał takie osobistości, które zachowaniem się swojém, temperamentem lub charakterem obudzić mogły zajęcie i spółczucie. Rozumié się, że i tu dalekim jest od idealizowania. Hr. Łosiowi człowiek wogóle przedstawia się pierwéj i silniéj ze swojéj strony ujemnéj niż dodatniéj; widzi w nim autor przedewszystkiém ułomności, wady i śmieszności, urojenia i chybione pomysły, zanim się dopatrzy cnót,

rozumu, świadomości celu i umiejętności w dobiéraniu środków do osiągnięcia go prowadzących.

Jakaż jest metoda artystyczna hr. Łosia?

Zdaje mi się, że można w niéj wyróżnić dwa rodzaje. Jeden z nich polega na spokojném; bardzo szczegółowém, niekiedy drobiazgowém, gromadzeniu rysów służących do oddania jakiéjś postaci lub położenia. Widać w tém pewien mozół autora, który nie obejmuje swoich osób i stosunków w sposób doraźny, błyskawiczny, ale jakby je rozpatrywał starannie przez lupę i powoli, nieraz nużąco zapisywał je na kartce papiéru. Zajęty temi szczegółami sam powieściopisarz traci czasami z oczu całość opisywanego przedmiotu i widzi go takim tylko, jakim go owe cechy w danéj chwili zauważone przedstawiają. Właściwość ta najlepiéj daje się widziéć w „Jędrku,“ chociaż nie brak jéj przykładów w „Zięciach domu Kohn.“ Jędrek to dziecię szlacheckie, zabrane niegdyś przez górali i u nich wychowane, okazujące wielkie zdolności do malarstwa, spotkane w górach przez artystę i wciągnięte przezeń do świata barw i kształtów. Są domysły, że matka tego dziecka jeszcze żyje, lecz nie ma stanowczego dowodu. Instynkt matki okazuje się niezdolnym do rozpoznania w dorosłym młodzieńcu dziecka od tylu lat zaginionego. Większa część powieści obraca się około tego, ażeby odszukać jakiś szczegół wymowny, któryby zaświadczył o synowstwie Jędrka względem właścicielki Ropianki. Malarz zrobił szkic téj wioski, w któréj Jędrek nie był w latach dorosłych. Zauważył ten szkic w pracowni swego mistrza i opiekuna i zaczął się weń wpatrywać z wyrazem melancholijnym na twarzy. Malarz ciekawy był, co Jędrka tak rozmarzyło, ale nie chciał mu przerywać zadumy, „będącéj nieocenionym skarbem dla rozwijającego się artyzmu.“ Wtém Jędrek westchnął i wyszeptał „góralskim, śpiewającym akcentem:“ Ropianka! Zdawało się, że to jedno słowo dla namiętnego artysty powinno było wystarczyć; wyrwało się ono mimowoli z ust młodzieńca, kombinującego jakieś niewyraźne, mgłą czasu przesłonięte wspomnienia z obrazkiem, na który patrzył. Byłoby takie nagłe wnioskowanie u artysty płomiennego, uczuciowego właściwszém, aniżeli długie, mozolne, trochę na śledztwo zakrawające dochodzenie, skąd się mogła u Jędrka znaleźć możność poznania miejscowości, w któréj nie był. Za pomocą takiego domysłu prędzéjby się rozwiały wątpliwości jeżeli nie matki to przynajmniéj malarza. Tymczasem autor wolał przeprowadzić drobiazgowe wypytywanie się, z którego naturalnie żadna przekonywająca pewność wyniknąć nie mogła, bo Jędrek sam przed sobą nie zdawał sprawy w tym względzie. Czegóż mogła nauczyć następna rozmowa między malarzem a góra-

lem: „Coś mówiłeś? — Nic nie mówiłem. — Zdawało mi się jakieś nażwisko. — Może... ale powiédz mi, co to jest ta śliczna miejscowość? — Nie pamiętam. — To musi się nazywać Ropianka! — Dlaczego? — Bo tak mi przyszło na myśl to nazwisko. Czy może tak. — Wyobraź sobie, że tak. Może widziałeś? Może słyszałeś?“ i t. d. Malarz wprowadza w dalszym ciągu w błąd górala naumyślnie, mówiąc mu, że Ropianka leży na Szląsku, gdzie Jędrek nigdy nie był, i dopiéro po upływie kilkunastu godzin, kiedy Jędrek spał, „błysnęła“ malarzowi myśl, że to syn Bialskiéj. Budzi go i po przeprowadzeniu równie mało zajmującéj rozmowy jak poprzednia, znowu pyta: — „No, gadaj, jak tobie do głowy ta Ropianka przyszła? — Co? co? Ropianka? — No, gadaj! — Jędrek się obruszył: Ot i po to mię budziłeś? Żeby cię jasne pioruny!.. Ze śliną do gęby przyszło z mózgu... to czasem się trafia... od czego dusza? — Chciał się obrócić na drugi bok i spać daléj...“ Malarz spać mu nie pozwolił i teraz dopiéro opowiedział mu wszystko, co wiedział z historyi Ropianki i pani Bialskiéj, oraz swój domysł, a raczéj, jak wtedy sądził, całkowitą pewność.

Co tu szczegółowiéj o jednéj tylko scenie powiedziałem, to się da zastosować do całego opowiadania. Wszędzie to co autor opowiada o danéj sytuacyi, ma cechy naturalności pospolitéj, ale nie wszędzie jest zharmonizowane z ogólném wyobrażeniem, jakie dał o ludziach, w téj sytuacyi udział biorących. Jednostki gwałtowne i namiętne zachowują się nieraz tak, jak osoby powolne, rozważne, chłodne, i naodwrót. Nie myślę właściwości téj powieściopisarskiéj tłómaczyć jakimś brakiem zdolności wnikania w psychiczne usposobienie ludzi, lecz zdaje mi się, że wynika to z metody posługiwania się drobiazgowemi rysami tam, gdzie ten sposób kreślenia postaci nie zupełnie jest odpowiedni, oraz ze złego, niewłaściwego użycia tych drobnych rysów. Gdzie natury są prostsze, tam mniéj widoczną staje się ta wada; gdzie zaś występuje komplikacya różnych uczuć i popędów, tam oczywiście syntetyczny obraz byłby o wiele pożądańszy.

Drugi rodzaj metody pisarskiéj hr. Łosia jest wprost przeciwny piérwszemu. Zasadza się on na użyciu rysów ostrych, jaskrawych, przesadnych, które nam odrazu stawiają przed oczy pewną osobę lub pewne położenie w najgrubszych konturach. Dotychczas zastosował autor ten sposób pisania do kréślenia scen z życia wojskowego. To też jego opowiadania o huzarach węgierskich (dotąd trzy tomy) wyróżniają się stanowczo od innych powieści i nowel hr. Łosia, chociaż znowu we własnym obrębie, pomimo zaciekawiającego wątku są bardzo jednostajne. Kobiéta, wino i śpiew — według znanego hasła — są

wyłącznémi przedmiotami, jakie zajmują huzarów hr. Łosia i to mniéj więcéj zawsze w bliźniaczo do siebie podobnych kombinacyach. Wszyscy ci ludzie są wulkanicznie namiętni, niesłychanie drażliwi co do swoich przymiotów i zalet, wszyscy poczytują rozwagę za rzecz błahą wobec wrzących uczuć, wszyscy są niezmiernie próżni, ambitni, hałaśliwi, nadzwyczajnie czuli pod względem poczucia honoru nie tylko wogóle ludzkiego i wojskowego, ale specyalnie jeszcze huzarskiego i to z trzeciego lub piątego pułku. Najjaskrawszym tego przykładem jest opowiadanie p. n. „Honor w węgierskiéj armii.“ Jednemu z huzarów, znajdujących się w lichém położeniu finansowém, przedstawiono do zapłacenia weksel na znaczną sumę. Festiczy uznał go za sfałszowany i zapłaty odmówił. Naturalnie, musiał być wytoczony proces. Otóż w trzecim pułku huzarów nikt nie może miéć procesu. Trzeba więc było albo zapłacić fałszywy weksel, albo téż z pułku wystąpić. Koledzy złożyli potrzebną sumę, ale Festiczy raz oświadczywszy, że podpis jego jest sfałszowany, nie mógł przyjąć pieniędzy, ażeby nie ściągnąć na siebie ubliżających podejrzeń. Pułkownik Szometh kochał Festiczego, nie chciał utracić oficera, sam ofiarował sumę potrzebną za pośrednictwem przyjaciela, a gdy ten wiedząc zgóry usposobienie ambitnego kolegi, odmówił w jego imieniu, kazał Festiczemu powiedziéć, że jeżeli będzie potrzebował, to może od niego dostać wyborny rewolwer. Insynuacyi téj Festiczy nie przyjął, chciał się bądź co bądź oczyścić; podał się do dymisyi. W przeciągu trzech dni, które wedle regulaminu pozostawały mu do udowodnienia fałszu wekslowego, udało mu się w skutek szczęśliwego zbiegu okoliczności tego dokonać. Gdy z tą wiadomością śpieszono do pułkownika, wskazówki stały na wpół do dwunastéj. Gdy brano za klamkę, rozległ się huk wystrzału. Przy biurku na fotelu, z głową opartą o poręcz siedział pułkownik nieżywy. Przed nim leżała dymisya Festiczego — jeszcze nie podpisana. Ponieważ podwładny nie skorzystał z myśli o rewolwerze, przełożony, gdy nadeszła godzina prekluzyjna, w któréj musiałby wykreślić ulubieńca swego z pułku, wolał sam życie pożegnać.

Do określenia metody pisarskiéj nie może jednak wystarczyć uwaga o używaniu drobnych lub grubych rysów; potrzeba oznaczyć, jaki jest stosunek scen poszczególnych do wątku powieściowego, jaki jest udział wyobraźni i obserwacyi w utworach pisarza.

W odpowiedzi na te pytania można zaznaczyć, że hr. Łoś lubi aż zanadto wyzyskiwać bardzo szczupły wątek za pomocą roztaczania scen kreślonych szczegółowo, a mało się przyczyniających do lepszego zrozumienia postaci lub położeń. Tego co się nazywa rozwojem charakterów, prawie zupełnie nie ma w powieściach hr. Łosia. Jego oso-

by są odrazu i zgóry nam znane przedstawione w swoich zasadniczych właściwościach, tak że w dalszym przebiegu akcyi powieściowéj, zazwyczaj dość skąpéj, widzimy tylko przyczynki czysto zewnętrzne, ilustrujące nam tę lub owe wadę czy zaletę danéj postaci. Sprawia to wrażenie kroczących napozór posągów a częściéj masek tylko. Tak np. przez dwa tomy widzimy prawie ustawicznie przed sobą milionowego bankiera Kohna, lecz o jego duszy, o całym mechanizmie wewnętrznym dowiadujemy się tylko tyle, że w sprawach pieniężnych miał on genialne kombinacye, umiał z wielkim smakiem urządzać apartamenta, obiady i cały wogóle wykwitny tryb życia, i że trawiony był próżnością pozyskania utytułowanego zięcia, dla którego się rujnował z pewném to gniewném, to rozkoszném upodobaniem, lekceważąc sobie drugiego zięcia, który majątku używał rozumnie i do jego kieszeni nie zaglądał. Tych kilku rysów z życia duszy to zamało chyba na wytworzenie postaci żywéj, to zamało na zainteresowanie nią myślącego czytelnika, który widząc przed sobą uwijającą ciągle figurę nie może należycie pojąć, dlaczego robi ona to lub owo, dlaczego jéj trzeźwość w jednym względzie, zupełnie jest pominiętą w drugim; dlaczego próżność nawet nie ostrzega go wobec hr. Korońskiego i jego matki, drwiących sobie z bankiera-teścia. A przytém gdy dodamy, że zarówno Koroński jak Łęski również się przedstawiają czytelnikowi w zbyt jednostajnych sytuacyach, przez większą część dwóch tomów, że słyszymy wciąż tylko o śniadaniach, obiadach, kolacyach, rautach, wycieczkach, zabawach, t. j. o samych zewnętrznych objawach życia światowego; to niepodobna będzie nie zrobić téj uwagi, iż powieściopisarz zanadto zaniedbuje stronę psychiczną, dla powierzchowności. A przecież powieść ta: „Zięciowie domu Kohn et C-ie“ musi być uważana za najlepszą z dotychczasowych; jest w niéj dużo obserwacyi trafnéj i wiele myśli rozumnych i parę charakterów dobrze pomyślonych, tylko nie rozwiniętych, nie przedstawionych w całém bogactwie swojéj natury. W innych powiastkach wyzyskiwanie szczupłego wątku bywa bardziéj rażące; treść anegdotyczna starcząca zaledwie na szkic jędrnie napisany, bywa przez autora rozciągana tak pracowicie, że powstaje cały tomik. Za przykład posłużyć może „Czakvar“ (w zbiorze „Z różnych półków,“ obejmuje str. 179) oraz „Tajemnica piątego pułku huzarów węgierskich.“ Oba te utwory powstały właściwie w gruncie rzeczy z jednego wątku; w obu chodzi o huzarów, mających jakieś tajemnicze wstręty i obawy, w obu jest huzar, które te tajemnice powoli rozwikłać się stara, w obu są hodowcy koni zdziwaczali, w obu główny motyw jest zbyty pobieżenie, tylko że w jednym rozwiązanie jest tragiczne, a w drugim napół przynajmniéj pogodne. Oba są prowa-

dzone w sposób zaciekawiający, ale gdy się je ukończy, to się widzi, że owe zaciekawienie bynajmniéj nie tkwiło w samym wątku; lecz w sztuczném, naciąganém przedstawieniu rzeczy, na dziwaczném, czasami zabawném podtrzymywaniu nieporozumień i t. p.

Dowód to, że pomysł nie wytryskuje łatwo i swobodnie z umysłu powieściopisarza, lecz jest obmyślany starannie, kombinowany pracowicie. Lotnością nie odznacza się wyobraźnia hr. Łosia; a obserwacya jego nie jest bystra i przenikająca, lecz, jak się zdaje, powolna, rozważna, tracąca często z widoku całość, kiedy się zatapia w szczegółach. Prócz tego niekiedy nasuwa się przypuszczenie, że obserwacya ta nie bywa bezpośrednią, lecz braną z drugiéj ręki. Mianowicie opisy wnętrza wspaniałych gmachów bankiera Kohna, jego galeryi, przyjęć i t. p. może były brane raczéj z tego, co autor widział w Wiedniu, aniżeli z tego, co jest w Warszawie, gdzie osoby swojéj powieści ulokował. Czy obrazy życia huzarskiego są wzięte z bezpośrednich spostrzeżeń, jest to pytanie, na które niedodobna mi dać odpowiedzi stanowczéj; zdaje mi się jednak, że jest w niéj więcéj prawdy, aniżeli w zarysie życia wielkoświatowego w Warszawie.

Piękności przyrody umié odczuwać autor i umié je wskazać, lecz nie stanowią one jednego z jego zamiłowań i dotąd przynajmniéj nie były przezeń szczegółowo malowane. Wzmianki krajobrazowe bywają u niego zazwyczaj dość skąpe, w słowach raczéj sprawozdawczych niż artystycznych oddane. Wyobraźnia, trzymająca się blizko poziomu, niezasobna w barwy i blaski, uwydatnia tylko ogólne zarysy zjawisk, w cieniowanie ich wcale się nie wdając.

Ten rodzaj wyobraźni warunkuje oczywiście i styl powieściopisarza. Styl ten nie porywa i nie olśniewa, nie obfituje w zwroty oryginalne, w przenośnie świeże, w wyrażenia dobitne; jest jasny, posługuje się frazeologią powszednią, używa porównań i metafor będących w obiegu oddawna, lubuje się w ucinkowéj raczéj niż okresowéj budowie.

Najsłabszą stroną w utworach hr. Łosia jest język. Nie włada nim autor należycie; bardzo często nie ma nie tylko poczucia prawdziwéj swojskości i poprawności, ale niekiedy — nawet poczucia znaczenia wyrazów. Cudzoziemczyzna, a mianowicie galicyzmy grasują zarówno w opowiadaniu jak w rozmowach. Nieumiętne, niewłaściwe użycie np. w i ę c é j zamiast j u ż i t. p. w zdaniach przeczących powtarza się aż do uprzykrzenia, tak samo zresztą jak i u kilku innych powieściopisarzów nowszych. Usterka tak się zagęściła, że już przestaje razić niektórych krytyków, dbających o czystość mowy ojczystéj — w zasadzie. Najwięcéj niepoprawności znajduje się w „Zięciach domu

Kohn et C-ie,“ najmniéj w zbiorze „Z różnych pułków.“ Jeśli to jest wynikiem baczności ze strony autora, to można się spodziewać, że będzie się stopniowo otrząsał z wad językowych i dojść może do owładnięcia narzędziem swego powieściopisarskiego zawodu. Młodym jest, pracowitym, wytrwałym, więc chociażby nie dosięgnął wyżyn twórczości, powinien dążyć do udoskonalenia tych zalet jakie posiada i do nabycia takich, których mu brak jeszcze obecnie. Mniéj pohopności w chwytaniu bylejakich tematów, więcéj starania o czystość, poprawność i piękność języka: są to warunki, którym zadość uczynić może i zapewne zechce. *P. Chmielowski.*

Gaston Boissier. *La fin du paganisme.* Etude sur les dernières luttes religieuses en Occident au quatrième siècle. 2 Vol. str. 460 i 516. Hachette. Paris, 1891.

Epoka upadku społeczeństw starożytnych z ich instytucyami politycznemi, prawnemi, ekonomicznemi zajmuje zarówno dziejopisarzów cywilizacyi jak filozofów, ekonomistów jak socyologów. Przyczynkiem do wyświetlenia tego nie dość jeszcze zbadanego we wszystkich szczegółach przełomu dziejowego jest dwutomowa praca członka akademii francuskiéj i akademii napisów. Jest to obraz życia wewnętrznego, przeważnie intelektualnego, Rzymu w IV wieku, obraz starcia żywiołów cywilizacyi starożytnéj z nowemi pojęciami chrześciańskiemi.

Autor rozpoczyna dzieło na punkcie, na którym skończył swoje Renan. Chrześciaństwo występuje już w skończonéj prawie formie; opanowywa ono stopniowo zwyczaje, literaturę, całe życie starożytnego świata, przystosowując się do nich poczęści, wchłaniając z nich wszystko, co ma zadatki trwałości.

Zwycięstwo chrystyanizmu rozpoczyna się od nawrócenia Konstantyna. W piérwszéj księdze znajdujemy historyę znakomitego edyktu medyolańskiego (313 r.), pierwszego aktu tolerancyi ze strony cesarzów. Zasada tolerancyi, wypowiedziana we wstępie do tego edyktu a umotywowana dobrem ogółu, wyróżnia go od wszystkich poprzednich aktów, zwalniających chrześcian od prześladowania. Autor wykazuje trudności, na które napotykało przeprowadzenie tego edyktu w państwie autokratycznem, gdzie biurokracya jest potężniejszą od monarchy, maluje stosunek do chrześciaństwa Konstantyna, który zostawszy chrześcianinem nie przestał być cesarzem; zachował on najwyższe kapłaństwo pogańskie, przypadające mu z urzędu a ściśle połączone z atrybucyami władzy państwowéj; z drugiéj strony, przyzwyczajenie do jednolitości władzy, każe mu patrzéć ze smutkiem na nie-

zgodę pośród chrześcian, na brak jedności w pojmowaniu dogmatów. Stara się on pojednać przeciwników, usuwając kwestye sporne.

Zaledwie atoli uwolnieni od prześladowania chrześcianie pierwsi wykazują nietolerancyę. Firmicius Maternus (*De errore profanarum religionum*) pisze, wzywając cesarza do ich nawrócenia: „Okaż pomoc tym nieszczęśliwym; lepiéj ocalić ich wbrew ich woli, niż pozwolić na ich zgubę.“ Przemawia do jego chciwości, radząc zabrać na skarb bogactwa świątyń pogańskich; radzi ich kamienować, zabijać bez litości, „chociażby to był brat twój, syn lub żona.“ Usłuchał tych nawoływań Konstantyn i w 50 lat po wydaniu edyktu medyolańskiego nie było już mowy o tolerancyi dla pogan. Ale następca jego Julian (od r. 362) robi ostatnią próbę obrony cywilizacyi starożytnéj przeciwko chrześciaństwu, wciskającemu się we wszystkie pory społeczeństwa. W prześladowaniach jego daje się widziéć nie despotyzm cesarza, lecz oburzenie filozofa. Ciekawą tę postać, któréj Adr. Naville poświęcił osobne dzieło [1]), zestawić możemy z Markiem Aureliuszem, którego stosunek do chrześciaństwa tak doskonale wyświetlił Renan. Obadwaj byli filozofami, obadwaj oddani byli światu starożytnemu, obadwaj wierzyli w żywotność jego kultury, a jak jeden chciał odnowić społeczeństwo przez filozofię stoicką, tak drugi pragnął wlać życie nowe w politeizm, dając mu za podstawę nowo-platonizm. Napisana przez Juliana podczas trzech nocy bezsennych rozprawa o „Królu Słońca“ przedstawia w czystości doktrynę aleksandryjską. Mamy tu trzy światy: swiat idei (*noetos*), świat pośredniczący pomiędzy tymi nieprzystępnymi dla śmiertelników bytami wyższymi (*noeros*) i wreszcie świat widomy. Najwyższą ideą piérwszego jest Jedyny czyli idea Dobrego; najwyższą w świecie widomym — słońce, które nas ożywia, a pośrednikiem między niemi — Król-Słońce. Godném uwagi jest, że obiedwie te doktryny — stoicka i nowo-platońska, które przeciwstawiali chrześciaństwu obrońcy cywilizacyi starożytnéj, zostały przez nie wchłonione i stały się niemal głównemi podstawami etyki i metafizyki chrześciańskiéj. Tak każda nowa idea zwycięża nie wcześniéj. jak webrawszy w siebie wszystkie dodatnie żywioły dawnego społeczeństwa.

Daléj, daje utor obraz wychowania i nauki szkolnéj w Rzymie, oraz wpływu tego wychowania na chrześcian. Jakkolwiek rząd nie dbał o oświatę ludową, sądzi jednak Boissier, że w epoce opisywanéj pociąg do wykształcenia był bardzo rozpowszechniony i że mało było ludzi nieumiejących czytać i pisać. Przemawiają zatém liczne afisze

1) L'empereur Julien et la philosophie politeiste.

znalezione na murach Pompei, oraz znany fakt, że hasła w wojsku nie podawały się ustnie lecz pisały się na tabliczkach. Skargi na hałas, sprawiany w Rzymie przez uczniów, wykrzykujących w szkołach chóralnie, skargi, które spotykamy u św. Augustyna i Marcyala, dowodzą, że szkoły byli liczne. Piérwszą naukę podaje literator, lub jak go nazywa św. Augustyn *primus magister*, od niego przechodził uczeń do gramatyka, gdzie uczył się poprawnego mówienia i tłómaczenia poetów, a kończył edukacyę u retora. — Dopiéro za Wespazyana urządzona w Rzymie została piérwsza publiczna katedra krasomówstwa. W liczcie profesorów, płatnych przez rząd, był Kwintylian. Wreszcie za Teodozyusza II (w r. 425) założony został w Konstantynopolu uniwersytet. Z liczby 31 profesorów było 3-ch retorów i 10-ciu gramatyków łacińskich; 5 retorów i 10 gramatyków greckich; 1 filozof i 2 prawników.

Studya szkolne odbywały się na autorach pogańskich. Nikomu by nie przyszło na myśl używać w tym celu pism chrześciańskich, które były najczęściéj źle tłumaczone, a których wartość literacką i poetycką ocenił dopiéro św. Augustyn. Chrześcianie doskonale się zastosowują do tego pogańskiego wychowania, korzystając bez skrupułu z broni, którą im daje znajomość retoryki i filozofii. Wpływy tego wychowania wykazuje autor, poddając rozbiorowi dzieła Tertuliana i Minucyusza Felixa. Najbardziéj atoli typowém odzwierciedleniem zlewania się żywiołów cywilizacyi pogańskiéj z chrześciaństwem jest św. Augustyn, syn poganina i chrześcianki, oddający się w młodości życiu rozwiązłemu, hołdując w tém obyczajom rzymskim, nawracający się pod wpływém przeczytanéj rozprawy Cycerona („Hortensyusz"). Szczegółową historyę tego nawrócenia, do któréj za materyał służy spowiedź św. Augustyna, oraz rozbiorem tego w jaki sposób wogóle nastąpiło zlanie tych dwu wrogich żywiołów, kończy się piérwszy tom dzieła.

Pomijamy obszerne rozdziały, traktujące o poezyi chrześciańskiéj, któréj historyę rozpoczyna autor od ewangelii apokryficznych — źródła legend, podań i obrządków średniowiecznych — oraz śpiewów sybilińskich (zaznaczymy w nawiasie społeczny kierunek tych śpiewów, wyrażający się w nienawiści ku bogactwu, zaznaczeniu wyzysku ekonomicznego oraz nienawiści dla Rzymu; jest to według pana Boissier jedyny objaw wrogiego dla państwa usposobienia chrześcian), o społeczeństwie pogańskiém i ideałach pogan pragnących, jak Symmachus, przekształcenia społeczeństwa rzymskiego w duchu wyznawanéj przez nich filozofii, zajmujące większą część 2-go tomu. Pomijamy również wyczerpujący rozbiór dzieła św. Augustyna *De civitate Dei*,

oraz obraz ostatnich walk pogaństwa z chrześciaństwem, wystąpienia pogan z powodu usunięcia z senatu ołtarza Victoryi (zwycięstwa), aby przejść do wniosków autora, dotyczących oceny sądów Raynal'a i Gibbona, przypisujących chrześciaństwu główną rolę w rozkładzie cesarstwa rzymskiego.

Rozstrząsając główne kierunki. w których chrześciaństwo mogło wystąpić jako czynnik rozkładowy, p. Boissier przychodzi do wniosku, że, albo grożące bytowi państwa objawy wystąpiły przed wprowadzeniem chrześciaństwa albo, tam gdzie były jego wynikiem, zaczęły się już były łagodzić drogą przystosowania stopniowego. Upadek religii tak ściśle związanéj z instytucyami politycznemi, jak była religia rzymska, musiał niezawodnie zachwiać te instytucye; ale upadek ten nastąpił przed czasami chrześciańskiemi, pod wpływem religii wschodnich. — Jeśli zasady piérwotne chrześcian były sprzeczne z podstawami państwa rzymskiego, jeśli poeci sybilińscy tchną nienawiścią ku Rzymowi, to widzimy w późniejszych czasach chrześcian wczasie prześladowań, modlących się w katakumbach za cesarza i za państwo, przeciwnie nie spotykamy ich w spiskach; w zasadach zaś chrześciaństwo drogą ustępstw coraz bardziéj zbliża się do wymagań państwowych. — Ważne stanowisko, które zajęli duchowni chrześciańscy w ostatnim wieku panowania Rzymu, nie szkodziło czynnościom machiny politycznéj. Zasada, że różnica wyznania religijnego, wchodzących w skład państwa jednostek, nie powinna być przeszkodą ku temu, aby jednostki te łączyły usiłowania swoje dla dobra wspólnéj ojczyzny, zasada z taką trudnością wprowadzona w państwach nowoczesnych, była praktykowana na szeroką skalę przez Rzymian w IV wieku. W radach cesarstwa chrześcianie i poganie siedzieli obok siebie. — Unikanie działalności publicznéj nie było wyłącznėm następstwem chrześciaństwa; skargi na nie występują w czasach Cycerona, były one wynikiem w Rzymie cesarskim — obawy o życie, na prowincyi — obawy o majątek, wszelkie bowiem urzędy municypalne pociągały za sobą ogromne wydatki; usprawiedliwiała je filozofia Epikura.

Wyludnienie cesarstwa nie było wynikiem propagowania przez chrześcian stanu bezżennego; zaczęło się ono przed chrześciaństwem. Również i osłabienia ducha wojowniczego nie należy przypisywać chrystyanizmowi; rozpoczęło się ono wcześniéj, a jeśli zasady chrześciańskie nasuwają pewne skrupuly co do moralnoscl wojny, to widzimy, że św. Augustyn je usuwa. Sobór z r. 314 (w Arles) wyrzeka przekleństwo na tych, którzy się usuwają od powinności wojskowéj. Nie przyznaje też autor słuszności zarzutom, jakoby chrześciaństwo wpłynęło na upadek literatury i umiejętności w Rzymie. Wiek, któ-

ry nastąpił po epoce Antonina i Marka Aureliusza, nie zapisał w dziejach literatury ani jednego głośnego imienia, a ten raptowny upadek nie mógł być wynikiem chrześciaństwa, zbyt mało wpływowego jeszcze w owe czasy. Przeciwnie odrodzenie literatury w następnéj epoce pochodzi przeważnie od chrześcian.

Roztrząsając więc zarzuty przeciwko chrześciaństwu, jako czynnikowi rozkładowemu, które spotykają się u pisarzy pogańskich ówczesnych, uznaje one Boissier za niesłuszne. Nie podejmując się oceny w jakim stopniu zdanie to jest słuszne, pozwolę sobie uczynić jedną uwagę.

Historycy są zwykle zbyt skłonni do uznania faktu dokonanego za nieunikniony wynik fatalizmu dziejowego. Przyzwyczailiśmy się uważać upadek cywilizacyi starożytnéj za fakt, wynikający z jej wewnętrznego rozwoju, którego nic uchylić by nie mogło, a chrześciaństwo za prąd biegunowo jéj przeciwstawny. W jakimkolwiek bądź stopniu przyznamy słuszność p. Boissier, zdaje mi się nie ulegać wątpliwości, że poszukiwania jego zmuszą do zmodyfikowania téj opinii. Powinniśmy uznać, że cywilizacya starożytna zawierała w sobie wiele żywotności, a chrześciaństwo — wielką zdolność przystosowania się do jéj wymagań. Wprawdzie jest jeden ważny rodzaj oddziaływania chrześciaństwa na tę cywilizacyę, którego utor nie uwzględnia. Każdy porządek społeczny musi upaść, jeśli tylko większość, a przynajmniéj lepsze jednostki społeczeństwa utracą wiarę w jego sprawiedliwość. Pozbawione swoich naturalnych obrońców, oddanych mu bezinteresownie, z przekonania, społeczeństwo idzie niemylnie do zguby, gdyż żaden porządek społeczny nie może spocząć na egoizmie i atomizmie interesów. Chrześciaństwo jeśli nie spowodowało, to przynajmniéj w znacznym stopniu przyczyniło się do wytworzenia tego warunku. Społeczeństwo, spoczywające na niewolnictwie jako instytucyi prawnéj, nie mogło ostać się wobec coraz bardziéj szerzącéj się nauki o równości i braterstwie ludzi. Ale i tu piérwszą szczerbę uczyniło nie chrześciaństwo, lecz filozofia stoicka. Filozofia ta atoli rozpowszechniona była wśród ukształconych warstw społeczeństwa rzymskiego; chrześciaństwo rzuciło ideę równości masom.

Czy jednak z położenia tego nie było żadnego wyjścia? Dopóki chrześciaństwo było tylko religią upośledzonych, religią niewolników i ubogich, stawiało ono zbyt wielkie wymagania, przeciwstawiało się zbyt ostro światu pogańskiemu. Ślady tego widzimy w poezyach sybilińskich. Ale skoro dostało się do warstw ukształconych, do wy-

żyn społecznych i intelektualnych, zniża ono wymagania swoje do historycznie możliwego minimum, przysposabia się do istniejących warunków cywilizacyi. Leeky w swojéj historyi moralności w Europie przytacza dowody licznych wyzwoleń niewolników, dokonanych pod wpływem filozofii stoickiéj. Czy wyzwolenia te nie mogłyby wzrastać liczebnie pod wpływem chrześciaństwa? Czy wreszcie dekrety chrześciańskiego rządu nie mogłyby znieść ostatnich śladów niewolnictwa, a po usunięciu téj głównéj krzywdy dziejowéj, (tak jak usuniętą została dopiéro w X wieku pod wpływem chrześciaństwa w społeczeństwach barbarzyńskich), czy niemogłoby nastąpić zupełne odrodzenie cywilizacyi starożytnéj ściśle spojonéj z chrześciaństwem?

Nie spieszmy wydawać wyroków śmierci na to, co ma w sobie jeszcze zadatki życia, bo przez to tylko usprawiedliwiamy gwałty dziejowe. Takim gwałtem było dla Rzymu najście barbarzyńców.

Wł. M. K.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *W. Lutosławski.* **O logice Platona**. Część druga: Dotychczasowe poglądy na logikę Platona i zadania dalszych badań nad tym przedmiotem (Warszawa, 1892, str. 60). Rok temu pisaliśmy na tém miéjscu o piérwszéj części rozległéj téj pracy, wskazując jéj niepospolite znaczenie i wielkie zalety wykonania. Druga część, którą obecnie mamy przed sobą, nie budzi zapewne takiego zajęcia, jak piérwsza, ma bowiem przeważnie charakter sprawodawczy, ale zdumiewa obszerną erudycyą. Autor bowiem nie tylko ważniejsze, lecz nawet drobne prace dotyczące logiki Platona roztrząsa w tym przeglądzie historycznym, obejmującym wiek XV do XIX. Zrobić to mógł jedynie na podstawie osobistego pobytu w British Museum i w bibliotece berlińskiéj, gdzie znalazł najlepiéj nagromadzoną literaturę swego przedmiotu. Przegląd ten traktuje autor ściśle chronologicznie w tém przekonaniu, że jak we wszystkich innych dziedzinach nauki, tak i w tym szczuplutkim zakresie badań, jaki specyalna kwestya logiki Platona wytwarza, można spostrzedz „ciągły rozwój, przerywany tylko mimowolnie anachronizmami autorów, nie znających literatury kwestyi, o któréj piszą.“ Zdaje nam się, że zamiar ten lepiéj byłby osiągnięty, gdyby autor, nie trzymając się zbyt trwożnie chronologii w obrębie każdego stulecia, utworzył był grupy pisarzów, mających do siebie podobieństwo i w następstwie tych grup wykazał ów rozwój stopniowy.

W téj formie, w jakiéj autor podał zdania mnóstwa pisarzów o logice Platona, czytelnik sam musi dokonywać takich zestawień i zbliżeń, jeżeli chce sobie wyrobić istotnie jasne pojęcie o rozwoju poglądów na ten przedmiot, a zapewne nie zrobi tego tak dobrze i tak dokładnie, jakby to mógł był uczynić badacz świadomy najdrobniejszych nawet szczegółów rozstrząsanego przez siebie zagadnienia. Dziwi nas to mechaniczne prawie wyliczenie ze względu na to, że p. L. tak doskonale rozumié i określa zadanie historyczno-krytycznego wykładu (str. 24—32). „W przedstawieniu teoryi każdego filozofa — powiada on — przedewszystkiém trzeba miéć na widoku cel podobnéj pracy. Celem jéj nie może być jedynie wierne oddanie treści dzieł filozofa, o którym mowa, gdyż w takim razie najwierniejszym obrazem jego filozofii byłyby tylko jego własne dzieła — i wszelkie strzeszczenia tych dzieł miałyby zupełnie drugorzędne znaczenie. Celem pracy historyczno-filozoficznéj jest wyrażenie i zrozumienie także tego, co sam filozof, o którym piszemy, myślał, choć nie zawsze dosyć jasno wyraził. Tutaj właśnie ma miejsce praca myśli, wyprowadzanie wniosków z danego materyału, w skutek czego praca historyczna zawiera nowe rezultaty i ułatwia zrozumienie filozofii danego filozofa lepiéj, niż jego własne dzieła.“ Ażeby zaś tego dokonać, badacz historyczno-filozoficzny bynajmniéj nie potrzebuje iść trop w trop za chronologicznym rozwojem myśli pewnego filozofa i poprzestawać na streszczeniu i ocenie pism w tym porządku, w jakim one były pisane. Badacz musi oczywiście znać bardzo dobrze tę chronologię, musi być na każdym kroku świadom, jaką koleją pewne myśli powstawały, rozwijały się czy zanikały u danego mędrca; lecz chybiłby głównego swego celu, gdyby w wykładzie swoim obrał taki porządek przedstawienia. Jak wiadomo bowiem i jak to sam p. L. wypowiada, celem historycznego badania jest nie tylko stwierdzenie oddzielnych faktów przeszłości, lecz przedewszystkiém pojęcie ich związku; a więc konieczną jest rzeczą przedstawienie myśli danego męża w pewnym systemacie, ugrupowanie ich. Tak właśnie zamierza p. L. zrobić z logiką Platona. Przetłomaczyć on pragnie mędrca greckiego „na pojęcia nowoczesne, starannie zaznaczając, w czém się te pojęcia różnią od pojęć używanych przez Platona.“ Wcale go nie krępuje myśl, że „Platon sam mógł inaczéj sobie wyobrażać swój system,“ byleby zdołał dowieść, że „to wyobrażenie jego systemu, jakie przekładamy, odpowiada jego istotnéj wewnętrznéj treści i że każde zdanie, które my w tym systemie pomieszczamy było rzeczywiście zdaniem Platona.“ Zanim jednak do tego przystąpi, musi autor ustalić prawdopodobny porządek, w którym Platon dzieła swe

napisał, a roztrząsanie, tego przedmiotu dotyczące, ma stanowić przedmiot trzeciéj z kolei części zamierzonego dzieła. Dodać winniśmy, że obecnie część druga wyszła nakładem Kasy pomocy imienia D-ra Mianowskiego.

= **Homera Iliady pieśń 1.** Przekładał *Jan Czubek.* Kraków, 1892, str. 16. Nie pierwszy to raz występuje p. Czubek, profesor gimnazyum św. Anny w Krakowie, z pracą ułatwiającą, nieznającym języka greckiego zapoznanie z utworami Hellenów. Dał już w przekładzie wiele pieśni liryków, przetłomaczył „Antygonę“ Sofoklesa. Obecnie po kilku poprzednikach zabrał się do Iliady. Wydrukowana pieśń 1-sza ma zapewne poczęści służyć za środek dowiedzenia się, czy warto w ten sposób daléj pracę prowadzić. Z tego powodu podamy tu kilka uwag, które się nam przy odczytywaniu tego tłómaczenia nasunęły. Przedewszystkiém przypomniéć potrzeba znaną prawdę, że dla znawców oryginału żaden przekład, choćby najwierniejszy, zupełnie zadowalniającym być nie może, gdyż nie posiada tego uroku bezpośredniéj twórczości, swobody i łatwości, co tamten. Można więc tylko mówić o względnéj wartości tłómaczenia. Mając nowy przekład przed sobą, pytamy się, w czém on jest wyższy od dawniejszych. P. Czubek jest dobrym znawcą greczyzny; więc oczywiście starał się jaknajwierniéj oddać wszystkie odcienie oryginału; trzymał się ściśle i wyrażeń i liczby wierszy, tak że w całéj pieśni 1-széj o jeden tylko wiersz więcéj mamy w tłómaczeniu niż w oryginale, i to oczywiście nie dla tego, żeby autor nie zdołał był zawrzéć się w granicach wskazanych przez tekst, lecz dlatego, że pisząc rymami, musiał dopełnić do pary nieparzystą liczbę wierszy oryginałn. Czy potrzebnie używał rymu? Gdyby nim władał świetnie, niebyśmy przeciwko temu upiększeniu miéć nie mogli; ale niestety, tak nie jest. Tłómacz zadawał sobie widocznie wiele trudu, ażeby nie wpadając w rozwlekłość, nie parafrazując Iliady, osiągnąć i rymy nie-słabe; cel ten osiągnął w pełnéj niemal mierze, ale kosztem harmonijności i potoczystości wiersza. Ubiegając się o rym zapomniał o jednym z zasadniczych warunków rymotwórstwa, nadającym właściwą piękność brzmieniu, a mianowicie zapomniał o rytmiczności. Nie tylko bowiem nie zachowywał jednakowego następstwa zgłosek akcentowanych, do czego nasi poeci od najdawniejszych czasów nas przyzwyczajali, ale co gorsza, nie unikał twardego zbiegu dwu lub więcéj zgłosek akcentowanych, bezpośrednio po sobie następujących. Weźmy np. wiersz taki: „Nie umai, gdy raz już na

górach z p*nia* spa*dnie.*“ Tu w zgłoskach wydrukowanych kursywą mamy zbieg bardzo przykry dwu akcentów, tém nieprzyjemniejszy, że przypada na koniec wiersza, na koniec, który w heksametrze oryginału miewa zazwyczaj spadek najłagodniejszy (t. j. daktyl i trochej). Jeszcze gorszym jest wiersz 473: „Rzesza achajska śpiewa hymn piękny, w tan rusza,“ bo aż w dwu stopach ma taki niemiły zbieg akcentów. Takich i tym podobnych wierszy jest sporo w tém tłómaczeniu; sprawiają one, że się z trudem ledwie czytać daje. Druga właściwość ujemna przekładu p. Czubka, polega na zgrubieniu. strywializowaniu wyrażeń oryginału, lub na używaniu zwrotów, które są zbyt swojskie, ażeby niemi oddawać wyrażenia greckie. Wynikło to prawdopodobnie z poglądu na ludowe pochodzenie epopei greckich. Z tego atoli poglądu należało wziąć tylko pohop do oddania prostoty i naturalności; ale nie należało obniżać tonu Iliady, nie sprowadzać go do tonu jakiéjś gawędy. Już Siemieńskiemu zarzucano to co do Odysei; a przecież tam mniéj razić może rubaszność zbyteczna, niż w Iliadzie. Więc takie epitety Zeusa: grzmotuch, grzmiciel i epitety Achilla: biegun cięty, biegun krzepki, musimy uważać za chybione, bo uszłyby tylko w parodyi. Następnie wyrazy i wyrażenia takie jak: wytrzasnąć dał, ni pika ni kole, oglądać się nie umié ni w tyły ni w przody, za pan brat, wyrażenia, do których oryginał zgoła nie upoważnia, bo ani w jedném z miejsc w ten sposób przetłómaczonych nie ma cienia nawet komizmu i jakiejś nieprzyzwoitéj poufałości, są wykrzywieniem rysów tekstu. Wreszcie w przedstawieniu kłótni Zeusa z Herą panuje w przekładzie taki ton lekki i żartobliwy, jakby to była „Piękna Helena“ a nie Iliada. Trudno to oczywiście wykazać przez przytoczenie poszczególnych wyrazów, bo prawie wszystkie mają niby pewne usprawiedliwienie w słowach oryginału, ale czuje się to, gdy cały ten wstęp odczytujemy. Przytoczę tylko cztery wiersze z mowy Hery, ażeby czytelnik to zmiarkował choć trochę:

Z któráż-to znów boginią spisek knujesz zdradnie?
Zapewne lubisz gdzieś w kącie snuć sprawę tajemną,
A nigdy z dobréj woli nie powiesz przede mną,
Co ci tam się nowego uroi znów w głowie.

Przez to wyrażenie gdzieś w kącie (w oryginale: zdala ode mnie), uroi się (w oryginale: myśleć, rozważać) całe przemówienie Hery zostało niemal sparodyowane; a tak jest i w dalszym ciągu, gdy przemawia Zeus a potem Hefest.

= Ursyn (*Jan Zamarajew*) **Na palecie**, nowele, szkice i obrazki (Warszawa, M. Lewiński, 1892, str. 190). Przed trzema laty Ursyn wystąpił po raz pierwszy ze zbiorkiem swoich utworów, zatytułowanym: „Pyłki“ (str. 202). Napis ten, zapożyczony zapewne od Bohdana Zaleskiego, który tak nazwał swoje drobne, epigramatyczne i gnomiczne wiersze, miał oczywiście wskazywać ulotność i małe rozmiary rzeczy nim objętych. Istotnie szkice tam zawarte w większéj swéj części nie przenosiły dwu kartek druku w małym formacie i przedstawiały zazwyczaj jakąś jednę chwilę z życia, jedno położenie, chwilowy nastrój, zarys jakiéjś fizyognomii i t. p. Zewnętrzną pobudką téj formy była zapewne potrzeba zapełnienia jednego tylko — nie więcéj — feljetonu w piśmie codziennem; wewnętrzną mogła być chęć wypowiedzenia świéżo uzbieranych spostrzeżeń, świéżo doznanych wrażeń i wzruszeń, nie składając ich w skarbnicy pamięci, serca, wyobraźni, rozumu, by się tam połączyły z innemi i wytworzyły kiedyś bogatszy zasób pojęć, pomysłów, przekonań; — lecz starając się zużytkować i wyzyskać na razie, na poczekaniu. To téż żaden z „Pyłków“ nie odznaczał się głębszą treścią, żaden nie tworzył zaspokajającéj całości, choć często przebijało się w nich uczucie żywe, lotna fantazya, umiejętność podpatrywania takich malowniczych stron wśród ludzi i w przyrodzie, które jeszcze zużytemi nie były. Kilka obrazków rozleglejszych („Abramko,“ „Matka,“ „Ojciec“) były raczéj zdolnie napisanemi ćwiczeniami na zadany temat, niż kompozycyami nawskroś artystycznemi, lubo i w nich znajdowały się szczegóły dobre. Widocznie dorywcza twórczość leżała w charakterze uzdolnień Ursyna, bo oto po trzech latach znowu ogłosił zbiorek, w którym jak w poprzednim przeważają drobne, ulotne szkice i obrazki. W przedmowie uznał za potrzebne usprawiedliwić swoją działalność pisarską powołaniem się na objawy ogólniejsze. „W sztuce — powiada — téj zaczarowanéj krainie, p a n u j e obecnie, obok objawu tworzenia na szeroką skalę, prąd tworzenia szybkiego, szkicowania od ręki, rzucania ledwie konturów, niedomawiania słów i niedociągania struny... Czy prąd to bezwzględnie zły? niech na to odpowiedzą ci, którym wskazywanie dróg leży na sercu... Ja właśnie prądowi owemu hołduję...“ Opiérając się na zasadzie: sztuka dla sztuki, autor z pewną ironią traktuje tych, co myśl pewną społeczną wplatają w osnowę swoich artystycznych utworów. „Nie mam pretensyi — mówi — i nie czuję się na siłach, jak t o niektórzy nasi szanowni koledzy i szanowne koleżanki, aby nauczać i stawiać drogowskazy. Zdaje mi się, że nie rzecz to a r t y s t y... Nie czuję się również na

siłach, aby rzucić wielki, potężny artystycznemi pięknościami obraz...“ Pragnienia swe względnie do czytelników określa autor skromnie w tych słowach: „Jeśli te drobnostki, po świecie zebrane a w myśli i sercu przerobione, zdołają choć na chwilę zająć czytelników; jeśli ich choć trochę estetycznie zabawią lub wrażliwość poruszą, będę się czuł zupełnie wynagrodzonym. Życzenia w tym obrębie trzymane, może chyba uważać autor za urzeczywistnione. Nikt zapewne z jego nowego zbiorku p. t. „Na palecie“ nie pozna lepiéj natury ludzkiéj, nikt nie przejmie się jakąś myślą głębszą, któraby mu służyła za temat do rozpamiętywania, nikt nie znajdzie tu obrazu wielkich namiętności, ani dążeń; ale chwilowe zajęcie i zabawę estetyczną dać mu mogą liczne szkice, jak „Parawanik,“ „Będzie!“ „Róże mojéj narzeczonéj,“ „Pończoszka,“ „Dobre serce“ i t. p., a wrażliwość pobudzić zdołają takie obrazki jak: „Szal,“ „Wiśnie.“ Wszędzie zresztą, prawie w każdéj „drobnostce“ znajduje się jakiś rys lub rysik świadczący czy-to o trafnym zmyśle spostrzegawczym, czy o poczuciu piękna przyrody, czy o fantazyi żywéj, swobodnéj, czy o uczuciu delikatném, zmienném, powiewném. Autor nie lubi świata konwencyonalnego, więc téż zwykłych familijnych, a tém bardziéj salonowych obrazków unika, woli przypatrywać się fizyognoniom i grze uczuć ludzkich na ulicy, w kawalerskich pokojach, w odludnych miejscach, wśród aktorów prowincyonalnych, w pracowniach biedaków, wśród pól i lasów, lub téż w szynkach i knajpach. W téj pogoni za pewną świéżością, niezwykłością, nie nosi ze sobą żadnego z modnych nastrojów i to mu poczytujemy za zaletę; można w nim tylko zauważyć pewną lekkość w traktowaniu objawów życia, pewną powierzchowność w przedstawianiu uczuć ludzkich. Pod względem artystycznym zrobił niewątpliwie Ursyn postęp znaczny, gdy porównamy: „Na palecie“ z „Pyłkami.“ Dawniéj miał dość wyraźną skłonność do alegoryi i to w smaku bardzo starym; obecnie jeden tylko drobny taki pyłek zawieruszył się „Na palecie;“ jest to manierowany pamiętniczek motyla: „Na listku róży.“ Dawniéj styl jego był twardy, niezręczny, pomimo wszelkich usiłowań nadania mu pozorów lekkości, ciężki; gdy obecnie umié Ursyn rzeczywiście dobrać sposób wyrażenia odpowiedni treści: żywo, barwnie, nieraz dowcipnie, a zawsze swobodnie i lekko opowiada lub maluje to, co sobie zamierzył. Nie myślimy go zrażać do prądu, któremu „hołduje;“ każdy niech robi to, co umié najlepiéj; z czasem zapewne uwydatnią się samemu autorowi ważności tych zagadnień, które inni powieściopisarze wkładają w swoje utwory, a zarazem przekonanie i poczucie, że zagadnienia te nie przeszkadzają bynajmniéj „artystycznéj“ wartości dzieła, jeżeli tylko w sposób artystyczny bę-

dą w nie wcielone. Tylko niedoświadczonym lub partaczom przeszkadza głębokość myśli.

= **Wstęp do elektrotechniki** przez *J. J. Boguskiego*, Warszawa, 1892. Nakład redakcyi „Przeglądu Technicznego.“ Kiedy na zachodzie wre czynność w dziedzinie elektrotechniki, gdy rok każdy przynosi nowe ulepszenia, wynalazki i dzieła specyalne, u nas pod tym względem panuje zastój i cisza. Dawno już nie widzieliśmy książki z tego zakresu. Ciszę na chwilę przerwał autor, o którym mowa w tytule, przez wypowiedzenie w roku zeszłym szeregu odczytów na zebraniach sekcyi Technicznego Towarzystwa Popiérania Przemysłu i Handlu. Odczyty owe podjęła się wydać redakcya „Przeglądu Technicznego;“ z nich część pierwszą, zawiérającą wstęp i dział magnetyzmu, właśnie widzimy przed sobą. Wobec tego, że przeważna część odczytów, omawiająca dział elektryczności, dopiéro ma wyjść, zmuszeni jesteśmy z oceną szczegółową powstrzymać się do czasu, gdy całość ujrzy światło dzienne. Na podstawie jednak zeszytu obecnego pozwolimy sobie wyrazić nieśmiały pogląd, czy autor nie nazbyt teoretycznie pojął swój przedmiot, który miał utorować drogę przyszłym działom właściwéj elektrotechniki. Wprawdzie pojęcie „Wstępu“ jest bardzo rozległe i dostatecznie rozciągliwe, przecież ze względu na cel wskazany przez autora w przedmowie oraz w tytule książki, można było i w części niniejszéj mniéj dać teoryi a więcéj szczegółów mających istotne znaczenie dla elektrotechniki.

S. Stetkiewicz.

= **Studien über den Codex Suprasliensis.** Wrocław, 1892 (str. 28 druku i 19 kart podobizn). Pan *Ezechiel Zivier*, rodem z Wielunia, po ukończeniu gimnazyum, udał się na uniwersytet wrocławski, gdzie studyował najprzód języki semickie a następnie słowiańskie i w roku bieżącym, po napisaniu rozprawy pod przywiedzionym napisem oraz odbyciu dysputy publicznéj, w któréj bronił pomiędzy innemi tezy: że polski wyraz *kapcan* pochodzi z języka nowo-hebrajskiego, otrzymał stopień doktora filozofii. Rozprawa opowiada nam osobliwe dzieje kodeksu Supraślskiego, który wydobył w r. 1824 z ukrycia profesor ks. Michał Bobrowski. Rękopis z czasem został rozerwany na części, które rozeszły się po świecie. Część największa, z 19 zeszytów złożona, była przez długie lata badaczom niedostępna i uchodziła za zaginioną aż do r. 1872, w którym podał o niéj wiadomość prof. Papłoński. W roku zeszłym p. Zivier obejrzał ów rękopis, porównał go starannie z wydaniem Miklosicha, i spostrzeżenia swoje oraz

wszelkie dostrzeżone różnice zapisał i ogłosił. Autor uważa rękopis za kopię, która się na kilku różnych oryginałach wzorowała, ten więc, kto ją sporządził za kompilatora uznany być może. Pracowitą robotę p. Ziviera badacze języków słowiańskich przyjmą zapewne z radością, i fachowemu rozbiorowi ją poddadzą. My zaś, witając slawistę, w naszym urodzonego kraju, wyrazić musimy zdziwienie, że młody uczony tak prędko zapomniał, jak się istotnie nazywa miasto, w którém kończył gimnazyum.



NEKROLOGIA.

---

† **Józef Detmerski**, b. urzędnik archiwum akt dawnych w Lublinie, autor kilku prac historycznych, między innemi o Klonowiczu, którą drukowało „Ateneum“, zmarł w końcu sierpnia r. b. w Warszawie, przeżywszy lat 76.

† **Adam Dunin Mieczyński**, autor agronomiczny, urodzony we wsi Ciborach (w pow. pułtuskim) r. 1828, nauki odbył w gimnazyum płockiém, potém kształcił się do r. 1853 w Marymoncie, a w r. 1855-ym odbywszy praktykę gospodarską i złożywszy egzamin, otrzymał patent. W r. 1856 mianowany profesorem gospodarstwa w b. Instytucie szlacheckim, wykładał tam aż do zamknięcia tego zakładu, równocześnie zaś zajął się rozpowszechnianiem wiadomości agronomicznych, najprzód w „Przeglądzie rolniczym“, dodawanym od r. 1856 do „Kroniki wiadomości krajowych i zagranicznych“, potém w „Gazecie rolniczéj“, dodawanéj do „Gazety Codziennéj“ od r. 1858-go, a następnie samodzielnie prowadzonéj od r. 1861 do 1874, wydając przytém w r. 1862 „Bibliotekę rolniczą“ i redagując przez lat kilka od r. 1864 t. zw. „Kalendarz Jaworskiego“. Był założycielem pisma dla klasy średniéj p. t. „Opiekun domowy“ w r. 1865 i redagował go przez trzy lata. Oprócz tego wydawał osobno książki gospodarstwa wiejskiego dotyczące, a mianowicie: „Pszczelnictwo polskie“ (dwa wydania r. 1859 i 1862; tu przedrukował W. A. Kąckiego: „Naukę około pasiek“ z r. 1613), „Dobry pszczolarz“ r. 1860, „Rolnik początkujący“ r. 1861 i 1862, „Zasady leśnictwa“ r. 1863 (trzy tomy), „O poznawaniu mleczności krów“ r. 1865, „Kalendarz dla ludu polskiego“ r. 1863 i 1864, „Kalendarz rolniczy“ na r. 1871. Po r. 1874 przeniósłszy się na wieś rzadko już tylko nadsyłał artykuły pod pseudonymem „Koźlarza mazowieckiego“ i najwięcéj ich jest w „Przyja-

cielu zwierząt“. Zmarł 30 sierpnia r. b. we wsi własnéj Barcikowo pod Płockiem.

† **Walery Tomaszewicz**, b. artysta dramatyczny, spółpracownik „Kurjera Codziennego“, autor komedyi, z których jedna była odznaczona na konkursie dramatycznym, zmarł w Warszawie w początkach września r. b., przeżywszy lat 54.

B. p. **Józef Starkman**, urodzony w Warszawie r. 1847, ukończywszy tu gimnazyum, wszedł do Szkoły Głównéj na wydział lekarski, a ukończywszy go, odbył podróż naukową, pracował we Wrocławiu, Berlinie, Wiedniu i Paryżu po klinikach; poczém wróciwszy do Warszawy oddał się praktyce. Gdy jednak skutkiem ciężkiéj choroby nabawił się głuchoty, musiał zaniechać praktyki i od tego czasu zaczął dużo pisać, popularyzując wiedzę lekarską. Pod pseudonymem „Dr. Justa“ pisywał w „Kurjerze Codziennym“ dużo artykułów z zakresu hygieny głównie; wydał około 30-tu popularnych rozprawek pod ogólnym napisem „Leczenie domowe“, ogłosił ilustrowaną „Encyklopedyę hygieny i medycyny popularnéj“, opracowaną według dzieła fracuskiego d-ra Bonami, a ostatnią jego broszurą była rzecz „O cholerze“, która się rozeszła w tysiącach egzemplarzy. Umarł w Międzyrzecu w końcu wrześniu r. b., pochowany w Warszawie.



Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*. — Redaktor *P. Chmielowski*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 28 Сентября 1892 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

we Wrześniu 1892 r.

1. **Zbiór wiadomości do antropologii** krajowéj, wydawany staraniem komisyi antropologicznéj. Tom XV, 1891, 4-to, str, 89... i 282, z 5-ciu tablicami rysunkowemi, 36 rys. w tekście, dwiema mapami i jedną tablicą graficzną.
2. **Index osobowy** i rzeczowy do tomów I, II, III i IV sprawozdań komisyi do badania historyi sztuki. 1891, folio, str. 40.
3. **Bulletin** international de l'Academie des Sciences de Cracovie, Janvier et Février, 1892.
4. **Historya prawdziwa** o przygodzie żałosnéj książęcia Finlandzkiego Jana i królewny Katarzyny 1570. Wydał Alexander Kraushar. 1892, 8-vo, str. VIII i 64.
5. **Orichoviana.** Opera inedita et epistulae Stanislai Orzechowski. 1543—1566. Edidit D-r *Joseph Korzeniowski.* Vol. I, str. 740.
6. Stanisława Słupskiego z Rogowa **Zabawy orackie,** 1618, i Władysława Stanisława Jeżowskiego **Oekonomia,** 1633. Wydał D-r *Józef Rostafiński.* Str. 87.
7. **Potrójny** z Plauta Piotra Cieklińskiego, 1597. Wydał *Jan Czubek.* Str. 151.
8. Hermana Schottena **O cnocie** abo żywocie człowiekowi przystojnym. Wydał *Stanisław Ptaszycki.* Str. VII i 96.
9. **Słownik geograficzny** Królestwa Polskiego, wyd. pod redakcyą *Bronisława Chlebowskiego*, z zasiłku kasy Mianowskiego, tom XII, zesz. 138 (str. 401—480).
10. *Kucharzewski Feliks.* **Bibliografia polska** techniczno-przemysłowa. Warsz., 1892, zesz. 6 (str. 201—240).
11. **Gramatyka** języka greckiego szkolna. Opracował *Ludwik Ćwikliński.* Wydanie drugie. 1892, 8-vo, str. 203 (cena 1 złr. 50 ct.).
12. **Contes chrétiennes.** Le baptême de Jésus ou les quatres degrès du scepticisme par *T. de Wyzewa.* Paris, 1892, str. 68.
13. **Zasady fizyologii.** Ark. 13—18 (dodatek do „Prawdy").
14. *Kamil Flammarion.* **Niebo.** Przekład D-ra *M. Stefanowskiéj* (z licznemi rysunkami). Warsz., nakład Gebethnera i Wolffa, 1892, 8-vo, str. 227.
15. **Post-scriptum.** Komedya *Em. Augiera* (wydawnictwo „Teatr amatorski" № 12). Warsz., nakład Gebethnera i Wolffa, 8-vo, str. 31 (cena kop. 30).
16. **Przez zazdrość.** Komedya *Alfreda de Musset.* („Teatr amatorski" № 14). Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 8-vo, str. 57 (kop. 30).
17. **Dwie wdowy.** Komedya *Felicyana Mallefile* („Teatr amatorski" № 16). Warsz., nakład Gebethnera i Wolffa, 8-vo, str. 44 (kop. 30).
18. **Wdówka.** Komedya *Delacour i Thibaut* („Teatr amatorski" № 17). Warsz., nakład Gebethnera i Wolffa, 8-vo, str. 24 (kop. 30).
19. **Przysługa.** Komedya w 1-ym akcie z francuskiego („Teatr amatorski" № 18). Warsz. nakład Gebethnera i Wolffa, 8-vo, str. 56 (kop. 30).
20. **Wycieczka za granicę.** Komedya przez *Kazimierza Zalewskiego* („Teatr amatorski" № 19. Warsz., nakład Gebethnera i Wolffa, 8-vo, str. 36 (kop. 30).
21. **Pomyłka pana Lambineta.** Komedya *H. Meilhac* i *L. Halevy* („Teatr amatorski" № 20), Warsz., nakład Gebethnera i Wolffa, 8-vo, str. 35 (kop. 30).
22. **Dwaj nieśmiali.** Komedya *Marc-Michel* i *Eug. Labiche* („Teatr amatorski" № 21). Warsz., nakład Gebethnera i Wolffa, 8-vo, str. 53 (kop. 30).

Upraszа się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

